



Carol Shields
Blanche Howard

CZAS CELIBATU

Przedmowa

Współpraca z Carol

Blanche Howard

W naszej rodzinie krąży opowieść „Ku przestrodze”, która weszła już do rodzinnej tradycji. Otóż dwie pary ciotek i wujów z dwóch różnych stron rodziny zaprzyjaźniły się ze sobą serdecznie i postanowiły wybrać się razem w trzymiesięczną podróż do Europy. (W owych czasach wyprawy na stary kontynent uchodziły za dużo bardziej egzotyczne niż obecnie). Gdy po ich powrocie moja matka zadzwoniła, aby zapytać o wrażenia, okazało się, że pary ze sobą nie rozmawiają. Co więcej, od tej pory nigdy więcej się do siebie nie odezwały. I nie zanosilo się na jakiegokolwiek wyjaśnienia. Ciotka ze strony mojej matki poprzestała na lekceważącym prychnięciu oraz komentarzach na temat pewnych osób, które nie znają granic cywilizowanej rozmowy ani nie odczuwają potrzeby dostrzegania czegokolwiek poza czubkiem własnego nosa. Nigdy jednak nie wyszło na jaw nic, co na tyle urągałoby przyzwoitości, by tłumaczyć zerwanie na pozór mocno okrzeplej przyjaźni.

O ileż więcej niebezpieczeństw niesie wobec tego współpraca dwóch twórców! Gilbert i Sullivan, na przykład, byli niemal tak samo znani z głębokiej i zajadłej wzajemnej niechęci, co z błyskotliwych tekstów swych piosenek, a na forum dorocznego Festiwalu Twórczości Literackiej Indian Sechelt jeden z uczestników zapytał Carol Shields, a jakże, czy nadal utrzymuje kontakty ze współautorką *Czasu celibatu*.

Kontakty utrzymywałyśmy i utrzymujemy. Gdy zaczynałyśmy tę powieść, sława Carol gwałtownie rosła, moja tymczasem przygasła po wydaniu trzech książek. Skwapliwie przystałam na jej propozycję napisania wspólnie powieści, gdyż uznałam, że wielkodusznie chce poświęcić czas na pracę, która może wcale nie pchnąć jej kariery naprzód, a mało tego, pochłonąć cenne miesiące, które mogłaby wykorzystać z dużo większym pożytkiem.

Carol jest wielkoduszna i lojalna. Podkreślam to, ponieważ te dwie cechy nie leżą w naturze ludzi obdarzonych talentem pisarskim, spośród których wielu nadużyło swego daru, szkodząc innym. W ostatnich latach życia Truman Capote zraził do siebie długoletnich przyjaciół i dobroczyńców nie tyle swoimi pijaństwami i nieznośnym zachowaniem, ile okrucieństwem, z jakim pisał na nich paszkwile. Grupa Bloomsbury natomiast bez skrupułów przyjmowała gościnność i protekcję lady Ottoline Morrell i jej podobnych, a potem z dowcipną (z perspektywy czasu) złośliwością bądź jawnym szyderstwem opisała tych ludzi, nie pozostawiając na nich suchej nitki. Oto fragment listu Virginii Woolf do siostry: „podobno Garsington przedstawia widok niespotykane odrażający. Nie trzeba dodawać, że mam zamiar się tam zatrzymać”, mimo że lady Ottoline została przez nią scharakteryzowana jako osoba „tak tandetna jak dziewczka uliczna”.

Po raz pierwszy spotkałam Carol na początku lat siedemdziesiątych w Ottawie, kiedy nasz wspólny przyjaciel zabrał mnie do dużego ceglaneanego domu Shieldsów przy Driveway, gdzie Carol gościła literacką grupę dyskusyjną Uniwersyteckiego Klubu Kobiet. W tym czasie zatwierdzono do druku moją pierwszą powieść zatytułowaną *The Manipulator* i opublikowano pierwszy tomik poezji Carol — *Others*. Wkrótce uznaliśmy się nawzajem za „osoby wychowane na książkach” — chcę przez to powiedzieć, że punkty odniesienia

w naszym realnym życiu w wielu przypadkach miały swe źródło w nienasyconym nałogu czytania, w jaki po-
padłyśmy w dzieciństwie.

W roku 1973 sytuacja zmusiła mnie oraz mojego męża do powrotu do Vancouveru i przypuszczam, że
moja niezobowiązująca przyjaźń z Carol nie wyszłaby poza ten etap, gdyby nie propozycja, jaką otrzymała w
1975 roku, wydania jej pierwszej powieści *Small Ceremonies*. Carol przebywała wówczas we Francji, gdzie na
jednym z uniwersytetów jej mąż Don spędzał urlop naukowy. Tymczasem przyjęto do druku moje dwie kolejne
powieści, musiałam więc wydawać się Carol ekspertem, u którego mogła zasięgać rady.

Nie przypominam sobie, czy zaserwowałam jej wtedy jeszcze jakieś okruchy mądrości poza „chwytaj
okazję”, pamiętam jednak dobrze zdumienie, jakie ogarnęło mnie podczas lektury *Small Ceremonies*. Nie czy-
tałam wcześniej prozy Carol i chyba nie byłam przygotowana na jej mistrzostwo: dojrzałe, przejrzyste, dosko-
nałe pisarstwo z ładnie ukształtowaną i zaskakującą frazą. Nim dotarłam do przezabawnej sceny przyjęcia, w
której kobieta mówi: „Pamiętaj, Barney, seks to coś więcej niż ściekająca po nodze zimna sperma”, wiedziałam
już — to było olśnienie, grom z jasnego nieba — że udzielam rad niezwykle talentowi.

Zaczęłyśmy prowadzić regularną korespondencję. Carol uwielbia dostawać listy — kiedyś, gdy odwie-
dziliśmy Shieldsów w Paryżu, rozbawił nas z mężem entuzjazm, z jakim wypatrywała poczty, codziennie, czy
raczej dwa razy dziennie, bo tak jest doręczana we Francji. Carol rzuca się na skrzynkę pocztową, jak gdyby
zawierała ona sens życia — a może zawiera go naprawdę. W każdym razie uważam, że nasze listy wysyłane
regularnie przez wiele lat — nawet w latach siedemdziesiątych, kiedy poczta elektroniczna i faksy nie zaczęły
jeszcze ograniczać rozmiarów przesyłanych wiadomości — były i nadal są nieco wiktoriańską rozrywką.

Wsadziłam listy Carol do segregatora, a w końcu zaczęłam wpinać tam również kopie własnych odpo-
wiedzi. Dziś segregator ma prawie osiem centymetrów grubości, a gdy wertuję jego strony, usiłując rozstrzy-
gnąć, kiedy zdecydowałyśmy się na współpracę, dochodzę do wniosku, że stało się to w kwietniu 1983 roku.
Carol przyjechała wówczas do Vancouveru na Tydzień Książki.

Shieldsowie mieszkali już wtedy w Winnipeg, a my nadal w Vancouverze. Jednak dwa lata, między ro-
kiem 1978 a 1980, Carol z mężem spędzili w Vancouverze i był to czas, który dał i mnie, i jej okazję, aby
przekonać się, że cieszą nas nie tylko nasze listy, ale i wzajemne towarzystwo. I że nasi mężowie również darzą
się sympatią. A często się zdarza, że naszego partnera nudzi albo irytuje partner przyjaciółki. Ja i Carol mamy
szczęście — nasi mężowie od razu znaleźli wspólny język. Razem jadaliliśmy kolacje, żeglowaliśmy, wychodzi-
liśmy do restauracji i na tańce.

Po zaledwie dwóch latach oni wyjechali do Winnipeg, gdzie Don przyjął posadę na uniwersytecie pro-
wincji Manitoba. Poza pisaniem listów o książkach, rodzinie, pracy, pogodzie i tak dalej, ja i Carol zaczęłyśmy
czytać nawzajem swoje rękopisy (co praktykujemy do dziś). Pamiętam, jak komentując w 1981 roku *A Fairly
Conventional Woman* [Całkiem konwencjonalna kobieta], zastanawiałam się, czy Brenda powinna pójść z Bar-
rym do łóżka w starej, flanelowej koszuli nocnej. (Carol wykazała dość rozsądku, by tę scenę zachować).

Myślę, że powieść epistolarna była dla nas stworzona, chociaż wtedy wystrzegano się takiej formy. Ca-
rol zauważyła, że rewolucja feministyczna tak bardzo wyzwoliła kobiety, iż nie sposób uniknąć konfliktów
wynikających z faktu robienia przez nie kariery, dlatego postanowiłyśmy, że w naszej powieści małżonkowie
staną w obliczu separacji. Niczego więcej nie planowałyśmy, co w moim wypadku jest normalną metodą pracy,

lecz dla Carol stanowi absolutny wyjątek. Ona zwykle wie, do czego zmierza w powieści, i potrafi napisać trzy gładkie strony dziennie.

W rzeczywistości żadna z nas nie zaznała nigdy smaku rozdzielenia. W przeciwieństwie do naszych bohaterów, Chasa (od Charlesa) i Jock (od Jocelyn), Carol i ja ochoczo podążamy za naszymi mężami, dokądkolwiek się wybierają. Może to częściowo wynikać z ograniczeń społecznych czasów, które nas ukształtowały. W latach pięćdziesiątych, kiedy byłam młodą żoną i matką, a Carol jeszcze nastolatką, pracą domową i wspieranie męża wyniesiono do rangi, jak określił to Galbraith, „wygodnej cnoty społecznej” i takie postępowanie wydawało się czymś najzupełniej naturalnym. Mało tego, tęsknota za innym życiem budziła społeczną dezaprobatę. Kiedy Erma Bombeck przyjmowana do szpitala na poród usiłowała wpisać w rubryce „zawód” słowo „pisarka”, mocno stąpająca po ziemi pielęgniarka przekreśliła je i poprawiła na „gospodyni domowa”. A przecież, jak zauważyła Carol, pisarstwo jest profesją, którą można z powodzeniem wykonywać, gdy dzieci (pięcioro w wypadku Carol, troje w moim) leżą już w łóżku albo zostały wyprawione do szkoły.

W *Czasie celibatu* Chas mówi, że nie jest przygotowany na porzucenie klasy średniej, ponieważ ta „poczciwa, stara klasa średnia mimo wszystko dobrze nam służy”. Większość z nas wywodzi się właśnie z niej, chociaż w następstwie przełomowych lat sześćdziesiątych wielu starało się temu za wszelką cenę zaprzeczyć. Dżinsy i opaski na włosy wyparły spódnice i perły, a Carol i ja żartowałyśmy na spotkaniach Związku Pisarzy w Vancouverze na temat potrzeby zrzucenia z siebie wizerunku klasy średniej, no bo przecież trudno oczekiwać, by ta klasa dokooptowała pisarzy.

Ostatecznie kooptacji dokonała Carol. Swoimi dygresjami w stylu Jane Austen, które wytykają nam nasze słabostki i aspiracje, wykroiła własne terytorium z otaczającego środowiska. We wstępie do *The Heidi Chronicles* [Kroniki Heidi] Carol napisała: „Feminizm wdarł się w lata sześćdziesiąte niczym imponujący transatlantyk napędzany niesprawiedliwością i dymiący oburzeniem”. Na długi czas ów transatlantyk upodobił się do okrętu wojennego, a nawet niszczyciela, miotającego ideologiczne pociski w tych, którzy zajmowali odmiennie stanowiska wobec prawdy.

„Prawda — mówi Iris Murdoch — jest zawsze właściwym kryterium w sztuce [...] wymagającym odwagi, którą dobry artysta musi mieć”. Literatura nie pełni służebnej funkcji wobec polityki, podobnie jak nie każdy pisarz naprawdę doświadczył ciemniejszej strony polityki płci. Nie doskwiera nam brak powieści, które docierają do rozlicznych jąder ciemności, księgarnie są zavalone książkami zawierającymi pobudzające do refleksji eseje elokwentnych feministek, takich jak Gloria Steinem. To, czego nam brakowało i co dała nam Carol, to inteligentne i wymowne świadectwo zwyczajnego i często szczęśliwego życia kobiet na łonie rodziny.

Carol i ja spotkałyśmy Glorię Steinem — choć słowo „spotkanie” jest tu trochę na wyrost — tylko raz. Przy śniadaniu, nazajutrz po rozpoczęciu w Regina akcji promocyjnej *Czasu celibatu*, bełkocąc z podniecenia, rozprawiałyśmy o cierpkiej recenzji, której autor skupiał się głównie na imionach, jakie nadałyśmy naszym bohaterom. Dla pokrzepienia serc wybrałyśmy się do księgarni odległej o kilka przecznic, zmagając się z lodowatym wiatrem w temperaturze minus dwudziestu stopni. W środku było niemal pusto, z wyjątkiem samotnej kobiety siedzącej na krześle i czekającej, aż ktoś podejdzie z książką po autograf.

— Kto to jest? — wyszeptała Carol.

— Zdaje mi się, że to Gloria Steinem — szepnęłam w odpowiedzi.

I rzeczywiście miałam rację. Nie przedstawiłyśmy się. Carol uznała, że mogłoby to zostać poczytane za natręctwo, ja zaś przyznałam jej rację, zwłaszcza że nie czytałyśmy nowej książki Steinem. Teraz żałuję.

Wybiegłam jednak za bardzo naprzód. Kiedy przystępowałyśmy do pracy nad *Czasem celibatu*, Carol chciała pisać partię męską, więc ja zaczęłam jako Jock, która śle listy z Ottawy, gdzie objęła stanowisko doradcy prawnego przy komisji zajmującej się feminizacją ubóstwa. 26 października 1983 roku przesłałam Carol fragment książki. „Oto pierwszy rozdział. Nie wyobrażasz sobie, jaka to frajda pisać coś dla kogoś zamiast dla anonimowej masy, która ten tekst przeczyta albo nie”.

Zaskakiwanie się nawzajem sprawiało nam ogromną radość. „Uśmiercenie Gila było genialnym pomysłem”. „Możesz wskrzesić Gila, masz wolną rękę”. Napisałam, że roześmiałam się na głos, przeczytawszy dopisek rozsierzonego Chasa: „Pieprzyć fioletowe kozaczki”.

Kiedy zarówno Jock, jak i Chas robią coś, do czego nie odważą się przed sobą przyznać, trzeba w jakiś sposób obejść ograniczenia narzucone przez powieść epistolarną. W wypadku korespondencji między dwoma osobami jedynym wyjściem jest nie wysłany list, chociaż początkowo Carol dręczyły obawy, że może to być „narracyjna nieuczciwość”.

Ponieważ w listopadzie 1984 roku miałam przejeżdżać przez Winnipeg, przyrzekłyśmy sobie, że do tego czasu ukończymy pierwszy szkic. Zatrzymałam się u Shieldsów w pięknym domu w stylu wiktoriańskim, z dębowymi boazeriami, przestronnym holem i rozłożystymi schodami. Pewnego wieczoru, w przejmującym chłdzie i podczas ślizgawicy poszłyśmy (ja, chełpiąc się wyższością deszczu w Vancouverze) na uniwersytet obejrzeć uroczą krótką sztukę Carol *Departures and Arrivals* [Odjazdy i przyjazdy], a nazajutrz pracowałyśmy pilnie cały dzień przy stole w jadalni, czytając na głos napisane przez siebie fragmenty. Przerzywałyśmy sobie nawzajem, aby wtrącić jakąś uwagę, wyciąć część tekstu, dodać, zmienić i spierać się o przecinki. O piątej Carol oznajmiła, że na kolację przychodzi osiem osób, więc trzeba sprzątnąć ze stołu.

Pamiętam, że wieczór był wesoły i że wciągnęłyśmy gości w ożywioną dyskusję na temat tytułu *Czasu celibatu*. Jedni twierdzili, że jest dobry, inni, że nie, lecz nikt (włączając w to same autorki) nie pomyślał o jego możliwym pochodzeniu, na które zwróciła uwagę pewna wnikliwa recenzentka (mowa o Meg Stainsby; jej uwagi zostały zawarte na końcu powieści): święty Paweł w Liście do Koryntian twierdzi, że wstrzeźliwość jest w małżeństwie wskazana, ale tylko „do pewnego czasu”. O ile nam wiadomo, tytuł jest całkowicie oryginalny, mogłyśmy jednak się mylić; umysł ma swoje ukryte ścieżki, potrafi dotrzeć w zapomniane zakamarki, wyciągnąć z nich nienowe już sformułowania i podsunąć jako świeżo ukute, błyskotliwe zwroty.

Carol bardzo szybko przesłała mi dwa przerobione rozdziały, a w grudniu nadszedł kolejny ważny fragment, w którym Chas przyznaje się do swej dość osobliwej pozamałżeńskiej przygody miłosnej. Carol martwiła się, że mogę uznać ten epizod za „wyuzdany i nie do przyjęcia”, tymczasem ja byłam zdania, że list jest „cudowny i wzruszający”.

Zbliżałyśmy się ku końcowi. Listy krążyły tam i z powrotem. W styczniu 1985 roku zaczęłyśmy rozsyłać rękopis wydawcom.

Pomyślałam, że nieźle byłoby zaadaptować powieść do wystawienia na scenie, i nim nadszedł wrzesień, wysyłałam Carol do Francji szkice, tymczasem wydawnictwa zastanawiały się (bardzo opieszale) nad wydaniem naszej książki. „W sztuce postać Daviny wypada o wiele lepiej niż w naszej powieści, jest zabawniejsza,

bogatsza, a także sympatyczniejsza" — odpisała Carol. Co do powieści, ponieważ nie udało się nam jej sprzedać do czasu przyjazdu Carol do Vancouveru wiosną 1986 roku, ponownie przewertowałyśmy rękopis. Pierwsza część, jak napisała mi Carol po spędzeniu nad tekstem lipcowego weekendu, jest może zbyt senna, druga naprawdę iskrzy, trzecia zaś grzeszy chyba nadmiernym uładzeniem. Po raz kolejny wprowadziłyśmy zmiany, ja zaś znowu zaczęłam rozsyłać rękopisy, aż zebrałyśmy dziewięć odmownych odpowiedzi. Tymczasem sztuka miała się nieźle. Nad jej wystawieniem pracowało New Play Centre z Vancouveru, kiedy zaś wysłałam ją na konkurs dramaturgiczny Kanadyjskiego Teatru Narodowego, zakwalifikowała się do finału i otrzymała dodające otuchy recenzje.

Wiosną 1987 roku Shieldsowie zaprosili nas na tydzień do Paryża. Przeczytałam tam odbitkę korektową *Swann* i byłam pewna, że książka zdobędzie Nagrodę Gubernatora. Nie zdobyła, ale znalazła się w finale.

Rękopis odłożyłyśmy na razie w kącie. Potem na konferencji w Edmonton wpadłam na naszą wspólną przyjaciółkę, pisarkę Merne Summers. Zapytała, jak spodziewamy się sprzedać powieść, która leży w szufladzie? „Wyciągnijcie ją na światło dzienne” — namawiała i zasugerowała wydawnictwo Coteau Books. Przesłałam im tekst we wrześniu, a w maju 1990 roku Coteau zdecydowało się wydać książkę. W czerwcu dostałyśmy wiadomość, że jesienią naszą sztukę wystawi niewielki teatr dramatyczny z północnego Vancouveru.

Tamtego lata wynajęliśmy z mężem kwatere w pobliżu kamiennego domu we Francji, który kupili Shieldsowie. W słoneczne czerwcowe dni, tym razem spoglądając na piękne góry Jury i mając przed oczami kojący widok krów na okolicznych pastwiskach, jeszcze raz przejrzałyśmy rękopis i rozpoczęłyśmy pracę redakcyjną, przygotowując go do druku.

Carol zwierzyła mi się kiedyś, że gdyby nie pisała, popadłaby w nerwicę. Myślę, że to samo można powiedzieć o większości pisarzy; być może Freud oblekł jedynie starą prawdę w nowe szaty. Z pewnością pisarstwo jest poszukiwaniem wprowadzającym nas — jak psychoanaliza — w ukryte labirynty, gdzie odnajdujemy myśli, których istnienia nigdy nie podejrzewaliśmy, gdzie dawne i zapomniane lęki wdzierają się w świadomość niczym stalagmity, gdzie migają nam przed oczami pragnienia tak efemeryczne, iż rozpierzchają się jak karaluchy przed blaskiem światła. Jest także nieustannym przymusem, ciągłą potrzebą poznawania czegoś nowego.

Następnego lata wracałyśmy z Carol promem po jej wystąpieniu na Festiwalu Twórczości Literackiej Indian Sechelt. Carol delikatnie sondowała moje refleksje na temat starzenia się. (Jestem od niej starsza).

— Carol, czy ty pytasz mnie o sens życia? — zagadnęłam i obie wybuchłyśmy śmiechem.

A potem powiedziałam:

— Wiesz co? Jak go poznam, zadzwonię do ciebie. Po chwili dodałam:

— Jeśli cię nie zastanę, zostawię wiadomość na automatycznej sekretarce.

Château Laurier, Ottawa 2 września

Najdroższy Chas,

na pewno nie spodziewałaś się, że chwycę za pióro i papier listowy Château L. dziesięć minut po Twoim telefonie. Niespodzianka! Oto siedzę tu skulona na jednym z tych wielgachnych łóżek i mam wrażenie, jakbym unosiła się na wodach cieśniny Georgia w naszej starej, przeciekającej łajbie. Myślę sobie o tych

wszystkich chwilach, które spędzałeś samotnie w pokojach hotelowych — w Reginie, Victorii, Edmonton. Jakże zazdrościłam Ci tej wolności, tej przygody! Nigdy nie przyszło mi do głowy, że można odczuwać aż taką pustkę.

I co tu robić? Mężczyzna pewnie wzięłyby kurs na bar. (Ja nie mogę, upiłabym się). Będę musiała obsłużyć się sama. Cholera! Właśnie sobie przypomniałam. Pamiętasz tę leczniczą buteleczkę szkockiej, którą wetknąłeś mi do torby? (Jakiś ty kochany, mój Boże!) W ostatniej chwili postanowiłam zabrać jeszcze jeden tom prawniczy. Dla szkockiej nie starczyło miejsca, więc ją wyjęłam. Wszystko, co mam, to miniaturowa buteleczka ginu, w którą zaopatrzyły mnie linie Air Canada. Pewnie mogłabym go mieszać z płynem do płukania ust. Dobrze mi tak, powinnam brnąć przez Saharę bez kropli wody. Nawiasem mówiąc, rozmiary tego pokoju zaczynają mi przypominać pustynię.

Cóż za niewdzięczność! Komisja postąpiła z klasą, umieszczając mnie w tak królewsko purpurowym pokoju! Ciężkie szkarłatne kołdry, zebrane po bokach purpurowe draperie, białe firanki i dwa staroświeckie okna (z drewnianymi parapetami!) otwierane, choć nie bez trudu, od dołu, które trzeba podpierać, żeby nie opadły. Czułabym się mniej osamotniona, gdyby pokój był mały i gdyby zamiast dwóch ogromnych podwójnych łóżek stało jedno, skromne, pojedyncze, jak w celi, zasłane czystą, białą pościelą — zresztą po co komu dwa podwójne łóżka? Czy są ludzie tak wytrwali w uprawianiu miłości, że wyczerpawszy wytrzymałość łóżka numer jeden, turlają się — nie rozłączając — na łóżko numer dwa... lepiej dam spokój temu tematowi.

Zaczęłam, jak na prawdziwego gamonia z prowincji przystało, od potknięcia się przy wysiadaniu z taksówki. Przed drzwiami obrotowymi hotelu jest stopień. Nie zauważyłam go i upadłabym na twarz (padanie na twarz — czyżby jakiś zakamuflowany komunikat mojej psychy?), gdyby portier nie wykazał refleksu Rambo. Denerwuję się, nie ma co, to znaczy jutrzejszym dniem. Pójdę tam wystrojona w mój fantastyczny szary kostium od Chapmana — mama stawiała na głowie, żeby wyciągnąć ode mnie, ile kosztował, ale się nie zdradziłam — stosowną granatową bluzkę, granatowe pantofle (i w równie ponurym nastroju), ściskając skórzaną damską teczkę na dokumenty, potknę się w progu i przedstawię senatorowi Pierce'owi... Jezu! Jak należy zwracać się do senatora? Zapomniałam sprawdzić.

Ciągle mam przed oczami sceptyczną minę pana Enrighta, kiedy mu powiedziałam, że biorę urlop. „Kwestie kobiece...”, tylko tyle z siebie wydusił, a potem jakby pokręcił głową i posłał mi uśmiech od ucha do ucha.

Powiedz, że się nie zbłąźnię. To jest bardzo odpowiedzialna sprawa. Potrzebuję Cię. Żebyś mnie uspokoił. Osobiście, a nie za pośrednictwem jakiegoś bezdusznego elektronicznego wymysłu. I znowu mam wyrzuty sumienia, że Cię tak zostawiłam na pastwę losu.

Cieszę się z dwóch goli Grega! Wciąż sobie wyobrażam, jak wyjeżdża na lodową taflę i odrzuca głowę w tył jak Wayne Gretzky. Ten nieznaczny ruch głowy — nie wiem dlaczego — zawsze mnie rozczula. Naśladowanie zachowań bohatera. Widzenie siebie w glorii myśliwego/wojownika/pilota — może to męski sposób na zagłuszenie wątpliwości, że przedzieranie się przez bagniste rowy, nadzianie na lancę bądź też runięcie w płomieniach do Atlantyku nie jest wcale takie zabawne. Następnym etapem jest pewnie podbój przestrzeni kosmicznej, o tym marzą dzisiaj mali chłopcy. (A małe dziewczynki? Nie zauważyłam, żeby sprzątały kosmos).

Staram się nie martwić o Grega. Ani o Mię. Ani o Ciebie, który dobrowolnie wzięłeś na siebie rolę gospodyni domowej. Próżno szukać wokół wzoru, prawda? Prochy Twego ojca zapłonęłyby żywym ogniem, a co do matki, odniosłam wrażenie, że jej głos brzmiał odrobinę zjadliwie, gdy jej powiedzieliśmy, nie uważasz?

Napiszę po jutrzejszym spotkaniu. W Vancouverze jest dopiero dziewiąta (tutaj już północ), ale może kiedy zaszyję się pod purpurową kołdrą, mój umysł się wyciszy. Dlaczego nie podkrađłam dwóch buteleczek ginu?

Ściskam bardzo gorąco, nawet te wstrętne nastolatki. Powiedz im, jak ich nazwałam — przewrotnie poczują wtedy, że są kochani.

Całuję Jock

PS: Mój Boże, soczewica! Kupiłam dwa słoiki, miałam zamiar nauczyć się gotować zupę z soczewicy. Stoją na górnej półce, szkoda, żeby się zmarnowały.

PPS: Cekiny! Mia potrzebuje ich do kostiumu baletowego. Nie przejmuj się, coś wymyślę.

29 Sweet Cedar Drive

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

4 września

Droga Jock,

siedzę przy oknie kuchennym, do którego przysunąłem wczoraj mój stół kreślarski i maszynę do pisania. Greg przestał się dąsać na całe dziesięć minut i pomógł mi przytasczyć go z sutereny (Boże, ależ on ciężki — nie ma to jak solidny dąb), tymczasem Mia stała obok i wykrzykiwała tym swoim piskliwym głosem, że to tandetny stary grat i że przez niego kuchni „brak równowagi”. Powiedz, co trzynastolatki wiedzą o równowadze? „Mniejsza z tym — odpowiedziałem — będzie tu stać i już”.

Nie uwierzysz, jak to proste przemeblowanie poprawiło mi samopoczucie, które po weekendzie intensywnego ojcowania było gorsze niż zwykle — więcej na ten temat potem. No i siedzę tu sobie niczym władca kuchni, w tej nie wykorzystanej dotąd przestrzeni między lodówką a stołem kuchennym. (Twój bambusowy stojak na kwiaty przenieśliśmy do jadalni, gdzie stał wcześniej stary stolik herbaciany Twojej matki; a jeśli chodzi o stolik — o tym też później).

W każdym razie czuję się tego ponurego poranka jak nowo narodzony. Światło słoneczne nie zalewa wprawdzie wnętrza — nie uwierzyłybyś, gdybym powiedział, że jest odwrotnie — ale widok wysokich, ciemnych, ociekających deszczem drzew porusza drobne struny melancholii, która stoi jednak o stopień wyżej od „choroby suterenowej”. Bóg jeden wie, dlaczego przez tyle czasu zadowalałem się tym pokojem w piwnicy. Jeszcze jeden rok spędzony przy świetłówkach, pośród ścian z cegły żuźlowej i zapleśniałych słomianych mat wykończyłby mnie całkowicie. A więc pomimo braku równowagi w kuchni i lepiałego się słoika dżemu, który ktoś postawił na moim stole kreślarskim, czuję się tu urządzony, zasiedziały, prawie jak król.

Oczywiście Twój list, który przyszedł dziś rano, podniósł mnie na duchu. Przeczytałem go trzy razy od deski do deski i poczułem bolesne ukłucie, cokolwiek by to, do diabła, znaczyło, myśląc o Twoim zacisznym, purpurowym kokonie w Château Laurier i nie wykorzystanej przestrzeni pustego łóżka. Z perspektywy czasu wydaje mi się lekkim wariactwem, że kiedy wypłynęła kwestia pracy w Ottawie, nie przedyskutowaliśmy ani

nawet nie wzięliśmy pod uwagę problemów, jakie mogą towarzyszyć dziesięciomiesięcznemu życiu w celibacie. Czy Tobie nie wydaje się to dziwne? A właściwie odrobinę podejrzane? Myślę, że jak para idiotów uznaliśmy, że na pewien czas możemy po prostu zamknąć interes, tak jak wypuszczamy na zimę wodę z basenu albo wyłączamy piec na lato.

Skoro mowa o piecu, wygląda na to, że potrzebny nam nowy zawór termiczny, co będzie nas kosztować — razem z robocizną — dwieście pięćdziesiąt grubych dolców. Kiedy pstryknąłem włącznikiem ogrzewania i usłyszałem najpierw serię pisków, potem jakiś łomot, a wreszcie ciszę, zadzwoniłem do naszego błyskawicznego, całodobowego serwisanta, który oznajmił, że strasznie mu przykro, ale o tej porze roku ma pełne ręce roboty i nie będzie mógł przyjść przed piątkiem. „No to cudownie — powiedziałem. — Co mamy robić do tego czasu, zamrznąć?” Nastąpiła chwila milczenia, po czym stwierdził, że może uda mu się dotrzeć do nas w środę, jeśli mu obiecuję, że zastanie panią domu. „Ja jestem panią domu — wyjaśniłem — i będę czekać”. Tym razem milczenie po tamtej stronie trwało dłużej, aż wreszcie wykrztusił z siebie coś, co brzmiało mniej więcej: „Taak?” Jest więc szansa, że będziemy marznąć jeszcze tylko przez dwa dni. I oto kolejna dobra strona przeniesienia stołu do kuchni — mogę otworzyć drzwiczki piekarnika i wygrzewać się w ciepłe spirali zżerającej kilowaty. Mniejsza o to, jak będzie wyglądał rachunek za prąd pod koniec miesiąca. (Jock, nie napisałaś, czy wciągnęli Cię już na rządową listę płac).

Nie mogę doczekać się wiadomości, jak poradziłaś sobie z senatorem. Opisz wszystko, żebym mógł się delektować. Bardzo za Tobą tęsknię!

Ucałowania Chas

PS: Cieszę się, że postanowiliśmy wysłać do siebie listy. Myślę, że dzięki temu zachowamy zdrowe zmysły. Greg mógłby założyć nam skrzynkę internetową, gdybym zainstalował modem, ale czy chcemy, żeby dzieciaki miały dostęp do naszych prywatnych wynurzeń? Chyba nie. Poza tym to kosztuje.

Château Laurier 4 września

Drogi Chas,

no i *veni, vidi, vici* — tyle że ja nie zwyciężyłam. Prawdę mówiąc, poszło mi chyba nie najlepiej. Wyszłam z Château Laurier o pół godziny za wcześnie, a po niespiesznym spacerze do Bloku Wschodniego ciągle miałam w zapasie dwadzieścia minut. Chciałam się trochę pokręcić, ale ponieważ strażnicy nie przepadają za takimi, co wałęsają się bez celu, poszłam do Bloku Centralnego i udawałam wielkie zainteresowanie portretami byłych premierów. Jeden ze strażników powiedział, żebym zwróciła uwagę, jak oczy pana Diefenbakera śledzą każdy mój krok. Ta myśl raczej odebrała mi odwagę, niż tchnęła we mnie ducha. Wreszcie zegar na Wieży Pokoju wybił jedenastą, więc zawróciłam. Strażnik uprzedził telefonicznie senatora Pierce'a o mojej wizycie i udzielił mi wskazówek, jak trafić do jego gabinetu. Senatora jeszcze nie było, ale pięć minut później wpadł jak burza, a ja mu się przedstawiłam. Miał taką minę, jakby kompletnie nic nie rozumiał.

— Jocelyn Selby — powtórzyłam. — Doradca prawny z Vancouveru. Do pracy w Komisji.

— Pani jest doradcą? — spytał z odpowiednią dozą zdziwienia.

Udało mu się — to dość delikatna kwestia — dać do zrozumienia, że to niemożliwe, by tak atrakcyjna babka zajmowała się tak poważnymi sprawami, ale jeśli naprawdę miałby mieć tyle szczęścia, osobiście padnie

na kolana i podziękuje *le bon Dieu*. (Pomimo angielskiego nazwiska jego językiem ojczystym jest francuski. W telewizji nigdy nie zauważyłam tego lekkiego, uroczego — no i jakiego jeszcze? — akcentu). Czułam się jak połączenie wyemancypowanej, nowoczesnej, robiącej karierę kobiety i króliczka „Playboya”.

— No, no — rzekł, posławszy mi uśmiech à la Robert Redford, z dołączkiem — ta Komisja zapowiada się znacznie bardziej interesująco, niż sądziłem.

Cóż za niesprawiedliwość! Ten mężczyzna musi mieć pięćdziesiątkę na karku, a założę się, że wygląda lepiej, niż kiedy miał trzydziestkę. Niebieskie oczy, nieznacznie siwiejące i idealnie wymodelowane suszarką włosy, doskonały garnitur, ślad francuskiego akcentu — a jakby nie dość tego, wcale nie jest po prostu jeszcze jednym *beau visage*.

Lekko ugiął nogi w kolanach, a wtedy oniemiała z przerażenia zobaczyłam, że za chwilę pocałuje mnie w rękę, aż tu nagle zza moich pleców rozległ się ochryply kobiecy głos:

— Ciągłe czarujesz, ty stary koźle? Chryste, musi być z ciebie jakiś Dorian Gray. Gdzie twoje prawdziwe ja? Ukryło się w bebechach Wieży Pokoju?

Odrzuciłam się gwałtownie i ujrzałam kobietę o kompletnie nieprawdopodobnym wyglądzie, to znaczy nieprawdopodobnym w takim otoczeniu. Była — jest — niesłychanie szeroka w biodrach, miała na sobie brązowe spodnie ze sztruksu ciasno opinające uda i wypuszczoną na wierzch koszulę w wyblakłą niebieską kratę. Do tego długie, czarne, przetłuszczone włosy, pasiasta opaska na głowie, grube szkła zniekształcające oczy. Senator Pierce przemknął obok mnie, ubranej gustownie i z nienaganną fryzurą, porwał tę kobietę w ramiona i powiedział do niej:

— Jess, staruszko, ciągle wyglądasz jak relikwiry hipisów. To była Jessica Slattery. Wyobraź sobie, jest w Komisji!

Mianowano ją w ostatniej chwili, kiedy grupy kobiece podniosły raban, że w Komisji nie ma żadnej ich przedstawicielki, która będzie zajmować się feminizacją ubóstwa. (Przypuszczam, że i ja zawdzięczam swoją nominację płci — jakaż to miła odmiana w porównaniu z utartym zwyczajem).

Zdażyłam się już dowiedzieć, że Jessica jest przewodniczącą Kanadyjskiej Rady Opieki Społecznej (o której istnieniu nawet nie wiedziałam), że od lat zajmuje się problemem ubóstwa i że jest zwolenniczką puszczania bąków, kiedy tylko przyjdzie jej na to ochota.

Niestety, ochota przyszła jej w chwili, gdy przedstawiał nas sobie senator Pierce, ja zaś nie potrafiłam zachować zimnej krwi. Kiedy Jessica sobie ulżyła, zdołałam jedynie wydusić z siebie jak najuprzejmiej „miło mi”, senator parsknął rubasznym śmiechem, a ja najchętniej bym się teleportowała. (Tymczasem zrobiłam się czerwona jak burak i wymamrotałam „przepraszam”. Potem umierałam ze wstydu, że senator mógł pomyśleć, że to ja).

5 września

Przepraszam, przerwano mi. Polowałam na jakieś spokojne mieszkanie, ale jak dotąd bez powodzenia.

Nie opowiedziałam ci o trzecim członku komisji, doktorze Greyu. (Jest szary z nazwiska i szary z natury, to moje pierwsze wrażenie). Poznanie go będzie wymagało trochę czasu. To chudy, poszarzały facet w szarym flanelowym garniturze, o matowym, szarym głosie. Byłam — a właściwie jestem — zaskoczona! Mama bez końca paplała o Austinie Greyu z uniwersytetu McGilla — ekonomiście, statystyku, stypendyście Rhodessa,

poecie — i nie wiem, czego się właściwie spodziewałam, sądziłam jednak, że nie będzie po prostu... szary. Na tle niewiarygodnej Jessiki i pięknego Vance'a wydaje się jeszcze bardziej szary. (Vance poprosił, bym mówiła mu po imieniu, ale to nie takie łatwe. Gdy zwracam się do niego w ten sposób, mam wrażenie, jakbym rozmawiała z gwiazdorem filmowym). W obecności doktora Greya Jessica kontroluje swój zwieracz. Czy wrodzone dostojeństwo narzuca innym powściągliwość, jak zawsze do znudzenia powtarzała mama? Będę miała oczy, a raczej uszy otwarte, dam ci znać.

Całuję Jock

29 Sweet Cedar Drive

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

9 września

Kochana Jock,

właśnie przyszedł Twój list i niesłuchanie podniósł mnie na duchu, a więc mogę odnotować dwa plusy w ten poniedziałkowy ranek.

Jestem w nastroju dość optymistycznym, ponieważ dostałem cynk o ewentualnej pracy. Pamiętasz spółkę Sanderson i Sanderson? Talbot Sanderson to ten idiota, który na zeszłorocznym balu sylwestrowym u Ticknowów wystąpił w czarnej pelerynie i przepasce na oku, a jego żona tego samego wieczoru położyła mnie na łopatki w grze *Trivial Pursuit*. Może pamiętasz, że nie mieściło się jej w głowie, jak można nie znać nazwiska pana Lassie. Sandersonowie prowadzą razem dość dużą firmę architektoniczną, która ma na swym koncie zupełnie przyzwoite realizacje, chociaż bez rewelacji. Przez pewien czas robili sporo projektów zabudowy miejskiej, ale podobnie jak Robertson musieli zwolnić połowę pracowników. Teraz złapali poważny kontrakt na rozbudowę portu, o której w zeszłym roku pisały gazety, pamiętasz? No i prawdopodobnie będą zatrudniać ludzi.

Choć nikt by się tego nie spodziewał, osobą, która sprzedała mi tę informację *sotto voce*, przez płot, w sobotę rano, kiedy wyszedłem porąbać olchę, był ten stary zrzęda Gil Grogan. Powiedział, że oficjalnie niczego nie ogłoszono, ale rozeszła się wieść, że zatrudnią na jakiś czas dwóch albo trzech ludzi. Oczywiście usiłowałem się dowiedzieć, gdzie usłyszał tę pogłoskę, ale on stał tylko z zadowoloną miną, przestępując z nogi na nogę i mamrocząc coś o trzymaniu ręki na pulsie. (Oto facet, któremu celibat najwyraźniej służy. Od kiedy umarła Meg, zaczął uprawiać jogging i dopuszczać się odwiecznych grzechów ludzkości takich jak gderliwość i sąsiedzka czujność). Niemniej jednak byłem wdzięczny za tę informację i nie omieszkałem mu tego powiedzieć.

Tę samą radosną plotkę o Sandersonie itd. usłyszałem — zgadnij od kogo? — od Twojej matki. (À propos, przechodzi jej przeziębienie. Prosiła, żebyśmy wyraźnie przekazali Ci tę wiadomość, ponieważ jest bardzo zajęta i będzie miała czas napisać do Ciebie dopiero po jesiennym jarmarku). Wstąpiła po drodze do kościoła, żeby przynieść nam ciasto kawowe i potrawkę z bakłażanem. Mieliśmy małego pecha, że nie usłyszeliśmy, jak zajechała pod dom. Weszła frontowymi drzwiami i zastała nas na schodach, w trakcie taszczenia stołu kreślarskiego z sutereny. Greg trzymał stół od góry, ja od dołu, i próbowaliśmy właśnie precyzyjnie się przez to wąskie gardło na półpiętrze. Greg jak zwykle marudził i mnożył problemy, Mia wrzeszczała do nas z góry, żeby prze-

sunąć stół to w prawo, to w lewo, a ja, obawiam się, komenderowałem na całe gardło tonem starszego sierżanta, zagęszczając atmosferę. Słowem, nie przypominało to pikniku rodzinnego w Walton. Twoja matka pojawiła się zniemacka nad ramieniem Mii, blada i zdezorientowana, pytając, co my na litość boską wyprawiamy i czy Jocelyn aby na pewno to pochwała. (Mam nadzieję, że tak, moja piękności, bo prędzej wysadziłbym to cholerstwo w powietrze, niż przesunął choćby o jeszcze jeden cal).

Dla załagodzenia sytuacji spytałem, czy nie miałyby ochoty na kieliszek sherry i, jak należało się spodziewać, powiedziała: „No, może jeden maciupęńki”. Gregowi zaproponowałem zimne piwo. (Ostatecznie stół kreślarski waży tonę, Greg ma siedemnaście lat, a ja sam zamierzałem napić się piwa). Żałuję, że Cię tu nie było i nie słyszałaś suchego tonu, jakim Twój pierworodny odmówił mej płynącej z głębi serca propozycji. „Nie, dziękuję”, rzucił (z szyderstwem), podszedł do lodówki i nalał sobie dużą szklankę zdrowego mleka, które pił, cały czas łypiąc okiem na mnie i moje piwo, z miną tak nabożną, że zacząłem się zastanawiać, czy nie przesadziliśmy czasem z wpajaniem mu purytańskich zasad. W chwili, kiedy napełniałem jej szklankę, Twoja matka wtrąciła, że „odrobina piwa nikomu nie zaszkodzi”.

Deszcz przestał padać na całe dziesięć minut, mogliśmy więc wyjść z naszymi napitkami na taras. (Jest tu teraz tak zielono. Boże, nawet powietrze jest zielone. Myślisz, że to zdrowo oddychać zielonym powietrzem?) Twoja matka wytarła jedno z krzeseł ścierką kuchenną i się na nim usadowiła. Powiedziała, że rozmawiała z przyjaciółmi i usłyszała coś o jakiejś firmie, Sanderson i coś tam — może coś o nich wiem? Mają zatrudnić pół tuzina nowych architektów. Oczywiście spytałem ją, kto podał jej tę informację, ale ona tylko machnęła rękawiczką i mruknęła coś o trzymaniu ręki na pulsie. (Sądziś, że teraz, gdy wynurzyłem się z mojej piwnicy zbudowanej z żuźlowych bloczków, i mnie uda się nabrać niezbędnej umiejętności trzymania ręki na pulsie? Mogę mieć tylko nadzieję).

W niedzielne popołudnie po lunchu złożonym wyłącznie z ciasta kawowo-orzechowego Mia poszła jeździć na wrotkach z Finsteadami, tymi nowymi sąsiadami z naprzeciwka, którzy zaplanowali — jak zapowiedzieli, przychodząc po Mię — całą serię rodzinnych wypadów: w przyszłym tygodniu kręgle, w następną niedzielę piesza wycieczka, a w listopadzie być może wyjazd do Squamish. Greg również się ulotnił, mówiąc, że ma „plany”. Przycisnąłem go. Jakie plany? No, może pójdzie na tor wrotkarski. Na trening? Niezupełnie. Kto tam będzie? Kilku chłopaków. Kiedy wróci? Nie wie. (A kiedyś był taki kochany).

Muszę poprawić moje CV dla Sandersona i reszty i zdążyć, zanim będą opróżniane skrzynki pocztowe. Wszyscy za Tobą tęsknimy!

Uściski Chas

PS: Przestań się martwić, jak poradziś sobie w wielkim świecie. Z moich doświadczeń z biurokracją wiem, że wszystko, co wykracza poza przeciętność, jest uznawane za genialne. Odnajdziesz się w tym doskonale.

Château Laurier 11 września

Drogi Chas,

dzwoniłam do recepcji trzy razy, spodziewając się listu od Ciebie (udawałam, że chodzi o pilną wiadomość). Tymczasem zdam Ci najświeższą relację z moich przygód z Komisją.

Po spotkaniu wstępnym cała nasza czwórka zjadła zapoznawczy lunch w restauracji parlamentarnej, co uznałam za rzecz niezwykle wytworną. (Być może pomimo tak wielu lat spędzonych przez nas w Vancouverze ciągle jestem prostą dziewczyną z Williams Lake). Siedzieliśmy w pięknej sali z arkadami i oknami wychodzącymi na rzekę Ottawę, przy okrągłych stołach, a wokół było pełno ważnych osobistości wszelakiego autorytetu, a także tych mniej ważnych, którzy obserwując tych ważniejszych od siebie, sami nabierają poczucia swego znaczenia. (Ja należę do tej drugiej kategorii).

Gdy weszliśmy do restauracji, omal nie zawylałam, znalazłszy się tuż za plecami ministra ochrony środowiska (nawet mi się nie śniło, że jest aż tak wysoki!), a po chwili spostrzegłam, że towarzyszy mu minister sprawiedliwości (nigdy bym nie przypuszczała, że jest taki niski).

Zaraz jak usiedliśmy, Jessica zaczęła grzebać w kieszeni swoich ohydnych spodni i wyjęła wymiętoszoną paczkę papierosów (Boże, ratuj moje zatoki!), na co senator Pierce — to znaczy Vance — zareagował dość niegrzecznie:

— Kobieto, gdzie twoja silna wola? Wydawało mi się, że rzucasz palenie.

— A ty już nie palisz, Van? — spytała, cedząc słowa. — Co z tobą? Spanikowałeś?

— Nie, odzyskałem zdrowy rozsądek.

Doktor Grey i ja uśmiechnęliśmy się do siebie niepewnie.

— Mają tu niezły bufet. Polecam — poinformował po chwili Grey.

W końcu wszyscy poszliśmy do bufetu w którym rzeczywiście jest ogromny wybór! — i wypiliśmy dwie karafki białego wina. Zaobserwowałam, że Vance wcale nie rozgląda się wokół ani do nikogo nie macha, a ponieważ wydawało się, że wszyscy pozostali poświęcają mnóstwo czasu na zrywanie się z miejsca, by ściągnąć na siebie spojrzenia innych, zachodziłam w głowę, kogo on się wstydzi. Wprawdzie ja ciągle noszę mój granatowo-szary mundurek, jednak jeśli chodzi o strój, zupełnie dobrze wtapiam się w otoczenie. (Prawdę mówiąc, opamiętałam się na tyle, by przejrzeć na oczy i stwierdzić, że mimo wszystko Ottawa nie jest stolicą *haute couture* zachodniego świata).

Potrafię zrozumieć, że Vance wolałby nie kierować uwagi zgromadzonych na osobę Jessiki. Tylko że ona wcale nie zamierzała puścić mu tego płazem.

— Ej, Van — ryknęła w pewnym momencie. — Nikogo tu nie znasz? Jak masz na imię, ty, pani doradco prawny...?

— Jocelyn — odparłam słabym głosem.

— Jocelyn chciałaby pewnie poznać tu jakieś grube ryby.

— Poznała przecież ciebie.

— Psiakrew, Van, stać cię na coś więcej.

Właśnie wtedy do sali wkroczył razem z ministrem finansów nie kto inny jak senator Kennedy we własnej osobie. Tak, tak! Amerykański senator Kennedy. Przyjechał przyjrzeć się (z zazdrością, jak mniemam) kanadyjskiej opiece zdrowotnej. Możesz sobie wyobrazić szmer poruszenia, jaki przebiegł przez nasz szacowny lokal. I jak sądzisz, kogo rozpoznał senator? Jessicę.

— Proszę, kogo ja widzę. Znowu Jess Slattery. Zjawiasz się wszędzie, jesteś jak zły szeląg, co? — zagadnęła. — Jak to, jadasz na koszt rządu?

— Pomogłam to żarcie sfinansować, no nie? — odparła, po czym przedstawiła mu doktora Greya oraz mnie (wstałam z miejsca, powinnam była?), udając, że zapomniała o Vansie, który ugiął kolana, przyjąwszy pozycję ni to siedzącą, ni stojącą i odezwał się po francusku: „*Oh, et un faux senator, Monsieur Pierce*”.

Kennedy uśmiechnął się i mruknął pod nosem: „*Enchanté!*”.

Wszyscy, nawet Jessica, mówią biegle po francusku — jakże żałuję, że mój francuski nie jest lepszy! W tamtej chwili wszystko, co potrafiłam sobie przypomnieć, to słowo „*oui*”. Pewnie dlatego wypłam wtedy zbyt dużo wina.

12 września

Nadal żadnego listu. Hotelowy recepcjonista już nie zwraca się do mnie słowami: „Czym mogę pani służyć?”, tylko rzuca półgębkiem: „Nic nie przyszło”. Z politowaniem.

Muszę kończyć. Niewiele więcej mam do opowiedzenia. Po lunchu Vance podciągnął spięte srebrnymi spinkami mankiety eleganckiej francuskiej koszuli, zerknął na zegarek i oznajmił, że o trzeciej ma spotkanie, ale może jutro zebralibyśmy się nieco wcześniej, przed rozpoczęciem przesłuchań.

— Dokąd tak pędzisz, Van? Jakaś nowa miłość? Vance odpowiedział tonem, który zmroziłby nawet hawajską ulewę.

— Catherine jest moją jedyną miłością i żadnej innej mi nie potrzeba.

Catherine? Zapewne jego małżonka. Jessica była niezrażona.

— Szczęściara z tej Catherine — rzekła, przeciągając głoski. — Wszystkie inne mają pecha. Ruszmy się stąd, do diabła. Spijanie rządowych trunków nie pomoże głodującym kobietom Kanady.

— Z pewnością nikt u nas nie głoduje — oświadczyłam stanowczym tonem.

Jessica odwróciła się i przeszła mnie wściekłym wzrokiem. Chociaż nie, właściwie to nie była wściekłość. Usiłowałam rozszyfrować to spojrzenie. Spodziewałabym się dostrzec w nim coś oskarżycielskiego, wrogość albo pogardę, ale to nie było to. Raczej rodzaj wyzwania, jak gdyby testowała mnie, chcąc sprawdzić, czy równa ze mnie baba. Chyba nie. Boję się jej jak wszyscy diabli.

Zapytała mnie, gdzie mieszkam, a kiedy powiedziałam, że nadal w Château Laurier, ale rozglądałam się za jakąś kawalerką, oświadczyła:

— Ja mieszkam w domu dla samotnych kobiet. Zawsze znajdzie się tam miejsce dla jeszcze jednej osoby.

Odparłam, że mam już coś na oku.

— Jak uważasz — rzekła. — Głośno krzycz, jeśli zmienisz zdanie.

Po moim trupie, pomyślałam, lecz ugryzłam się w język. (Naprawdę mam zamiary na pewną kawalerkę. Trzymaj kciuki).

Wiesz co? Pisanie listów okazuje się pełnić funkcję zarówno terapeutyczną, jak i oszczędnościową. Pomaga mi czuć się bliżej domu, a także porządkować własne wrażenia. Telefon tego nie zastąpi. Boże, tak bardzo doskwiera mi samotność. Żałuję, że postanowiliśmy spędzić osobno Dzień Dziękczynienia — czy już za późno na zmianę decyzji? Chociaż w tej chwili i tak nie mam forsy na bilet. A Ty?

W każdym razie nie mogę się doczekać rozmowy z Tobą w najbliższy weekend — może do tego czasu dostaniesz mój list. Podobno poczta działa coraz sprawniej. To kłamstwo. W tej chwili mam podły nastrój. Dlaczego w skład Komisji musiała wejść akurat Jessica?

Ucałowania Jock

PS: Właśnie przyszedł Twój list. Recepcjonista sam do mnie zadzwonił! Mówił takim podnieconym głosem, jak gdyby otworzył kopertę. Jestem bardzo przejęta wiadomością o Sandersonie — co słyhać w tej sprawie? Zadzwoń, gdy dostaniesz pracę.

29 Sweet Cedar Drive

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

15 września

Droga Jock,

na razie żadnych wieści w sprawie zatrudnienia u Sandersona. Już tydzień, jak wysłałem podanie — napisałem je przy stole kreślarskim, którego blat opuściłem do pozycji poziomej, żeby ustawić komputer. Straciłem dwie godziny na poprawianiu i wystukiwaniu życiorysu, nadając mu kształt zgodny z Twoimi sugestiami, eksponując fragment o projektowaniu lotniska, bagatelizując zaś złoty medal uniwersytecki, który, wzięwszy wszystko pod uwagę, może teraz wywoływać jedynie rumieniec wstydu. Potem wysmażyłem długi, uniżony i do bólu stateczny list o tym, jak to niesłuchanie fascynują mnie projekty zabudowy nabrzeży miejskich oraz — tu Cię zaskoczę, Jock, tak samo jak zaskoczyłem samego siebie — jakim to jestem wspaniałym, kompetentnym i nietuzinkowym architektem. Muszę jedynie związać się z młodą, dynamiczną i nowoczesnie zarządzaną firmą, by dzięki niej nie rozmieniać swojego talentu na drobne. I tak dalej, i tak dalej.

Myślę, że zachowałem właściwe proporcje: mniej więcej trzy piąte samochwalstwa i dwie piąte zawodowego przyzwoleństwa. Podejrzewam, że w wieku czterdziestu siedmiu lat podlizywanie się nie powinno przychodzić mi z taką łatwością, najwyraźniej jednak mam do tego smykałkę, zwłaszcza po spędzeniu dziewięciu bitych miesięcy w suterenie, i to w pełnym wymiarze godzin. Napomknąłem naturalnie o czternastu latach u Bettnera, odzegnując się od wszelkich związków z procesem Broadway-Peterkin, napisałem również o ostatnich ośmiu latach u Robertsona (zauważ, jak sprytnie pominąłem rok dorywczej pracy na zlecenie, a co!) i wskazałem na „trudne realia ekonomiczne” jako powód rozwiązania mojej umowy o pracę. Uznałem, że brzmi to mocniej niż „recesja” bądź „obecna sytuacja finansowa”. Co o tym myślisz? „Trudne realia ekonomiczne” mają odrobinę gorzki wydźwięk, złagodzony jednak przez pewien rodzaj pragmatyzmu pasujący do mojego Nowego Bezrobotnego Ja, które z takim wysiłkiem staram się sprzedać. Boże, mam nadzieję, że coś z tego wyjdzie. Nawet tymczasowy kontrakt, sześciomiesięczny albo roczny, mógłby stanowić wstęp do czegoś stałego, a przynajmniej pomóc nam nadrobić zaległości w spłacaniu domowych rachunków. Dam znać, gdy tylko dowiem się czegoś konkretnego.

Popelnilem błąd, zostawiając włączony komputer. Greg przeczytał moje wypociny, kiedy wszedł, pogwizdując, w porze kolacji.

— Naprawdę masz zamiar to wysłać? — rzucił. — Czy to tylko przymiarka na brudno?

— A co tu nie gra? — spytałem.

Serwowałem właśnie zapiekanekę z bakłażana, którą przyniosła Twoja mama.

— A nic — powiedział te słowa w ten swój irytujący, niedbały sposób, który bez wątpienia pamiętasz.
— Pewnie jest okay.

Wiedziałem, że wcale tak nie uważa. Chyłkiem wymknął się z kuchni do salonu, zabierając ze sobą talerz. Zadawałem sobie pytanie, co siedemnastoletni dzieciak może wiedzieć na temat oficjalnych pism. Mimo to poszedłem za nim do pokoju.

— Co właściwie w tym liście jest nie tak? — zapytałem.

— Te „trudne realia” — wyjaśnił. — To trochę, no wiesz, trochę jak...

Musiałem go ponaglić:

— Trochę jak co?

— No, jak zebranie.

Odpowiedziałem mu z całym spokojem, na jaki potrafiłem się zdobyć, że zastanowiłem się głęboko nad tym określeniem, rozważyłem je i uznałem za najlepszą z możliwości.

— Jak chcesz — rzekł i zasiadł do oglądania powtórki Archiego Bunkera, którego, jestem pewien, wołałby mieć za ojca, gdyby tylko dano mu wybór.

Tak czy owak list musiał już dotrzeć do adresata, klamka zapadła i nie pozostaje mi teraz nic innego, jak usiąść i obserwować rozwój wydarzeń. Czekanie jest najgorsze — ściany zdają się napierać coraz mocniej. Często myślę o Tobie, jak przesiadywałaś w tej kuchni, czekając, aż dzieci podrosną i pójdą do szkoły, a potem z kolei wyglądałaś wiadomości, czy przyjęto Cię na prawo. Jak sobie radziłaś przez cały dzień?

À propos, wczoraj wieczorem oglądaliśmy wywiad z senatorem Pierce'em w *The Fifth Estate*. Myślę, że porównywanie go do Roberta Redforda jest nieco przesadzone, zważywszy na jego brzuszek jak piłeczka i chrapliwe fukanie do mikrofonu. Mia zapytała z całkowitym niedowierzaniem: „Czy to nowy szef mamy?”, a Greg skomentował: „Jeśli ten napuszony indor nie będzie uważał, skaleczy kogoś swoimi spinkami do mankietów”. Niemniej jednak powiedział też coś do rzeczy (mam na myśli Pierce'a), zwłaszcza na temat sytuacji wdów.

Z niecierpliwością oczekujemy relacji z Twoich kolejnych przygód. Tak, zgadzam się, listy sprawdzają się chyba lepiej niż przeklęte telefony. Bez wątpienia to nasze purytańskie matki, chwala im za to, wpoily w nas poczucie winy z powodu nadmiernych kosztów rozmów międzymiastowych. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że kiedy łapię za słuchawkę, nagle odejmuje mi mowę albo ograniczam się do farmazonów na temat kwiatków i pogody?

Dzisiaj położę się spać wcześniej. Jadę jutro do college'u Capuano zapisać się na kurs komunikacji społecznej polecany przez Gila Grogana — co mi szkodzi udoskonalić kilka umiejętności w oczekiwaniu na odpowiedź od Sandersona. A po południu przeprowadzam rozmowę z panią, która odpowiedziała na moje ogłoszenie o poszukiwaniu pomocy domowej. Kobieta wyszukana przez Twoją matkę zupełnie się nie nadawała: zażądała siedemdziesięciu dolarów za sześć godzin sprzątnięcia — zdzierstwo — i oświadczyła, że czułaby się nieswojo, gdyby podczas jej pracy pan i pani (chodzi o Ciebie, kochanie) byli w domu. Wyjaśniłem, że dołożę wszelkich starań, by nie wchodzić jej w drogę i siedzieć cicho jak myszka, na co ona stwierdziła, że i tak ma już za dużo roboty. Być może ta nowa kandydatka sprosta zadaniu. Przez telefon sprawiała wrażenie osoby

bardzo pogodnej, a prawdę mówiąc, odrobina humoru nie zaszkodzi. Potrzebny nam ktoś, kto zaprowadzi trochę ładu. Buty kleją się do podłogi w kuchni, to wyjątkowo osobliwe uczucie.

Całuję Chas

PS: Jaka soczewica? Nie mogę jej znaleźć — prawdopodobnie dlatego, że nie mam pojęcia, czego, do diabła, szukam.

Old Town Lane 4 Ottawa, Ontario 18 września

Mój drogi Chas,

uwielbiam dostawać od Ciebie listy. Czy zdajesz sobie sprawę, że jesteśmy małżeństwem od dwudziestu lat, a nigdy dotąd do siebie nie pisaliśmy? Odnoszę wrażenie, jakby odkrywało się przede mną ukradkiem Twoje całkiem nowe Ja, które było dotąd przyczajone i którego istnienia nawet nie podejrzewałam. Czy Ty czujesz tak samo? Właściwie to dość przerażające.

Piszę kilka słów na chybcika, żeby powiadomić Cię o znalezieniu mieszkania. Jest niezbyt imponujące (mówiąc ogólnie), ale i nie obskurne. W ogłoszeniu była mowa o kawalerce, tymczasem okazało się, że jest o klasę wyżej. Ma oddzielną sypialnię, najmniejszą w całym zachodnim świecie, ale jednak osobną. Jest tam podwójne łóżko — zajmuje sporo miejsca, lecz pielęgnuję w sobie nadzieję, że chociaż raz mnie odwiedzisz — oraz stolik nocny, który dzieli od drzwi dokładnie trzy centymetry. Wciśnięta w róg przy nogach łóżka — z całymi trzydziestoma centymetrami wolnej przestrzeni — stoi sfatygowana, poobijana brązowa toaletka. Ubrania nie mieszczą się w sypialni, muszę trzymać je w maleńkiej szafie na szczycie schodów — wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie, ale uwierz mi na słowo.

Połączony z kuchnią pokój dzienny jest niewielki, ma za to mały drewniany balkonik, który wychodzi na malusieńki park. W Ottawie pełno jest parków — pamiętasz, jak rzuciło się nam to w oczy, gdy przyjechaliśmy tu z dziećmi? Doktor Grey zauważył, w swój subtelny sposób, że powinnam korzystać z nich do woli, ponieważ płacą za nie podatnicy z całej Kanady, nie tylko z Ottawy.

W oddali po drugiej stronie widać ratusz, a gdyby mocno się wychylić (to zaledwie pierwsze piętro, niezbyt duże ryzyko), można zobaczyć Sussex Drive. Kiedy wspomniałam Austinowi — doktorowi Greyowi — że dom premiera jest położony dosłownie na splunięciu, stwierdził, że na moim miejscu raczej nie zdołałby oprzeć się pokusie.

Austin jest w gruncie rzeczy całkiem miły. Wczoraj strasznie się zbłądziłam — poprawiłam odpowiedź Jessiki na raport dotyczący równości płac, chcąc dostosować ten dokument do obowiązujących, według mnie, przepisów. Okazało się tymczasem, że źródło moich informacji jest nieaktualne od dwóch lat. Jessica klepnęła się w kolano, a ściślej, w świecąca na nim dziurę w džinsach, i ryknęła: „Chryste, i takie brednie podają za prawo w Krainie Wiecznej Szczęśliwości?”

Myślałam, że spalę się ze wstydu i było mi tak głupio, że nie mogłam przełknąć obiadu. Dziś rano znalazłam u siebie na biurku należący do Austina egzemplarz nowych przepisów wraz z wierszem:

Ulżyć doli kobiet do pracy najętych

Oto praw tych zbożny cel,

Lecz trudzisz się tylko daremnie,

Twierdząc, że znasz je od A do Zet.

W każdym razie bliskość mojego lokum i domu premiera nie oznacza bynajmniej, że okolica ociera się o elegancję. Bo nie ociera się. Pamiętasz ten cudowny targ w Ottawie, na który zaprowadziliśmy dzieciaki? Otóż za nim rozciąga się obszar zwany Starym Miastem, zabudowany mieszaniną bardzo skromnych domów z drewna i cegły, z których część jest poddawana restauracji przez Stołeczną Komisję Państwową. Ja mieszkam w jednym z nie odnowionych dwukondygnacyjnych drewnianych budynków bardzo blisko Rideau Street, a do Wzgórza Parlamentu mogę dojść na piechotę (około dwudziestu minut drogi). Trudno więc o lepszą lokalizację.

Powróćmy do pokoju dziennego. Jak już mówiłam, jest mały. Umeblowany okropnie: zdezelowana, rozkładana kanapa, która może służyć za łóżko (na wypadek odwiedzin kogoś z dzieci), obita tanim brązowym tweedem, fotel do kompletu, stolik do kawy i — nie do wiary — wykuszowe okno. Z poduchami i widokiem! Ładne. I, jak wcześniej wspomniałam, przeszklone drzwi prowadzące na mały drewniany balkonik, który przychodzi mi na myśl Charles'a de Gaulle'a. (Nie pytaj dlaczego). A najdziwniejsze ze wszystkiego jest to, że schody wiodące od drzwi frontowych są wyłącznie do mojego użytku. Stanowią część mieszkania! Drzwi wejściowe na parterze z numerem 4 należą do mnie. Kiedy przez nie przejdę, wspinam się na górę długimi schodami i trafiam od razu na otwarte, niczym nie oddzielone niewielkie półpiętro z szafą na ubrania tuż na wprost. Po prawej stronie znajduje się wejście do pokoju dziennego. Bez żadnego łuku, kotary, po prostu ot, tak. Ten brak oddzielenia schodów od reszty mieszkania sprawia, że czuję się dość niepewnie, a do tego spodziewam się przeciągów. (Dręczą mnie również obawy, że ja sama albo ktoś inny stoczy się kiedyś na sam dół).

No i to właściwie wszystko oprócz bardzo ciasnej łazienki, którą ktoś w przyływie psychodelicznego obłądzenia lat sześćdziesiątych pomalował na fioletowo-różowo. Fioletowa wanna, klozet w tym samym kolorze, a ściany i blat pokryte wściekłym różem.

Ach, byłabym zapomniała, kuchnia składa się ze zlewu, płyty kuchennej, mikrofalówki, małej lodówki i niewielkiego blatu od strony schodów. Brzmi to okropnie, wiem (wszystko zależy od punktu widzenia; Jessica głośno wyraża swą pogardę — uważa mieszkanie za ekskluzywne), lecz w gruncie rzeczy jest przyjemnie. Pokój dzienny ma zabawne załamania, a okno w wykuszu i widok na park tworzą namiastkę domowej atmosfery. Albo chociaż nadają mu trochę przytulności. Potrzebne mi biurko — wprawdzie powstało jakieś małe zamieszanie wokół mojej wypłaty, ale kiedy wreszcie dostanę pieniądze, może uda mi się znaleźć coś taniego.

Właśnie rzucam okiem na Twój list i spostrzegam z niejakim zdumieniem, że Ty i dzieci uznaliście, iż Vance ma wystający brzuch. W rzeczywistości zeszczupłał, podobno znowu co rano uprawia jogging nad kanałem.

Co do Twoich kłopotów z panią do sprząkania — czy kiedykolwiek przyszło Ci do głowy przeliczyć, ile to wychodzi na godzinę, siedemdziesiąt dolarów za sześć godzin pracy? Około dwunastu. Potwierdza się to, co nieustannie słyszymy o dysproporcjach w zarobkach kobiet i mężczyzn. Oszczędzę Ci kazania, które miałabym ochotę wygłosić, i ograniczę się do zwrócenia uwagi, że w dzisiejszych czasach sprzątaczkę liczą sobie co najmniej piętnaście dolarów za godzinę. Dlatego radziliśmy sobie bez pomocy. (Nie sugeruję, kochanie, że i Ty masz się bez niej obywać).

Umieram z ciekawości, co słyhać w związku z Sandersonem i resztą. Zadzwoń, gdy się czegoś dowiesz, pal licho koszty. Zaczekaj — na razie nie mam telefonu. Sama zadzwonię, jak tylko go podłączą (obiecali jutro).

Ależ tęsknię za dziećmi! Uważasz, że Greg jest wyjątkowo nieznośny? Jeśli tak, zastanawiam się dlaczego. Czy może mieć to coś wspólnego z moim wyjazdem? Spodziewałabym się, że Mia boleśniej odczuje rozłąkę, wychodzi jednak na to, że uwielbia odgrywać rolę młodszej mamy.

Materac jest wybrzuszony z jednej strony. Gdybyś był tu ze mną, chętnie oddałabym Ci tę wygodną część.

Ucałowania Jock

PS: Mógłbyś zatelefonować do mamy i podać jej mój nowy adres? Nie czuje się pewnie, jeśli nie potrafi mnie zlokalizować.

PPS: W przyszłym tygodniu rozpoczynamy właściwe przesłuchania. Dotychczas przeglądaliśmy pisemne raporty, lecz teraz członkowie Komisji będą mieli okazję przeprowadzić bezpośrednie rozmowy z osobami, które je sporządziły. Vance twierdzi, że nie powinnam mieć oporów przed zadawaniem pytań, martwię się jednak, że może być to odebrane jako arogancja. Co o tym myślisz?

29 Sweet Cedar Drive

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

25 września

Droga Jock,

moje słońce, *déjà vu* przybrało namacalne formy. Nie do wiary! Jestem pewien, że ze swojej strony działałaś nieświadomie, ale czy zdajesz sobie sprawę, że Twoje nowe mieszkanie w Ottawie — z wyjątkiem galeryjki à la Charles de Gaulle — jest dokładną kopią apartamentu przy Dziesiątej i Cambie, w którym mieszkałaś, gdy Cię poznałem? Mój Boże, czytałem Twój list, czując suchość w otwartych ze zdumienia ustach. Takie samo mieszkanie — okno wykuszowe, szafa na półpiętrze, brak drzwi i mała, smętna, obłuczona toaletka, a nawet (na pewno pamiętasz) podwójne łóżko wybruszone po jednej stronie. Co znaczy ta analogia? Zadaję sobie to pytanie, popadłszy w nastrój kontemplacyjny w dzisiejszy deszczowy poranek. Cóż to może oznaczać?

Tak, deszcz pada i pada. Najwyraźniej ustanawiamy właśnie jakiś rekord. Świetnie. Niewątpliwie to jakiś spisek rządowy mający na celu odwrócenie uwagi od „trudnych realiów ekonomicznych”. Jednak pomimo zimnych wiatrów i zasnutego nieba w kuchni jest o sto procent jaśniej, zdjęłem bowiem nasze stare, ciężkie zasłony — będziesz zdumiona, widząc różnicę. Niestety, jestem teraz narażony, w mniejszym lub większym stopniu, na nieustanną, baczna lustrację ze strony Gila Grogana. Ilekroć podnoszę wzrok, widzę tego starego zgreba, jak sterczy przy oknie kuchennym, absurdalny i samotny, i wymachuje do mnie filiżanką do kawy. Twoja matka odniosła się sceptycznie do pomysłu zdjęcia przez Sue zasłon, ale powiedziałem jej, że byłabyś mi za to wdzięczna. Dałem je (zasłony) jej (Twojej matce) do sprzedania na Jesiennym Jarmarku, choć Sue nie potrafi sobie wyobrazić, by ktokolwiek skusił się na ten specyficzny odcień wpadającej w fiolet zieleni.

Sue — to znaczy Sue Landis — jest naszym nowym skarbem i wybawieniem. Nie przyklejamy się już do podłogi ani nie wzniesamy stopami tumanów kurzu, chodząc po dywanie w salonie. Ona nawet zmienia pościel (po raz pierwszy od Twojego wyjazdu) i wyrzuca zgniłe pomarańcze oraz skórki od sera, a także puste pudełka po płatkach śniadaniowych. Nazywamy ją czterogodzinnym dynamo i jest warta każdego centa z tych siedemdziesięciu dolarów — nie myliłaś się, skarbie, co do obecnych stawek dla pomocy domowych.

Była u nas dwa razy, a dom łśni. Odkąd zaczęła przychodzić, nawet Greg nie obnosi się już z taką ponurą miną, prawdopodobnie dlatego, że nauczyła go nowego akordu gitarowego.

Muszę przyznać, że nie bardzo odpowiada zakorzenionym w mojej głowie wyobrażeniom na temat sprzątaczek, które miałem przed oczami, umieszczając anons na tablicy ogłoszeń w Cap College. Bóg jeden wie, czego oczekiwałem, lecz kiedy zjawiała się u nas w zeszłym tygodniu, pomyślałem, że zaszło jakieś nieporozumienie. Po pierwsze jest młoda — trzydzieści dwa lata — nosi dzinsy oraz sweter, za który Mia dałaby się powiesić, i ma bujne, wściekle rude włosy. A do tego jest inteligentna! (Jock, na litość boską, nie racz mnie kazaniem w duchu Jessiki na temat stereotypów i męskiego sposobu postrzegania kobiet. Daruj mi tym razem, bo i tak mam już wyrzuty sumienia).

Usiedliśmy w kuchni na filiżankę Red Zingers (Sue nosi ze sobą własną herbatę ekspresową, uważa, że kofeina jest zdecydowanie rakotwórcza, i przytacza na dowód wstrząsające statystyki). Sue opowiedziała mi co nieco o sobie. Sprzątanie traktuje jako tymczasowe zajęcie, źródło utrzymania, póki nie odzyska dawnej posady albo nie znajdzie czegoś nowego. Do 15 sierpnia pracowała w Ministerstwie Oświaty jako członek grupy zajmującej się problemem molestowania seksualnego dzieci. Jej praca polegała na odwiedzaniu szkół miejskich i odgrywaniu scenek obrazujących sytuacje, z którymi dzieci mogą zetknąć się w rzeczywistości. Rząd doszedł jednak do wniosku, że działalność grupy to nic innego jak kosztowne społeczne fanaberie, i odwołał cały program. Sue twierdzi, iż w wyniku tej decyzji prowincja poniesie o wiele wyższe koszty. Zapala się dość mocno przy tego rodzaju tematach, wobec czego zdążyliśmy już odbyć kilka burzliwych dyskusji, a w zasadzie otwartych sporów, co w sumie stanowi o niebo lepszą rozrywkę niż analizowanie rynku papierów wartościowych z Gilem. (Boże, jaką ten facet przyrządza ohydną kawę. Chyba ją zagotowuje).

Sue była ciekawa, co robisz w Ottawie. Zadawała wszelkie możliwe pytania. Uważa, że już najwyższy czas, by ktoś gruntownie zbadał obciążenia ekonomiczne, które spadają na barki kobiet, zwłaszcza samotnych matek. Odnosiłem jednak dziwne wrażenie, że podczas tej perory bacznie lustruje naszą drukarkę laserową, Toni Onley w jadalni, chiński dywan w holu itd., itd., zachodząc w głowę, co, u licha, taka para mieszczuchów może wiedzieć o ubóstwie.

A skoro już o tym mowa, Twój zacny senator wydaje się mieć równie niewielkie rozeznanie w sytuacji biedoty — tak przynajmniej wynika z zakamuflowanego portretu nakreślonego w zeszłym tygodniu przez magazyn „MacLean's” (str. 52). Upper Canada College! Harward! BMW! Chryste Panie, czy on naprawdę kolekcjonuje rzadkie burgundy i dziewiętnastowieczne partytury? Dzieci były zawiedzione, bo w artykule nie wymieniono nazwisk ludzi pracujących w Komisji, ale fragment o „wyjątkowej umiejętności senatora Pierce'a otaczania się oddanymi sprawie, trzeźwo myślącymi realistami” mile nas polechtał i wszyscy pławiliśmy się w jego blasku.

Nadal żadnych wieści od Sandersona, jedynie list z informacją, że otrzymali moje podanie i wkrótce się skontaktują. Mam nadzieję, iż oznacza to ten lub przyszły tydzień — chciałbym uregulować rachunek za piec, wcale nie dlatego, że już depczą mi po piętach. Naprawa pieca kosztowała więcej niż szacowano na początku — stara bajka. Niestety, to przekreśla nasze szanse na spotkanie w Dzień Dziękczynienia.

Kurs komunikacji społecznej w Cap College też nie wypalił. Nim dotarłem do punktu zapisów, spędziwszy uprzednio cały ranek w kolejce, w której czułem się jak Staruszek Czas w mojej tweedowej marynarce i krawacie, powiedziano mi, że grupa jest już skompletowana. Wolne miejsca były jeszcze na jednym kursie — kreatywnego pisania — doszedłem zatem do wniosku, iż nie zaszkodzi spróbować. Zaraz pierwsze zajęcia, muszę pędzić.

Ściskam Chas

PS: Ze stolikiem do herbaty wszystko w porządku. Biała pasta do butów działała cuda.

PPS: Skoro Vance twierdzi, że możesz zadawać pytania, nie rozumiem, dlaczego miałabyś z tego zrezygnować.

Old Town Lane 4 Ottawa, Ontario 30 września

Drogi Chas,

owszem, Vance faktycznie kolekcjonuje rzadkie burgundy — wyobraź sobie, nawet poczęstował mnie łyżkiem! Po dzisiejszych przesłuchaniach zaprosił nas do swojego gabinetu, odkurzył butelkę, otworzył z żartobliwym namaszczeniem i podał wszystkim wino w delikatnych kryształowych kieliszkach na smukłych nóżkach, które — tak się składa — trzyma pod ręką, w biurku. Wino było tak bardzo wytrawne, że musiałam włożyć wiele wysiłku, by zachować *sang-froid* i nie skrzywić się. A doktor Grey — Austin — uniósł swój kieliszek do światła, przymrużył oczy i oznajmił z zachwytem: „Imponujące!”

Vance się rozpromienił, przyznał, że burgundzik jest całkiem, całkiem, a ponieważ Jessica i ja nie wyrzekłyśmy ani słowa (mnie zacisnęły się usta), nie omieszkał trochę się ponaigrawać: „Żadnej pochwały ze strony płci pięknej? Nie odpowiada wymaganiom Kolumbii Brytyjskiej, Jock? Może podać Baby Duck?”

Oczywiście usiłował mnie sprowokować. Ostatnio próżno porównywać mnie do beczki śmiechu, bo, szczerze mówiąc, jestem odrobinę przybita, a poza tym dopiero co wysłuchaliśmy raportu w sprawie samotnej matki, której cały dom to dwa opanowane przez karaluchy pomieszczenia, a dziecko cierpi z powodu niedożywienia!

— Nie zwracaj na niego uwagi, Jock — rzekł doktor Grey, czyli Austin (nie mogę się przyzwyczaić). — Sam fakt piastowania godności senatorskiej nie oznacza jeszcze, że zjadł wszystkie rozumy.

Później potwierdził, że był to zdecydowanie przygnębiający raport.

— Nikt nigdy nie przekonywał, że bieda to coś zabawnego — odparł Vance. — Z drugiej strony należy pamiętać, że jest ona w pewnym sensie stanem ducha.

— Sugerujesz, że te ubogie kobiety powinny po prostu wziąć się w garść i wyrwać z nędzy?

Austin, który wydaje się odgrywać rolę rozjemcy, po części przyznał Vance'owi rację dodając, że ubóstwo nie jest jednak stanem uleczalnym.

— To stan ducha, z którym na przykład ty, Jock, nie masz nic wspólnego.

— Doświadczyłam biedy — zaproponowałam.

Boże, pamiętasz mój pierwszy rok studiów prawniczych?

Kiedy mieliśmy tylko jeden samochód, a dojazd autobusem na uniwersytet zajmował półtorej godziny? Jak liczyliśmy każdy grosz, żeby zbierać na bilet i jak czasem musiałam obejść się bez lunchu?

Vance zadrwił, że nie rozumiem znaczenia tego słowa, a wówczas Jessica, która była dotąd nadzwyczaj milcząca, odezwała się rozwlekłym tonem:

— Powiedz mi, Jock, co byś zrobiła, gdyby twój mąż, jak mu tam...

— Chas.

— Chas? A co to niby za imię?

— Zdrobnienie — wyjaśniłam lekko rozdrażniona. — Od Charlesa.

— Aha. U nas wołaliby na niego Chuck. Zatem, jak już mówiłam, co byś zrobiła, gdyby Chuck...

— Chas.

Jessica wypuściła dym z papierosa, spojrzała na mnie z ukosa przez grube szkła i leciutko się uśmiechnęła.

— Niech będzie Chas... gdyby tak cię zostawił albo... Nie, jeśli odszedłby od ciebie, kiedy dzieci były jeszcze małe? Powiedzmy, zanim obroniłaś dyplom z prawa?

Dziwne, nagle poczułam, jakby napłynął silny podmuch zimnego powietrza i przeniknął moje ciało, tak jakby obok przeszedł duch. Nie przypuszczałam, że drzemię we mnie takie urojenia.

Odpowiedziałam, że prawdopodobnie wzięłabym swój majątek i...

— Majątek? — zapytała (szydlerczo).

— Oszczędności — sprostowałam. — Zebrałabym swoje oszczędności i zrobiłabym dokładnie to, co zrobiłam — poszłabym na studia prawnicze.

— Biedni ludzie nie mają oszczędności. Nadal patrzyła wyzywająco.

— Chas i ja nie opływaliliśmy w dostatki — zauważyłam, wycofując się już na pozycję obronną. (Jessica tak na mnie działa).

Tłumaczyłam, jak musieliśmy zadowalać się fasolką i tuńczykiem w potrawce, a od czasu do czasu pieczonym kurczakiem i odtłuszczonym mlekiem w proszku i jak w czasie recesji lat osiemdziesiątych, kiedy zwolnili Cię z pracy, radziliśmy sobie, dysponując równie skromnymi środkami, co niektórzy ludzie żyjący z zasiłku.

— Nie byliście ubodzy — denerwująco obstawała przy swoim Jessica.

— Owszem, byliśmy!

Uczę się nie ustępować Jessice. Jeśli się nie postawisz, będzie cię gnębić, za to gdy nie pozwolisz sobie dmuchać w kaszę, zaczyna traktować cię, acz niechętnie, z szacunkiem.

— Kiedyś obliczyliśmy nasze dochody i okazało się, że żyjemy na poziomie dziesięciu procent poniżej granicy ubóstwa — oznajmiłam, a następnie zaczęłam opowiadać, jak pewnej zimy dygotaliśmy z chłodu, ustawivszy termostat na sześćdziesiąt stopni Fahrenheita i jak podczas studiów kupowałam ubrania w sklepie z używaną odzieżą.

— Moja droga — rzekł na to Vance — ty wyglądałabyś dobrze nawet w ręcznie tkanej jucie, a jeszcze lepiej bez tej juty.

Aż jęknęłam, taka ogarnęła mnie bezsilność, Austin zaś skonstatował, że istnieje różnica pomiędzy brakiem gotówki a ubóstwem.

— Wiedziałaś, że masz dość inteligencji, by studiować prawo i, chociaż był to zwykle przywilej mężczyzn, nie zamierzałaś siedzieć z założonymi rękami. Poza tym — dodał Vance dosyć z siebie zadowolony — bez wątplenia miałaś możliwość zorganizowania opieki nad dziećmi.

Zaczęłam mówić, że obie babcie pospieszyły z pomocą, lecz Vance przerwał mi, nim zdążyłam cokolwiek wyjaśnić.

— Ha! A teraz wyobraź sobie babunię...

— Wpada w szal, gdy mówi się o niej babunia.

— Mniejsza o określenie. W każdym razie wyobraź ją sobie w kolejce po zasilek.

Moja mama?! W kolejce po zasilek? Nie mogłam powstrzymać śmiechu.

— Nie sposób zedrzeć z niej futra z norek — rzekłam.

Wszyscy wybuchli śmiechem, mnie poprawił się trochę nastrój, a po chwili Jessica ryknęła: „Za biednych!” i jednym haustem wychyliła kieliszek rzadkiego burgunda. Młasnęła wargami, po czym oznajmiła:

— Nienaganna barwa, nie za mocne, może tylko odrobinę ekstrawaganckie — nic dziwnego, że przypadło ci do gustu, Vance. Chwalić Boga, że są fundusze na rozwiązywanie problemu ubóstwa, bo dzięki temu możemy popijać trunki światowej klasy.

To rzekłszy, odwróciła się raptownie, wzięła zamach niczym zawodowy baseballista i cisnęła kieliszkiem o ścianę, na której roztrzaskał się w drobny mak, pozostawiając na białej płaszczyźnie ściekające w dół czerwone smugi.

— Nigdy nie potrafiłaś utrzymać w ręku szkła, prawda, Jess? — powiedział Vance lodowatym tonem.

Oboje nastroszyli się, jak gdyby mieli za chwilę sięgnąć po swoje kołty. Ja i Austin wbiliśmy wzrok w podłogę — i to był błąd. Na bladoniebieskim dywanie między rozprysniętymi kropelkami wina poniewierało się rozbite szkło. Na ten widok z jakąś dziwną jednomyślnością przenieśliśmy spojrzenie na sufit i wdaliśmy się w idiotyczną rozmowę na temat Trzeciego Świata, którą przerwało głośne czknięcie Jessiki. Następnie Jess natarła na mnie i chwyciła za ramię — w przypływie szaleństwa przyjąłam jej zaproszenie na kolację. Kiedy wychodziłyśmy, odwróciłam się i zobaczyłam, jak Vance i Austin spoglądają z namysłem na drugą butelkę dobrego rocznika burgunda. Oddałabym wszystko, byle tylko przyłączyć się do nich.

— Nie spodobał ci się mój toast, takie odnoszę wrażenie — zagrzmiała Jessica, pędząc na złamanie karku po Rideau Street swoim przeżartym rdzą volkswagenem (garbusem, niegdyś żółtym).

— Uważam, że stajesz na głowie, żeby napsuć Vance'owi krwi — odparłam obrzydliwie afektowanym tonem (miewam przerażające wizje, że upodabnam się do mamy). — Jest nadziany, ale to jeszcze nie zbrodnia.

Potem bąknęłam coś o tym, że współczucie ani nie zależy od pieniędzy, ani nie jest przywilejem mniej zamożnych. Głęboko w to wierzę, najdroższy, ale na piśmie trąci to okropnym fałszem i górnolotnością, zwłaszcza że, szczerze mówiąc, ostatnimi laty nie poświęciłam zbyt wiele uwagi zagadnieniu „kobiety a ubóstwo”. A teraz, ni z tego, ni z owego, o niczym innym nie myślę. Rozmyślałam cały dzień i pół nocy i dziękuję

Bogu, że coś zaczyna z tego wynikać. Zwierzyłam się Jess, iż pozostaję pod wrażeniem reakcji Vance'a na Stowarzyszenie Samotnych Matek i że wydaje się być szczerze przejęty losem ubogich kobiet.

— Tak, Vance posiada kilka zalet — przyznała Jessica w zaskakująco pojednawczy sposób. — Nie daj się tylko omamić jego sprytnym fortelom.

Nim zdążyłam zapytać, co, u diabła, chce przez to powiedzieć, zaparkowała wóz przed domem dla samotnych kobiet. Gdy wysiadłyśmy, wypaliła:

— No i co? Nauczyłaś się czegoś?

Jessica bywa czasem trochę męcząca, chociaż lubię prowadzić z nią dysputy. Wiem, nakreśliłam Ci obraz dość przygnębiający, lecz Jess nie jest typem grzebiącego w śmietnikach bezdomnego włóczęgi. Ma głowę na karku. I uwielbia zażarte dyskusje. Z drugiej strony uważa chyba, że dobrze mi zrobi ujrzenie kawałka „prawdziwego życia” — już po raz drugi zaciągnęła mnie do miejsca, w którym mieszka, starego ceglanego budynku w Sandy Hill, gdzie człowiek pogrąża się w nowoczesności domu dla samotnych kobiet. Istne piekło, zresztą czegoś oczekiwać — osiem matek, dzieci w różnym wieku, wspólny salon, w którym króluje telewizor, wspólna jadalnia i wspólne Bóg wie co.

Nigdy nie mogłabym tak mieszkać. (Dlaczego? Pytam samą siebie). Zasiadłyśmy na ławkach przy stole kuchennym, a Jessica nałożyła na talerze pożywny gulasz i podała ciasteczka na proszku do pieczenia — smaczne, ale nie byłam jakoś strasznie głodna. Znowu poruszyła temat biedy jako stanu ducha.

— Podczas Wielkiego Kryzysu... Jęknęłam.

— Masz coś przeciwko Wielkiemu Kryzysowi, Jock?

— Przepraszam. Tylko że wszyscy wywlekają go na wierzch, gdy pragną coś udowodnić.

— To się nazywa wyciąganie wniosków z historii.

— Już dobrze, dobrze.

Jej argument był absolutnie trafny, nawet ja musiałam się z nim zgodzić. W tamtych czasach inteligentni, wykształceni ludzie klepali biedę większą niż wielu spośród tych, którzy korzystają dziś z pomocy społecznej, jednak według Jessiki nie czuli się ubodzy.

— Nigdy nie uważali, że przynależą do klasy społecznej, której wyznacznikiem jest ubóstwo, podobnie jak ty nie myślałaś o sobie w ten sposób w czasach studenckich.

Muszę przyznać, że Jessica potrafi stymulować intelektualnie, co jest jedną z ostatnich rzeczy, jakich się po niej spodziewałam, widząc ją (i słysząc) po raz pierwszy. Rozwodziła się nad tym, jak nawet bez grosza przy duszy nigdy nie czułabym się biedna.

— Ponieważ, po pierwsze, jesteś pozbawiona negatywnych uwarunkowań społecznych, po drugie, wykształcona, i po trzecie, nawet gdyby jutro porzucił cię mąż, poradziłabyś sobie koncertowo.

Wcale nie, Chas. Wcale bym sobie nie poradziła.

— Nienosisz w sobie poczucia biedy — brnęła dalej Jessica — *ergo*, nie jesteś biedna.

Ergo? Nie rozumiem tej kobiety. Używa okropnego języka i koszmarnie się ubiera, lecz kiedy coś ją nakręci, nie potrafi ukryć swego wykształcenia. Próbowałam dowiedzieć się czegoś o jej przeszłości, ale ona nie pozwala wziąć się na spytki. Zapytałam, czy kiedykolwiek doświadczyła biedy.

— A, kiedyś nie jadłam przez tydzień, bo byłam kompletnie splukana, a w latach sześćdziesiątych podróżowałam po Europie autostopem i zdołałam przeżyć za sto dolców. Nie oddając się przy tym za forszę, jeśli coś podobnego przemknęło ci przez myśl.

Nie przemknęło. Prawdę mówiąc, to chyba ostatnia rzecz, jaka mogła mi przyjść do głowy.

— Ale, psiaakrew, nie jadałam przecież u Maxima — ciągnęła.

Ha! A czy wpuściliby tam Jessicę? Nawet gdyby miała pieniądze? Za żadne skarby. (Nie powiedziałam tego na głos).

Sądzę, Chas, że pod wieloma względami żyliśmy sobie jak u Pana Boga za piecem. Przypatrując się mojemu pokoikowi, czułam się jakoś tak... szlachetnie albo jak ktoś zdolny do poświęceń, ponieważ byłam gotowa żyć w takich warunkach. Tymczasowo. A gdyby miało tak zostać na zawsze? Do końca życia? Bez możliwości ucieczki?

Mój Boże, jesteśmy wielkimi szczęściarzami, mając prawie na własność nasz śliczny cedrowy dom. Cieszę się, że znalazłeś dziewczynę do sprzątanía, przykro mi jednak, że nie przypadły jej do gustu nasze zasłony w kuchni. Chyba nie zacnie zmieniać tapet.

Czy Twoje stosunki z pomocą domową nie stają się zbyt zażyłe? Sądziłam, że należysz do osób, które zawsze dbają o to, by nie mieszać się w układy w pracy, i dziwiło Cię, że ja znam wszystkie szczegóły dość bujnego życia miłosnego mojej sekretarki. Tak czy owak, wiem, że zasłony były zbyt ciężkie, ale wisiały tam właśnie z powodu Gila. Denerwujące, prawda? Dotychczas myślałam, że to jego nieruchome spojrzenie skupia się lubieżnie na seksownym szarym dresie, który noszę po domu. Ale skoro gapi się również na Ciebie, musi być zwyczajnie samotny.

Wreszcie odkryłam idealny sposób na zrzucenie wagi. Gdy nie miałam dzisiaj apetytu, pomyślałam, że może łapie mnie grypa, potem jednak uzmysłowiłam sobie, że coś podobnego już mi się przytrafiło trzydzieści pięć lat temu, na obozie. Nie mogłam wtedy jeść. Tęsknię za domem — czy Ty to sobie wyobrażasz? W moim wieku? Rozejrzyjmy się za tanimi przelotami, jeśli dostaniesz pracę u Sandersona.

Całuję Jock

PS: Święto Dziękczynienia rzeczywiście wypada trochę za szybko.

PPS: Powiedz dzieciom, żeby do mnie napisały! Z tych pomruków przez telefon nic nie wynika.

PPPS: Wierzysz, że oddajemy się słusznej sprawie, prawda? Wysłuchaliśmy dzisiaj relacji kobiety opuszczonej przez matkę w wieku trzynastu lat. Nigdy nie zdołała się po tym otrząsnąć.

29 Sweet Cedar Drive

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

30 września

Kochana Jock,

nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie naostrzę ołówek i opowiem Ci o kursie kreatywnego pisania. (Pamiętasz, zamiast kursu komunikacji). Przyznam, że po pierwszych zajęciach opadają mnie pewne wątpliwości.

Usiedliśmy wokół stołu seminaryjnego w jakieś osiem osób w małej salce bez okien (przekłęci architektki!). Nie pamiętam już, czy kiedykolwiek czułem się bardziej nieswojo. Uczy nas niechlujna, rozmemłana kobieta, która nie omieszkła bezzwłocznie poinformować, że jest poetką z dorobkiem wydawniczym i licznymi nagrodami na koncie. Nazywa się Davina Flowering — słyszałaś o niej? To jedna z tych kobiet — znasz ten typ — którym udaje się uczynić z egzaltacji formę sztuki. Dźga palcem powietrze, pokrzykuje, miota przekleństwami, chwyta się za włosy, szarpie na sobie bluzę — tak jest, Jock, sportową bluzę i to wcale nie od Chapmana — oraz grzmoci pięścią w stół. Od tych drgań wkrótce zaczęły mi dzwonić zęby. Po dwóch godzinach byłem wykończony, myślę, że pozostali również. Każdy z nas siedział skołowaciały, wstydząc się przed samym sobą, że w ogóle się tam znalazł, ale Davina zapewniła nas, iż w ciągu zaledwie jednego, dwóch tygodni poznamy wzajemnie tajniki naszych dusz. (Jeśli zrezygnuję z kursu po następnych zajęciach, mogę jeszcze odzyskać pieniądze, a może również ocalić duszę). Dała nam zadanie na przyszły tydzień — napisać wiersz, odbić go na ksero i przynieść na „warsztaty”, cokolwiek miałyby to znaczyć. Wpadłem na pomysł, że odgrzebię parodię, którą sprokurowałem na firmowy bankiet z okazji przejścia na emeryturę Billa Bettnera. Pewnie pamiętasz.

Jeśliś zdolny utrzymać firmę, co goni ostatkiem sił,

Gdy klienci groszem sypać się nie kwapią,

Jeśli umiesz zdobyć wykonawców, którzy o zapłatę

Bezwstydnie skoczyć do gardła ci potrafią itd., itp.

Wówczas przy kolacji wierszyk wywołał ogólną wesołość, a Bill poprosił mnie nawet o jego kopię, o ile sobie przypominasz.

W wolnych chwilach (proszę o salwę śmiechu) trochę rysowałem, częściowo po to, by zabić czas w oczekiwaniu na odpowiedź od Sandersona, a po części dlatego, że chyba wymyśliłem realną koncepcję przebudowy zachodniej części domu. Wykombinowałem, że moglibyśmy zrezygnować z oddzielnej jadalni, a gdyby wyburzyć ścianę pomiędzy salonem a jadalnią i przedłużyć pokój o kilkadziesiąt centymetrów, zabudowując tę przestrzeń szkłem — podwójnym, oczywiście — moglibyśmy uzyskać efekt werandy i może nawet zainstalować baterie słoneczne. Pożyczyłem z biblioteki dobrą książkę na ten temat i rzecz wydaje się wykonalna. Co Ty na to?

8 października

Przepraszam, jeżeli sprawiałem wrażenie trochę markotnego i mało komunikatywnego, kiedy dzwoniłaś w Święto Dziękczynienia. Rzecz w tym, że zaplanowane przeze mnie spotkanie rodzinne rozłaziło się wraz z upływem dnia, aż w końcu wieczorem zostałem w domu sam na sam z dziesięciokilogramowym indykiem. Najpierw zatelefonowała moja mama (przynajmniej miała dość przyzwoitości, by uczynić to z samego rana) z informacją, że trochę słabo się czuje i nie jest w stanie przeprawić się przez most. Zaproponowałem, że po nią przyjadę, ale znasz mamę. Nie chce być ciężarem i zwracać komuś głowę, zadowoli się mrożonką od Swanson i siedzeniem przed telewizorem, mimo że nigdy nie ma tam nic do oglądania poza bandziorami o niewyparzonych gębach i młodymi rozczochanymi kobietami itd.

Około południa znowu zadzwonił telefon, tym razem Twoja mama. Dekoruje salę na Jarmark Jesienny w St. George's i jest „kompletnie zmordowana”. Czy miałbym jej za złe, gdyby w tym roku nie skorzystała z

zaproszenia na świąteczną kolację? Zamierza wcześniej iść spać, zaszyć się w łóżku z gorącym ponczem i dobrą książką. Ani słowa o dzieciach czy duszonym kalafiorze, który obiecała przynieść.

Godzinę później odebrałem telefon od pani Finstead — matki Laurie, koleżanki Mii z przeciwka (tej, która wygląda, jakby wyskoczyła prosto z reklamy świeżego mleka). Pani Finstead — Marjorie — zapytała, czy Mia mogłaby przyjść do nich na kolację. Byliby „szczęśliwi, goszcząc ją u siebie na pokładzie”. Wszyscy „mają bzika na jej punkcie”. Nie wiedziałem, co powiedzieć, lecz wtedy pani Finstead wykrztusiła — czy raczej wyszeptła — jak to jej przykro z powodu... no... dlatego że... doprawdy nie wie, jak to wyrazić, ale bardzo, bardzo współczuje.

W tym momencie przerwałem jej, dając jasno do zrozumienia, że matka Mii wyjechała jedynie tymczasowo na kontrakt rządowy, że nie żyjemy w separacji, a Mia nie jest ofiarą rozbitej, zaniedbującej ją rodziny, i że ja dosłownie przed chwilą polewałem sosem naszego własnego indyka, który siedzi w piekarniku i któremu absolutnie nic nie brakuje. Jednocześnie widziałem, że Mię wręcz rozsadza chęć pójścia do Finsteadów, cóż zatem mogłem zrobić, by nie odegrać roli potwora?

No i zostaliśmy tylko ja i Greg, żeby dobrać się do naszej złocistej bestii. Zabrzęczał telefon i Greg pobiegł podnieść słuchawkę do gabinetu. Wyłoniwszy się stamtąd zaledwie kwadrans przed kolacją, oznajmił, że musi wyjść. Naturalnie zapytałem dlaczego. Coś wypadło, odparł, coś, od czego nie może się wymigać. Przez dobrą minutę staliśmy w kuchni twarzą w twarz. Przypomniała mi się scena z filmu *W samo południe*. Żaden z nas nie odezwał się ani słowem. W końcu ile można wyciągnąć z siedemnastolatka w tego rodzaju sprawie? Zważywszy na okoliczności, nie sposób było obwiniać go o rozbijanie uświęconej tradycją rodzinnej uroczystości. Wzruszyłem ramionami, machnąłem od niechcenia ręką w stronę piekarnika, ale nie chciałem wzorem mojej matki uzalać się nad swą ciężką dolą. Greg rzucił się ku drzwiom.

— Może przynajmniej zjesz kanapkę z indykiem? — wrzasnąłem za nim, ale chyba nawet nie usłyszał.

Przez jakieś dziesięć minut siedziałem w kuchni i wsłuchiwałem się w tykanie zegara piekarnika. Następnie rozległ się dzwonek obwieszczający, że wszystko gotowe: indyk, farsz, ziemniaki puree, sos żurawinowy. Najgorsza kolacja na świecie, a tu jedzenia cała góra. Akurat wtedy zerknąłem przez okno i ujrzałem uśmiechniętą twarz Gila Grogana. Przywołałem go ruchem ręki i we dwóch uszczknęliśmy nieco z ptaszyska oraz opróżniliśmy dwie ostatnie butelki beaujolais, które Twoja matka podarowała mi na urodziny. Był to dość milczący posiłek, tylko przeżuwanie i siorbanie dwóch facetów, chociaż raz Gil wymamrotał coś nabożnego o tym, jak wiele mamy powodów, by być wdzięcznym. Obawiam się, że spudłował z tym tematem.

Wniosek jest jeden, moja ukochana, trzeźwo myśląca realistko: czasem tu za Tobą tęsknimy. À propos, jak się robi to curry z indyka, które nam gotowałeś?

Uściski Chas

PS: Znalazłem soczewicę. Co teraz?

Old Town Lane 4 Ottawa, Ontario 10 października

Drogi Chas,

przeczytawszy o Twojej kolacji w Święto Dziękczynienia, czułam się podle, bardzo podle, przeokropnie podle. Najpodlej od czasu wyjazdu z domu. Na miłość boską, co ugryzło nasze matki?

Jak Ci wiadomo, wysłuchałam w życiu niezliczonych tyrad z ust mojej rodzicielki na temat zaproszonych na kolację gości, którzy udowodnili brak dobrego wychowania, nie uprzedziwszy gospodarzy odpowiednio wcześniej o swojej nieobecności — „Czyż nie zdają sobie sprawy, ile to wymaga przygotowań?... Żadnego szacunku dla uczuć innych ludzi... Traktują człowieka jak służącego...” Doprawdy nie przypominam sobie, kiedy ostatnio wezbrała we mnie tak piekielna wściekłość!

Szczerze mówiąc, Chas, nie mogłam zagłuszyć w sobie żalów i pretensji, które krążyły w moich myślach, kłębiły się i pastwiły nade mną, wygłaszane tonem podejrzenia przypominającym głos mojej mamy. Zwierzyłam się Vance'owi, że duszony kalafior był gwoździem do trumny, a kiedy on w odpowiedzi na to parsknął śmiechem, w pierwszym odruchu miałam ochotę palnąć go prosto w ten jego arystokratyczny nos. Na szczęście głos matki zamilkł w połowie zdania i tymczasowo odzyskałam zdrowie psychiczne. Nie, z reguły nie rozprawiam z Vance'em o sprawach prywatnych, ponieważ jednak byłam wyraźnie wytrącona z równowagi, nalegał na rozmowę, a przecież głos matki nie potrzebuje nigdy jakiegóż szczególnej zachęty.

Van jest zaskakująco serdecznym mężczyzną jak na posiadacza BMW i całej reszty. I rzeczywiście udało mu się mnie pocieszyć dość zgryźliwą relacją z pewnej świątecznej kolacji, którą zaprzepaścił bezpowrotnie kiepskiej jakości burgund wybrany przez jego żonę. Co za męka!

Ja nie spędziłam Święta Dziękczynienia w pojedynkę, choć samotność byłaby może przyjemniejszym rozwiązaniem. Wiem, zakrawa to na niewdzięczność, przecież Jessica była tak miła, by zaprosić mnie do domu dla samotnych kobiet na indykowe obżarstwo, a poza trzylatkiem, który zatarł sobie oko sosem żurawinowym, psem, który zadławił się kością z indyka i któremu trzeba było czym prędzej zadać mocny cios w miejsce odpowiadające splotowi słonecznemu u człowieka (usuwając w ten sposób kość wraz z całą zawartością żołądka), dzieckiem, które rzuciło butelką w mój kieliszek z winem, trafiając bez pudła (wina było pod dostatkiem — ten gatunek jest sprzedawany w galonowych butlach) — poza tym wszystkim impreza nawet się udała, zresztą ja i tak nie miałam apetytu.

Myślę, że trudność wynikała z poczucia wyobcowania. Przed kolacją Jessica i ja odbyłyśmy jedną z naszych nie kończących się zażartych sprzeczek na temat pochodzenia jako determinanty ubóstwa. Ona uparła się zradykalizować moje poglądy, jednak ja nie mam wcale pewności, czy jestem gotowa zdradzić pocziwą starą klasę średnią, która mimo wszystko nieźle nam służy.

Jessica właśnie zaczęła wygłaszać tyradę na temat władzy, jak to nikt, zwłaszcza mężczyźni, nie rezygnuje z niej bez walki, gdy podeszła do niej jedna z mieszkanek domu i zapytała, czy może zamienić słowo.

— Wal — rzekła Jessica.

— No, wiesz, musiałam rzucić robotę i w tym miesiącu nie dam rady z czynszem, zastanawiam się więc, czy byłby to problem, gdybym nie płaciła przez kilka tygodni, póki sobie czegoś nie zorganizuję.

— Nie ma sprawy — powiedziała Jessica. — A co z tą robotą?

Kobieta odwróciła wzrok. Miała jakieś dwadzieścia pięć lat, jak przypuszczam, i była dość ładna. Trzymała na ręku dziecko, które później rozlało na obrus moje taniuchne wino (na szczęście obrus był z ceraty).

— Masz, zapal sobie — rzekła Jessica, wstając z miejsca i wyciągając z tylnej kieszeni džinsów paczkę papierosów.

Kobieta poczęstowała się, a kiedy przypalała, Jessica wzięła od niej dziecko. Młoda matka rzuciła mi onieśmiałe spojrzenie, a wtedy natychmiast zdałam sobie sprawę ze swojego wyglądu, spódnicy z dobrej gatunkowo wełny i ładnej jedwabnej bluzki, którą Twoja mama sprezentowała mi w zeszłym roku na Gwiazdkę. Dziewczyna miała na sobie džinsy, poliestrową bluzkę i buty na bardzo wysokich obcasach... nie, to nie ubranie nas dzieliło. Ostatecznie wszyscy noszą džinsy, różnica tkwiła w czymś innym, czego nie potrafię zdefiniować. Już wiem. Gdybyśmy spotkały się na jakiejś imprezie towarzyskiej, od razu zorientowałabym się, że ona jest ulepiona z innej gliny, ona spostrzegłaby to samo i właśnie dlatego była skrepowana. W czym rzecz? We fryzurze? Kolorze szminki? Biżuterii lub jej braku, tysiącu drobnych sygnałów, które mówią: „inna klasa”? Boże, zaczynam gadać jak Jessica.

— To jest Jock — przedstawiła mnie. — Nie gryzie, możesz przy niej mówić. Kłapnijmy sobie.

I, nadal trzymając dziecko, opadła obok mnie na lepiącą się od brudu kanapę, a młoda kobieta, Jean, usiadła naprzeciw nas. Jean nerwowo wypuściła dym i zaczęła opowiadać.

— No bo ja próbowałam wytrzymać, ale menedżer, mój szef, on nie jest właścicielem restauracji, to jest... no, sięć... W każdym razie on się do mnie bez przerwy przystawiał. Nie umiałam nic zrobić, żeby trzymał łapy przy sobie, więc w końcu stwierdziłam: po co się męczyć? Okropnie uprzykrzał mi życie, rozumiesz.

Byłam zbulwersowana, jak zapewne sobie wyobrażasz.

Zerknęłam na Jessicę w oczekiwaniu na wybuch, który, jak mniemałam, nieuchronnie nastąpi. Tymczasem Jessica spuściła tylko wzrok, zgmiotła w popielniczce niedopałek, następnie podała mi Tricię (denerwowałam się, że dziecko opluje mi bluzkę, jedwab nie należy do praktycznych tkanin, a na pralnię chemiczną mnie nie stać) i oświadczyła:

— Wiesz, Jean, nie musisz znosić tego bagna. Dziewczyna miała przerażoną minę.

— Nie warto robić afery, Jess. Niejedno przeszłam, starając się o pomoc finansową od ojca małej. Po prostu szkoda nerwów. Znajdę sobie jakąś robotę, a na razie będę dusić każdy grosz. Przyznają mi chyba zasiłek dla bezrobotnych, tylko że boję się iść po zaświadczenie o separacji.

— Załatwię to, jeśli chcesz.

Twarz Jean rozjaśniła się. W tamtym momencie dziewczyna wyglądała tak ładnie, że zrozumiałam, dlaczego mogła wydawać się swemu nieokrzesanemu szefowi łakomym kąskiem. Wyciągnęła ramiona po dziecko (które, jakżeby inaczej, opluło mnie; czy pralnie chemiczne przyjmują karty Visa?), lecz ja z niewiadomego powodu wcale nie miałam ochoty go wypuścić. Kiedy wreszcie wzięła je ode mnie i przytuliła, poczułam coś w rodzaju ukłucia zazdrości! Myślisz, Chas, że pod wpływem rozłaki człowiek się rozkleja?

— Wiecie co, robię naprawdę fajny sos — rzekła Jean. — Miałybyście chęć skosztować, ty i pani... i Jock?

— Świetny pomysł. Zaserwuj coś Jock, przyda się jej nabrać trochę ciała.

Serdeczne dzięki, Jessica. A jednak zanurzyłam chipsy w sosie i rozwódziłam się entuzjastycznie nad rozbełtaną zupą cebulową i kwaśną śmietaną.

Mimo wszystko, Chas, rozumiem, co Jess ma na myśli, mówiąc o biedzie jako stanie ducha. Gdyby mnie ktoś molestował seksualnie w pracy, nie tolerowałabym tego ani przez sekundę. Oświadczyłabym kategorycznie, że jeśli nie zostawi mnie w spokoju, zgłoszę to Komisji Praw Człowieka, a także zwróciłabym mu uwagę na fakt, że sieć, do której należy restauracja, z pewnością nie będzie zachwycona, widząc, jak media szargają jej opinię. Ale Jean nie postąpiłaby w ten sposób nigdy w życiu, brak jej odwagi, gniewu, poczucia własnej wartości.

Od tamtej pory zaskakuję sama siebie gwałtownymi wybuchami złości, które atakują bez ostrzeżenia, jakby w przypływie lekkiego obłądu. Mogę przysłuchiwać się uważnie raportowi, gdy jakiś przypadkowy zwrot zniecka wyzwała we mnie wściekłość i czuję się jak opętana (we władaniu sił nieczystych, jakby powiedział egzorcysta), zaczynają drzeć mi nogi i ręce i zamazuje się obraz otaczającej rzeczywistości. Czy to nie dziwne? Przecież ja, a właściwie my, Ty i ja, już dawno zaakceptowaliśmy rozumowo nasze role: męską i kobietą, a Bóg świadkiem, że jesteś kwintesencją partnerstwa, bo inaczej nie zostałbyś w domu i użerał się z Gregiem i obiema mamami. Nie wiem — to wzburzenie musi wywodzić się z jakiejś pierwotnej identyfikacji, której nawet sobie nie uświadamiam. Zgodzisz się ze mną, że to dziwne?

Całuję gorąco Jock

PS: Zachowanie Grega w Święto Dziękczynienia nie było zbyt sympatyczne. Ciekawe, co go gryzie?

PPS: Do diabła z panią Finstead.

29 Sweet Cedar Drive

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

15 października

Kochana Jock,

ubóstwo jako stan ducha, tak?

Hmm, owszem, rozumiem, co masz na myśli. Ale czy Ty i Twoja obcesowa przyjaciółka Jessica wzięłyście pod uwagę zdrowie fizyczne jako czynnik warunkujący biedę? W tym tygodniu przekonałem się o jednym: trzydniowy atak szarpiących bebechy skurczów żołądka oraz biegunki walnie przyczynia się do osłabienia wiary człowieka w możliwość kształtowania własnego losu, a nawet w zdolność przetrwania istoty ludzkiej.

Tak, kochana Jock, wszyscy legliśmy w łóżkach. Mia we czwartek, Greg w piątek, a ja w sobotę rano. Nie wpadaj w panikę, Jock, nie łap za słuchawkę, nie pędź na lotnisko. Wszystko wskazuje na to, że się nam polepsza — przynajmniej mogę już utrzymać w ręku gazetę, nie dając się pokonać słabości.

Najgorsze jest to, że najwyraźniej zawiniłem ja i ze wszystkich stron spadają na mnie gromy potępienia jako na lekkomyślnego rodzica, nieodpowiedzialnego obywatela itd., itp. Doktor Hopkins, który złamał swą lekarską przysięgę, składając nam wizytę domową — w drodze na pole golfowe — złązał mnie głośno tymi słowami: „Myślałem, że powszechnie wiadomo...” i tak dalej. Nielatwo przyjąć reprimendę z ust mężczyzny o zdrowej opaleniznie, łatwiej jednak, niż wysłuchiwać dzwoniącej w uszach uwagi Twojej matki, że jest „wprost zaszokowana”, jak mało mam oleju w głowie.

Tak naprawdę to wina indyka. Wredne ptaszysko. Przez kilka dni po Święcie Dziękczynienia raczyliśmy się jego lśniącym mięsiwem, zaspokajając nasze zapotrzebowanie na białko, gdy odzywał się głód. Przez krótką chwilę sądziłem, iż odkryłem sposób, jak uniknąć gotowania i planowania posiłków — wystarczy trzymać w lodówce tłuszcikiego pieczonego indyka i kiedy trzeba, chapnąć sobie kawałek. Niestety wyżeraliśmy również farsz — wysmienity, słowo daję — w którym błyskawicznie mnożyły się zjadliwe bakterie salmonelli, gromadząc siły do przypuszczenia zmasowanego ataku.

Ale, jak już wspomniałem, dochodzimy do siebie. Skruszeni i przeczyszczeni snujemy się we trójkę po domu z kubkami gorącej herbaty i bulionu warzywnego. Greg nigdy nie był tak uprzejmy, posunął się nawet do tego, by zapytać, czy dobrze dzisiaj spałem. Odpoczynek i duża ilość płynów są chyba standardową kuracją. Początkowo tkwiliśmy w swoich pokojach, wpadając na siebie sporadycznie w okolicy drzwi łazienkowych, teraz jednak zaczynamy zbierać się w pokoju dziennym, żeby pogapić się biernie w telewizor.

To odrobinę surrealistyczne siedzieć tak wygodnie w domowym zaciszu, opatulony szlafrokiem oraz kocem, i spoglądać na zgiełk świata na ekranie. No, niezupełnie świata, tylko Kolumbii Brytyjskiej. Ty z pewnością śledzisz tutejsze wydarzenia z Ottawy, ale ciekaw jestem, czy zdajesz sobie sprawę, jak to faktycznie wygląda. Ten strajk zdaje się rozpalać namietności z każdej strony sceny politycznej w znacznie większym stopniu niż niezliczone wystąpienia, których dotąd byliśmy świadkami. Tutaj panuje istne szaleństwo. Na wizji pojawiają się przedstawiciele zarządów wielkich korporacji i grzmia zimnym, nieustępliwym tonem, który zdaje się korespondować z sukcesami ich firm, a już w następnej minucie widzimy przywódcę związkowego, krzyczącego, lamentującego bądź też wykonującego zestaw ćwiczeń agitacyjno-propagandowych, na widok których człowiekowi chce się zarazem wyć i zapaść pod ziemię. Potem nieuniknione zdjęcia ukazujące, jak oddziały prewencji mocują się z jakimś ochlanym piwskim, bełkocącym robociarzem-osilkim i powalają go na bruk. Psy wrywające się ku łatwej zdobyczy. Co się, u diabła, dzieje? Czy naprawdę żyjemy w państwie policyjnym? Trudno uwierzyć, gdy siedzimy tu sobie odizolowani i bezpieczni, popijając płyny, które mają postawić nas na nogi, że gdzieś tam banda złych facetów wykręca ludziom ręce. Robotnicy przejawiają trochę sentymentalnej naiwności spod hasła „zwy-cię-żymy”, ale również uprawiają żenującą retorykę, jednak dominującym odczuciem tłumu na widok przejeżdżających obok autobusów wypełnionych po brzegi grupami łami-strajków wydaje się nieme oburzenie i niedowierzenie, że coś takiego może się dziać w naszej własnej, pięknej miejskiej dżungli.

Ja nie wiem, co o tym wszystkim myśleć, ale Sue Landis, nasza pani Czyścioch, jest wolna od takich dylematów. Całym sercem popiera związek. Uprzedziła telefonicznie, że nie będzie mogła przyjść w poniedziałek, ponieważ wraz ze swoją „babską brygadą” montuje mały efektowny proteścik, kiedy jednak usłyszała, że wszystkich nas powaliła choroba, obiecała zajrzeć pod wieczór. Wpadła około szóstej, podała nam gotowane jajka na grzankach, zmieniła pościel, wyszorowała kuchnię i łazienkę i generalnie pozbierała nas do kupy. (Twoja aluzja dotycząca „spoufalania się z pomocą domową” wydała mi się dość dosadna, skarbie. Ta dziewczyna — którą ogromnie byś polubiła, jestem o tym przekonany — zaprowadza ład w naszej niedomagającej rodzinie i uzdrawia ją).

Pod jednym względem te kilka dni nie było złe. Stosunki pomiędzy naszą trójką jakimś dziwnym trafem znacznie się poprawiły, jest niemal sympatycznie. Mia, która pierwsza wygrzebała się z choroby, obsługuje

czajnik i poprawia poduszki. Greg zachował się jak dotąd na tyle przyzwoicie, by nie oskarżać mnie bezpośrednio o otrucie — właściwie wszystko, co robi, sprowadza się do milczącej obecności. Zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy od kilku lat nie martwię się, gdzie był i czy czegoś nie zbroił. Jaka ulga. Pomimo sytuacji w Afryce, międzynarodowego terroryzmu, ataków na związki zawodowe i dziury ozonowej wszyscy zaszyliśmy się w błogiej enklawie spokoju istniejącego poza czasem. (Pamiętasz tę śnieżycę w 1987 roku, kiedy nie mogliśmy ruszyć się z domu przez dwa dni, i jak wtedy było cicho, tylko my dwoje. Cały dzień płonął ogień w kominku, a my godzinami słuchaliśmy starych płyt z dixielandem).

Wszyscy wokół są mili. Finsteadowie przynieśli ciasto kawowe, jak na razie nietknięte. Moja mama dzwoni codziennie, pyta o nasze zdrowie, po czym zaczyna szczegółowo rozwodzić się na temat swojego — od piekących oczu począwszy, na sztywniejących kostkach skończywszy. Może napiszesz do niej kilka słów. Ostatnimi czasy sprawia wrażenie lekko roztargnionej. Wczoraj wieczorem powiedziała coś o Twoim pobycie w Halifaxie. Przypomniałem, że jesteś w Ottawie, a ona na to, że tak, tak, oczywiście, w Ottawie.

Twoja mama odwiedziła nas kilka razy — zachowywała bezpieczną odległość — racząc nas zupą oraz wysoką buteleczką rewelacyjnej zielonej mikstury — pogromcy bakterii, którą wynalazła osobiście.

— W razie choroby czyni istne cuda — zareklamowała. — To tajemna receptura.

Ciągle pyta, jak się miewasz i czy ostatnio dzwoniłaś. Wyjaśniłem jej, że zamiast do siebie telefonować, postanowiliśmy pisać listy, ona zaś najwyraźniej uznała ten pomysł za cudownie oryginalny. Żałuje, dodała, że sama jest zbyt zajęta na korespondencję, może po Jarmarku Jesiennym... dając do zrozumienia, iż czego jak czego, ale wolnego czasu to mi nie brakuje. A może popadam w paranoję? Nie zadałem sobie trudu, by jej wytłumaczyć, że staramy się zmniejszyć rachunki za telefon.

Jak dotąd Gil Grogan tylko raz zażartował na temat „indyczej biegunki”, za co jestem mu wdzięczny. Zrobił nam zakupy, a nawet przystrzygł w niedzielę żywopłot od naszej strony, mówiąc, że cieszy się, iż ma zajęcie. Z jakiegoś powodu ta uwaga wydała mi się dojmująco smutna. W sobotę wieczór, kiedy czułem się najparszywiej, przycupnął w kącie naszej sypialni i czytał mi na głos gazetę. Byłabyś zdumiona, słysząc jak czyta — elegancko, bez zająknięcia, jakby rozwijał ze szpulki jedwabną nić. Nieudacznym starym Gil. Przeczytał wszystko od deski do deski, sport, wstępniak, nawet listy do redakcji. (Załączam jeden z nich, który pozwoli Ci poznać smak naszej małej wojny podwórkowej).

Pytałaś o Sandersona. Przez ostatnie kilka dni byłem bliski chwycenia za słuchawkę i zadzwonienia do nich, żeby dowiedzieć się o losy mojego podania, ale za każdym razem coś mnie powstrzymywało. Zatrucie pokarmowe ma to do siebie, że osłabia wolę działania, a poza tym chyba boję się usłyszeć odpowiedź negatywną albo, co gorsza, zostać spławionym przez jakąś cholerną sekretarkę. (Kolejna paranoja?) Zwlekam więc w nadziei, że brak wiadomości to dobra wiadomość. Do następnego tygodnia z pewnością coś się wyklaruje.

À propos, wiesz coś więcej o terminie swojej wypłaty? Musiałem zapłacić ludziom od pieca. Zadzwonili któregoś dnia podczas mojej nieobecności i rozmawiali z Gregiem, chyba uprzejmie, on jednak uznał tę sytuację za upokarzającą. Biedny dzieciak myśli pewnie, że naprawdę sięgnęliśmy dna, gdy tymczasem przeżywamy jedynie okres, który z upodobaniem nazywam przejściową fazą biedy.

Tak, mimo wszystko rozejrzyjmy się za tanimi przelotami. Przyjedź, gdy tylko będziesz mogła, najdroższa Jock. Jestem przekonany, że ta przedłużająca się wstrzemięźliwość osłabia ciało i ducha.

Ściskam Chas

PS: Kiedy w zeszłym tygodniu wręczałem dzieciom kieszonkowe, Greg pokręcił głową i odmówił. Powiedział, że się obejdzie. Muszę przyznać, że ten szlachetny gest ubódl mnie bardziej, niż powinien.

Old Town Lane Ottawa, Ontario 17 października

Drogi Chas,

moje wy biedne zdechlaczki! Powinieneś był zadzwonić, a wtedy ja... nie wiem, coś bym wymyśliła. Może i dobrze, że jednak nie zatelefonowałaś, bo prawdopodobnie zastawiłabym klejnoty rodzinne, żeby kupić bilet na rejsowy samolot Air Canada, a i tak zbliżamy się zapewne do limitu na naszej karcie kredytowej.

Czy ja nigdy nie dostanę pensji?

W Izbie Gmin ma się odbyć wielkie przyjęcie dla uczczenia inauguracji obrad parlamentu. Van będzie próbował zdobyć dla mnie zaproszenie, ja zaś bardzo bym chciała sprawić sobie coś nowego na tę okazję. Czy Tobie mieści się to w głowie?

Minęły prawie dwa miesiące, a kiedy idę do działu płac i pytam (czytaj: błagam) o wypłatę, wysłuchuję bezsensownych opowieści o komputerach i zmiennych kategoriach. Wprost nie do wiary. Przecież istnieją przepisy (i owszem, ustanowione dokładnie przez tych samych ludzi, którzy mi nie płacą). Jestem bardzo sfrustrowana, a w dodatku splukana! Mam jeszcze kilka dolarów na karcie American Express, może uda mi się upolować apaszkę do jedwabnej bluzki. Niemożliwe, abym nie dostała wkrótce pieniędzy — wyraźnie obiecali sięgnąć do środków awaryjnych, jeśli nic się nie zmieni do przyszłego tygodnia. Prześlę pieniądze, jak tylko będę mogła.

Na myśl o was, złożonych chorobą, pozostawionych samym sobie, którym nie ma kto schłodzić rozpalonych gorączką czoł, popadłam w przygnębienie większe niż zwykle. Dziś rano obudził mnie hałas podobny do głośnego plaśnięcia. Pomyślałam odruchowo: o, pada śnieg. Przypominało to szum śniegu ześlizgującego się z gałęzi naszej jodły i spadającego na dach nad sypialnią. Kiedy po chwili otworzyłam oczy i mój wzrok padł na zdezelowaną brązową toaletkę, poczułam przypływ czegoś nieopisanie przytłaczającego, co przygwoździło mnie do łóżka.

W pokoju panował przenikliwy ziąb. Wreszcie zwlokłam się z łóżka. Chciałam zamknąć okno, ale na parapet nawiało trochę śniegu. Zabrałam się do zmiatania, a ten śnieg nie przypominał w dotyku tego, który sypie u nas. Stałam, trzymając w dłoni zimny, mokry puch i rozpłakałam się — no bo jeśli nie można liczyć nawet na śnieg, to co człowiekowi pozostaje? W dodatku pada inaczej niż nasz wesoły, bajkowy śnieżek, jakby żywcem przeniesiony z kartki świątecznej. Jest szybki, drobny, skuteczny, uporczywy, męczący i oficjalny.

Tak, tak, użalam się nad sobą. Jest trudniej, niż myślałam. Tracę wiarę w siebie (dzisiaj znowu się skompromitowałam), a na domiar złego przytrzasnęłam sobie palec oknem. Wrzasnęłam: „Cholera!”, przechodzący ulicą facet spojrzał w górę i wykonał nieprzyzwoity gest, na co ja otworzyłam z hukiem okno i ryknęłam do niego: „Pilnuj własnego nosa!”

Zaczynałam już podejrzewać, że przestaję nad sobą panować, lecz wtedy wyszło słońce, przestało śnieżyć, nieoczekiwanie odwołano przesłuchania, a Austin skorzystał z okazji i zaproponował przejażdżkę do Ga-

tineau Hills i podziwianie liści — wciąż jeszcze bardzo malowniczych. Pojechaliśmy do Kingsmere, przechadzaliśmy się wśród ruin i zjedliśmy skromny lunch, chociaż nie byłam głodna (jak zwykle ostatnimi czasy).

Na Austinie spoczywa niemal cały ciężar przygotowywania sprawozdań z działalności Komisji, zatem Van rozglądał się za sekretarzem, który by go odciążył — za kimś takim jak Austin, kto potrafi pisać żywym językiem. (Van twierdzi, że ten raport jako jedyny nie będziegnił w archiwach. Jest szczerze oddany kwestii ubóstwa, choć, jak często wtrąca Jessica, sam go nie praktykuje). Zaangażował wyjątkowo sympatycznego człowieka o nazwisku George O'Reilly, który wcale nie jest Irlandczykiem, lecz, wyobraź sobie, Francuzem. Przynajmniej jego rodzice są francuskojęzyczni, on sam zaś wychowywał się w Ottawie, i jest *completement bilingue*. Przechodzi z jednego języka na drugi z absolutną swobodą, lecz zachował tę wschodnią manierę kończenia każdego zdania na „mmm?” Dawniej uczył angielskiego. Porzucił uczenie dla pisarstwa i chociaż jego pierwsza powieść zyskała spore uznanie krytyki, zarobił na niej zaledwie dwa tysiące dolarów, postanowił więc przerwąć się na pisanie przemówień dla różnych ministrów. W ten sposób ściągnął na siebie uwagę Vance'a.

Muszę powiedzieć, że miło jest pracować z kimś mniej więcej w moim wieku — trochę młodszym, ale nie za wiele — przed kim nie trzeba mieć się na baczności. Tak, przynaję, że z Vanem zachowuję ostrożność, po części ze względu na głupie plotki w prasie na temat jego zajęć ponadprogramowych, chociaż nawet Jessica twierdzi, że te informacje są tyle warte co końskie łajno. Nigdy nie uczynił absolutnie żadnego gestu, który można by nawet w przybliżeniu zinterpretować jako próbę podrywu, lecz jest w tak oczywisty sposób świadom swej ogromnej atrakcyjności. Poza tym jest bogaty. I zdolny. I ma głowę na karku.

Myślę, że dlatego czuję się dobrze w towarzystwie George'a. Jego życie rodzinne do złudzenia przypomina nasze. Żona zajmuje się handlem nieruchomościami, mają nastoletnie dzieci, syn zachowuje się dokładnie tak jak Greg. Po wczorajszych przesłuchaniach poszliśmy z George'em na kawę i opowiedziałam mu o opryskliwości Grega.

— Może ma to jakiś związek z odwróceniem ról w rodzinie? — zastanawiał się.

Odparłam, że nie, ponieważ zawsze pracowałam (poza domem — powinnam wyrobić w sobie nawyk dodawania tego sprostowania w towarzystwie Jessiki), a już na pewno od wczesnego dzieciństwa Grega.

— Może — rzekł wtedy George — chłopak potrafi zaakceptować matkę w roli drugoplanowej, mmm? Nie zaś w skórze głównego żywiciela rodziny.

Chryste Panie, pomyślałam. Nasze dzieci są jak na to zbyt dobrze uświadomione. Pamiętasz, jak kupiliśmy Mii na Gwiazdkę ciężarówkę, a Gregowi podarowaliśmy szmacianą lalkę? Pamiętasz niedowierzanie — nie, oburzenie — na twarzach naszych matek? A przypominasz sobie, jak szybko ciężarówka została wymieniona na lalkę? Znowu doszły do głosu te stereotypy społeczne, którym dodatkowy ciężar nadały dwie kochające babcie (niefortunne określenie, zważywszy na wymiary naszych drogich mam).

Daje to jednak do myślenia, zgodzisz się ze mną? (Mmm?)

Dobiła mnie wasza salmonella, moja kochana, biedna, zaniedbana rodzinko. Zadzwoń, gdy nadejdą pieniądze.

Beaucoup, beaucoup d'amour

Jock

PS: Mam wyrzuty sumienia z powodu waszego zatrucia. Dlaczego?

29 Sweet Cedar Drive

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

18 października

Kochana Jock,

nie powinnaś była telefonować wczoraj wieczorem, ale dziękuję Bogu, że zadzwoniłaś. Nastroje naszej gromadki poprawiły się o dwadzieścia punktów. Nawet Greg zdaje się odzyskiwać werwę. Czekam na list od Ciebie, postanowiłem jednak skrobnąć kilka słów i opowiedzieć o dzisiejszej dość osobliwej rozmowie telefonicznej.

Nie trzeba dodawać, że z powodu naszego ogólnego poidykowego rozbicia nie dotarłem na zajęcia kreatywnego pisania. W rezultacie odebrałem telefon od Daviny Flowering we własnej osobie. Początkowo nie rozpoznałem jej głosu — ulotniły się z niego cały żar i moc.

— Nie było cię w tym tygodniu na zajęciach, Charles — powiedziała.

A właściwie wyszeptała. Wyniszczyłem sprawę. Stałem się sprawcą poważnego zatrucia pokarmowego mojej rodziny i teraz zbieram cięgi. Dlaczego, pomyślałem, muszę się usprawiedliwiać? Nie wyjawilem prawdy — że rozpatrywałem możliwość rezygnacji z kursu. I dobrze zrobiłem, ponieważ zaraz potem powiedziała (szepnęła), że ma nadzieję, iż nie noszę się z zamiarem opuszczenia jej zajęć na zawsze. Nastąpiło krótkie milczenie, a potem pełne zakłopotania pochrząkiwania z mojej strony.

— Chyba cię nie wystraszyłam tym pierwszym zadaniem — rzekła.

— Ależ skąd — odparłem. — Mój wiersz był już właściwie gotowy jeszcze przed atakiem choroby.

— Bo... wczoraj przyszły tylko trzy osoby. Trochę mnie to zmartwiło. Zastanawiałam się...

— Może z powodu demonstracji na znak poparcia dla związków... — zasugerowałem.

— Naprawdę tak sądzisz? — Pragnęła w to uwierzyć z dziecięcą gorliwością. — Faktycznie, to może być przyczyna.

— Och, na pewno — potwierdziłem, zadając sobie pytanie, dlaczego, do cholery, poczułem się w obowiązku ją uspokoić. — W przyszłym tygodniu pewnie przyjdą wszyscy.

— Dobrze by było, ponieważ jeśli nie zapisze się przynajmniej sześć osób, college ma prawo odwołać kurs.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Sama uważam, że takie zarzynanie zajęć przez machinę biurokratyczną to idiotyzm. Przecież przy takiej specyfice nauczania niewielkie grupy sprawdzają się najlepiej. Intymność, zaufanie, to właśnie daje napęd zajęciom warsztatowym. Jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Nie rozumiałem, po raz kolejny zapadło więc krótkie milczenie.

— Szkopuł w tym — ciągnęła Davina — że prowadzę tylko ten jeden kurs. Chcę poświęcić resztę czasu na pisanie, dlatego zdecydowałam się uczyć tylko jednego przedmiotu i to jest moje jedyne źródło utrzymania. Wiesz, co mam na myśli.

Tym razem wiedziałem, niemniej jednak byłem zaskoczony. Przypomniały mi się tomiki poezji, które opublikowała i zdobyte przez nią laury. Widocznie nagrody nie miały charakteru pieniężnego. Ledwo mogłem

utrzymać słuchawkę. Skurcze znowu dawały o sobie znać, były niczym stalowe obręcze ściskające podbrzusze. Obiecałem, że pojawię się na zajęciach w przyszłym tygodniu.

— Fantastycznie, Chuck — rzekła gorączkowo.

— Zwykle mówią na mnie Chas — sprostowałem. Jak jakiś sztywniak.

— Chas? — W jej głosie pobrzmiwało niedowierzanie. — W każdym razie, Chas, nie zapomnij przy-
nieść wiersza.

— No... nie wiem, czy będziesz z niego zadowolona... Ble, ble, ble...

— Spodoba mi się.

Znowu grzmiała tubalnym głosem. Czułem, jak odzyskuje energię.

— Szanuję wszystkie formy szczerego przekazu, naprawdę. Chce mi się tylko rzygać na jakieś brednie
będące wytworem niedorozwiniętego umysłu.

— Muszę kończyć — rzuciłem.

— Jasne, Chas. Do zobaczenia w poniedziałek. Przejdziemy wtedy do sedna, do tego, jak czujemy, jak
się wzajemnie dotykamy, do prawdziwej istoty...

— Muszę się rozłączyć, serio.

I rzuciłem słuchawkę, niestety, nawet bez „do widzenia”. Stalowa obręcz z miejsca zwolniła uścisk,
pozostało jednak wrażenie, iż zostałem poddany manipulacji. A zresztą...

Wszyscy jesteśmy w dużo lepszej formie. Mia nawet poszła dziś po południu do Laurie. Czekam słowa
otuchy od Ciebie.

Ściskam Chas

29 Sweet Cedar Drive

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

21 października, północ

Ukochana Jock,

byłaś cudowna. Nie, najwspanialsza pod słońcem. Uważam, że udzieliłaś znakomitej odpowiedzi, kiedy
Hana Gartner utkwiała w Tobie roziskrzony wzrok i zapytała o wynagrodzenia dla gospodyń domowych. Ta
krótka pauza (pełna namysłu, teatralna), a następnie przejrzysty, pewny sposób, w jaki przedstawiłaś swoje
argumenty, bez najmniejszego wahania czy mydlenia oczu. Musiałem wciąż powtarzać sobie pytanie, czy to na
pewno ta sama kobieta, z którą sypiam (niegdyś sypiałem). Ta elegancka istota o uwodzicielskiej szyi, ekspre-
sywnych dłoniach i mocno zarysowanych kościach policzkowych (na litość boską, nie chudnij więcej, nie chcę
utracić kolejnej uncji Ciebie).

Jak na złość dzieci przegapiły program. Mia była w kinie z Finsteadami, a Greg „wyszedł”. Właściwie
cieszyłem się, że mam Cię tylko dla siebie. Wraz z pięcioma milionami widzów.

To nie jest list od fana, skarbie. To prawdziwy list miłosny.

Chas

Old Town Lane 4 Ottawa, Ontario 23 października

Najdroższy,

dziękuję, dziękuję i jeszcze raz dziękuję za te życzliwe słowa! Twoja reakcja jest jedyną, jaka do mnie dotarła — Vance nie oglądał, a Jessica chyba się dąsa. Miał wystąpić Van, lecz w Montrealu wyskoczyła mu jakaś sprawa rodzinna, mająca związek z Catherine i przekleństwem *la vie politique*. Tak czy owak zadzwonił do mnie zaledwie dwie godziny przed wywiadem i poprosił o zastępstwo. Austin był w Charlottetown, a Van jakoś nie zaproponował, by wyręczyła go Jessica. Ja również nie zgłosiłam jej kandydatury.

Spytałam, czy to doprawdy wypada, przecież jestem tylko doradcą, a nie członkiem Komisji, lecz on urażonym tonem zapytał: „Jock, czy kiedykolwiek traktowaliśmy cię inaczej niż pozostających?”

Poczułam się jak niewdzięcznica i malkontentka. No i dwie godziny później siedziałam przed kamerami, usiłując sprawiać wrażenie osoby opanowanej, gdy Hana Gartner zadawała mi z Toronto podchwytliwe pytania, a ja starałam się skupić wzrok na jej fikcyjnym krześle w Ottawie, tak jak mnie poinstruowano.

Kochany, czy naprawdę mówiłam jasno i pewnie? Czyżbym domagała się komplementów? Powinnam dostać nagrodę Emmy. Nie wystarczy powiedzieć, że serce mi waliło — ono podskakiwało i dudniło niemiarowo, byłam zatem wielce zdumiona, gdy z mojego ściśniętego gardła wydobył się normalny głos, a nie jakieś nieartykułowane piski. Rzeczywiście trafiła Ci do przekonania moja wypowiedź o wynagrodzeniach dla gospodyń domowych? „Czy tak samo należałoby płacić prowadzącym dom mężom?”, wyrwało mi się, nim zdołałam ugryźć się w język, pewnie dlatego, że w te samotne dni niemal ciągle o Tobie myślę. A uderzając w ton mniej romantyczny, nie potrafię też opędzić się od myśli, o ile łatwiej byłoby nam, gdybyś miał pensję. Tak czy owak, kamień spadł mi z serca, skoro uważasz, że mówiłam stosunkowo spójnie i logicznie.

Dziękuję również za pochwałę dla eleganckiej, *maigre* osóbkki, w którą szybko się przeobrażam. Jak sądzisz, czy księżna Windsoru miała rację, twierdząc, że nigdy nie jest się zbyt bogatym ani zbyt szczupłym? To pierwsze na zawsze pozostanie dla mnie zagadką, ale ponieważ nadal nie mam ochoty na jedzenie, mogę przekonać się co do drugiego.

Z powodu jakiegoś dziwnego kaprysu poczty list i kartka od Ciebie przyszły równocześnie. Przepraszam, że natłok zajęć nie pozwolił mi napisać listu z prawdziwego zdarzenia — wkrótce to nadrobię.

Gorąco całuję Jock

PS: Mam szczerą nadzieję, że poinformowałeś mamę o programie w TV. Inaczej nigdy by nam nie wybaczyła.

PPS: Greg z pewnością zatruje Ci życie, ponieważ mnie nie nagrałeś. Wciąż nie opanowałeś umiejętności obsługi magnetowidu?

PPPS: Nadal żadnych pieniędzy!!!

29 Sweet Cedar Drive

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

31 października

Moja droga,

no i stało się. Dzisiaj był Dzień Pielęgniarki. Wszystkie siostry w prowincji oraz część nauczycieli — w wyrazie poparcia dla średniego personelu medycznego — odeszli od swoich stanowisk pracy. Nawet siedząc tutaj, w stosunkowo spokojnym i dobrze zorganizowanym domu, odczuwamy wstrząsy sejsmiczne. Wszyscy są wściekli. Odnoszę wrażenie, że stopień wzburzenia w rzeczywistości przeraził ludzi — to w pewnym sensie takie niekanadyjskie. Nikt nie przygotował nas na tak skomasowany gniew społeczny! Jak można było przewidzieć, niektórzy ludzie przedzierają się już przez linię pikiet, a pewien profesor z Wydziału Medycznego Uniwersytetu Kolumbii Brytyjskiej o mały włos nie potracił sześciu studentów, którzy demonstrowali na jednym z wjazdów na campus. Studenci, z którymi kilka minut temu przeprowadzono wywiad telewizyjny, trzęśli się, i to nie tylko z oburzenia. Profesor, także zagadnięty przez dziennikarzy, nie okazywał żadnej skruchy, mimo że niewiele brakowało, a rozjechałby protestujących. Jezu!

Pamiętasz demonstracje pokojowe, w których niegdyś uczestniczyliśmy? Nawet w chwilach największego wrzenia przesycała je jakaś radość. Teraz można o tym zapomnieć. U nas nie ma żadnej wesołości, żadnego luzu. Jest śmiertelnie poważnie, a ta powaga wykracza nawet poza sferę polityki. Wczorajsze wydanie „Province” zamieściło list do redakcji napisany przez Sue Landis — tak, naszą Sue od szczotki i wiaderka — w którym zwraca ona uwagę, że wydarzyło się coś niespotykanego w społeczeństwie demokratycznym: nauczyciele, którzy podjęli strajk, zdecydowali się na ryzyko utraty dóbr materialnych, a nawet środków utrzymania, by walczyć o sprawę nadrzędną, głównie na znak solidarności z „dzielącymi ich los kobietami” (dołączam wycinek, ale proszę o zwrot). Najbardziej bolesny wydaje się podział społeczeństwa, to, że rodziny i sąsiedzi przestają się do siebie odzywać bądź tolerować wzajemne poglądy.

A skoro już przy tym jesteśmy, muszę się przyznać do prawdziwie królewskiego starcia z Gilem Groganem w związku z tym całym zamieszaniem. Jak na dwie *hausfrau* przystało, siedzieliśmy w kuchni (u nas) nad filiżankami herbaty z dzikiej róży (prawie udało mi się odzwyczaić od kawy), a on perorował tym swoim nużącym, monotonnym głosem na temat deficytu i zwiedzionych na manowce idealistów oraz ich rozpalonych w zenujący sposób emocji, twierdząc, że gdyby policzyć autentyczne ofiary, otrzymamy garstkę nieudaczników, którzy prawdopodobnie i tak oberwaliby od losu.

I tu przebrał miarękę. Zauważyłem, wstając z miejsca i waląc pięścią w stół, że ja sam jestem jedną z tych ofiar, tych tak zwanych nieudaczników, których on lekką ręką spisuje na straty, i nie mam najmniejszego zamiaru wysłuchiwać takich bredni w mojej własnej kuchni.

Zastanawiające, Jock, że wtedy po raz pierwszy dostrzegłem w sobie najprawdziwszą ofiarę. To było kuszące, niebezpiecznie pokrzepiające uczucie. Dotarło do mnie również, że powinienem śmiało maszerować ulicami i wznosić okrzyki, miast siedzieć tu i bić pianę ze starymi furiatami z sąsiedztwa o faszystowskich poglądach. Nie poprosiłem go wprost o opuszczenie domu. Powiedziałem jedynie, że muszę się przejść, żeby ochłonać.

— Skoro tak... — rzekł na to, barbarzyńca jeden.

Otworzyłem z trzaskiem tylne drzwi — przeklęty deszcz, oczywiście o nim zapomniałem — i powędrowałem aż do tego ładnego zakątka, gdzie strumyk wpływa pomiędzy kępę cedrów (pamiętasz to miejsce), usiadłem na mokrym pniu i zacząłem kontemplować szaleństwa tego świata oraz inne ważne tematy, które można by sklasyfikować jako: niepokój egzystencjalny, bezsens życia, wyobcowanie jednostki, a wreszcie samotność przemoczonej do nitki ofiary.

Siedząc tam, ułożyłem również początek mojego drugiego wiersza na kreatywne pisanie (na razie nie odczytałem publicznie nawet pierwszego). Ku mojemu zdziwieniu słowa rodziły się w mojej głowie bez najmniejszego ponaglenia czy męki twórczej.

Dziś każdy dzień to rozwarłe usta

Rozpalone gniewem i ziejącą nudą

Na szczęście miałem w kieszeni długopis i skrawek papieru — pokwitowanie od majstra, który naprawiał piec, z pieczętką „zapłacono”. Może to jakiś znak.

Ironia sytuacji polega na tym, że od przyszłego tygodnia nie będę już, ściśle mówiąc, bezrobotny. Wczoraj nadszedł wreszcie list od Sandersona — proponują mi pracę dwa dni w tygodniu...

Nie zadzwoniłem do Ciebie, Jock, ponieważ jestem trochę rozczarowany. Wyrazili ubolewanie, że moje obowiązki będą miały charakter dość rutynowy — zwykłe kreślenie — istnieje jednak nadzieja, że już wkrótce zaoferują mi coś „na miarę moich umiejętności”.

Oczywiście przeczytałem list dzieciom — zwłaszcza zależało mi, by wiedział o nim Greg, gdyż wydaje się bardzo przygnębiony naszym biedowaniem. Sądziłem, że ta wiadomość rozwieje jego troski, tymczasem on wpadł w jakąś niezdrową panikę.

— Chyba nie zamierzasz tego przyjąć, co? — Oto, co powiedział.

— Owszem, zamierzam, jak najbardziej — odparłem dobitnie.

— Kreślenie? Raczysz sobie żartować. Ty masz być architektem. Nie jesteś kreślarzem, na litość boską. Jak widzisz, zubożało mu słownictwo.

— Wszyscy architekci potrafią kreślić — poinformowałem. — To pierwsza rzecz, jakiej nas uczą.

— Na twoim miejscu kazałbym im się wypchać. Tak właśnie powiedział, Jock.

— To są pieniądze — wyjaśniłem. — Stały dochód. Czeka dwa razy w miesiącu. Na niezbyt dużą sumę, ale zawsze coś. Cóż w tym złego?

— Czy my jesteśmy biedni? — wtrąciła się w tym momencie Mia.

Greg miał zde gustowaną minę.

— Odbiło ci, skoro chcesz przyjąć...

Nie dałem się ponieść złości. Posłałem mu spojrzenie pod tytułem „ojciec wie, co robi” i wygłosiłem zwięzłą, treściwą mowę na temat uczciwej pracy, trybików wielkiej maszyny, zaspokajania potrzeb społeczeństwa — całkiem niezłe wystąpienie na żywo.

— Może byś się jeszcze wstrzymał? Jeżeli poczekaś, coś się na pewno nawinie...

— Nie mogę sobie na to pozwolić — odparłem.

— W takim razie musimy być biedni — podsumowała Mia. — Nie wiedziałam. Głupie uczucie.

— Wychodzę — oznajmił Greg.

— Nie ma mowy, czas na obiad — zaproponowałem.

— Nie jestem głodny — powiedział i zatrzasnął za sobą drzwi.

Miły dzieciak. Taki rozsądny.

U Sandersona potrzebują mnie we wtorki i czwartki, co bardzo mi odpowiada. Mogę dalej chodzić na zajęcia Daviny i niewykluczone, że ruszę z planami przebudowy salonu. Gdy tylko przygotuję komplet rysunków, prześlę Ci kopie.

Niestety, muszę się streszczać. Chciałbym napisać jeszcze jedną linijkę przed obiadem. Zapytałem Davinę, jak długi powinien być wers wiersza.

— Mniej więcej jak kawałek sznurka — usłyszałem. Hmm.

Widzę, że Twój Vance Pierce ma zatarg z prasą. Mam nadzieję, że chroni go gruba skóra. Jego żonę również. Wyrazy miłości, tej czystej i wszetecznej.

Chas

PS: Nie wiem, czy wychwalałbym tak odwagę nauczycieli, gdybym pamiętał, że dzieci są w domu. Nasza trójka będzie musiała opracować jakiś plan, żebyśmy się nawzajem nie pomordowali.

PPS: Zaczynam u Sandersona od przyszłego wtorku. Na zdrowy rozsądek nie mogę spodziewać się wypłaty przed trzydziestym. Dowiedziałem się jednak, że w Seven-Eleven przyjmują karty kredytowe, choć ceny mają tam dwa razy wyższe niż gdzie indziej. Głód nam nie grozi!

Ottawa czwartek

Drogi Chas,

szkoda, że Sanderson może Cię zatrudnić tylko na dwa dni w tygodniu, ale będziesz przynajmniej miał okazję wyjść z domu (znam to uczucie) i zarobić parę groszy. Sytuacja w Kolumbii Brytyjskiej z pewnością zacznie się poprawiać. Sądzę, że niezadowolenie wśród mas pracujących zahamowało gospodarkę. Kiedy widzę, jak bardzo kobiety, które tutaj spotykamy, są zależne od systemu pomocy społecznej, cięcia budżetowe doprowadzają mnie do szewskiej pasji. Cieszę się w każdym razie, że Tobie udaje się nie spuszczać z tonu.

Twoje nowe zainteresowanie poezją skłoniło mnie do wypożyczenia z biblioteki jednej z książek Austina Greya. Piękna poezja, wyobraź sobie! Stworzona przez tak szarego człowieka!

Wędrowałem przez noc i widziałem czarne kształty

I dotykałem przedmiotów chłodniejszych niżli światło księżycy na martwej duszy

Kto by pomyślał, że pod taką pospolitą powierzchownością kryje się taka pasja.

Czy możliwość poznania Austina nie oszołomiłaby Twojej Daviny? Być może Komisja odwiedzi Vancouver! Van zasygnalizował wczoraj taką możliwość!

Przepraszam, że ostatnio moje listy są coraz krótsze, ale mam piekielnie dużo czytania. Nie do wiary, jak mało wiem o biedzie, zwłaszcza gdy pomyślę, że sama borykałam się z nią przez większą część życia. I nadal się borykam. Dałam spokój pytaniu o wypłatę.

Kocham i tęsknię Jock

Sweet Cedar Drive 29

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

4 listopada

Kochana Jock,

czy wierzysz w zbiegi okoliczności?

Dasz wiarę, że i ja skończyłem właśnie *Moonlight on a Still Spirit* Prezent od Daviny po pierwszych zajęciach — na których, nawiasem mówiąc, zebrała się wystarczająca liczba osób. Musiała zadać sobie немало trudu, żeby nas wszystkich obdzwonić i namówić na przyjście. Kiedy odczytywałem mój satyryczny wiersz o Billu Bettnerze, wszyscy słuchali z powagą i szacunkiem, choć ów szacunek mogły wzbudzać moje siwe włosy, jako że jestem najstarszy w grupie, no, może ewentualnie z wyjątkiem Daviny — emocje wyryły na jej twarzy tyle bruzd, pozostawiły tyle śladów, iż równie dobrze może mieć trzydzieści pięć, jak i pięćdziesiąt pięć lat. Myślę, że byś ją polubiła, i jestem absolutnie pewien, że mogłaby dostarczyć waszej Komisji materiału do badań — o ile dziurawe swetry i skarpetki nie do pary stanowią jakikolwiek wskaźnik. Wydaje mi się, że Rada Kanady wspiera wszystkie tego rodzaju indywidua.

Na kursie było nas sześć osób, czyli, wedle słów Daviny, niezbędne minimum, aby kontynuować zajęcia. „Mam nadzieję — powiedziała, wbijając w nas kamienny wzrok — że nikt więcej nie odpadnie”. Jest więc Bob, mniej więcej dwudziestopięcioletni posterunkowy, wstydlivy nie do zniesienia, który obgryza paznokcie; Janet — sapiąca, tęga dziewczyna w okularach o grubych szklach i w swetrze w indiański wzorek; Stan — typ klasycznego kryminalisty, brudnego, nastroszonego dzieciaka, który na przykład podpala domy dla rozrywki; Melanie (albo Melody) — ubóstwiająca poezję pielęgniarzka; i Tracy — ostentacyjna Murzynka, ostentacyjna reprezentantka pokolenia wyżu demograficznego oraz ostentacyjna feministka w jednym, naprawdę fantastycznym ciele. (Wybacz, ale nie mogłem tego nie zauważyć). Zachowywaliśmy uroczystą powagę. Przysłuchiwaliśmy się splodzonym przez siebie bredniom z nabożnym szacunkiem. Melanie (Melody) czytała nawiedzonym głosem — wiesz, o co chodzi — jak gdyby każde słowo pływało w sosie podanym na złotym półmisku. Stan, wyszczekując każdy wyraz, przedzierał się przez gąszcz „pieprzeń”, „fiutów”, „cip” i „pierdzieli” — wszystkie epitety pod adresem rządu — co sprowokowało dość interesującą dyskusję, czy polityka i sztuka powinny w jakiś sposób ustosunkowywać się do siebie nawzajem. Davina uznała, że tak, Janet powiedziała nie, Bob, że no, właściwie tak, w pewnym sensie, jeśli wiecie, co mam na myśli. Ja sam nie wiem, co o tym sądzić. Prawdę mówiąc, nigdy dotąd nie zastanawiałem się nad tą sprawą.

Później Davina porwała mnie na kawę — pierwszą od tygodnia — która uderzyła mi do głowy. Nigdy dotąd nie widziałem, by ktoś wrzucał do kawy siedem kostek cukru. Czy to jakaś hipoglikemia, czy ona po prostu cierpi głód?

— Wiesz, Chas — rzekła, mieszając swój ulepek — uważam, że twój wiersz jest znakomity.

— Naprawdę? — zapytałem, domyślając się jednak, że przedstawi jakieś zastrzeżenia.

— Tak. Mam jednak wrażenie, że nie włożyłeś weń całego siebie.

Opowiedziałem, jak doszło do jego powstania, o odchodzącym na emeryturę Billu Bettnerze, o tym, jakim był niepospolitym człowiekiem. Na koniec dodałem kilka słów o pożegnalnej kolacji, na której odczytałem wiersz.

— A więc był wspaniałym facetem — podsumowała. — I wprost go uwielbiałeś?

Zatkało mnie. Czy go uwielbiałem?

— To nie jest chyba właściwe słowo. Musiałabyś znać Billa.

— A ty znałeś go naprawdę? — drążyła.

Znowu zaniemówiłem. Zaproponowałem jej bułkę z otrębami. Zgodziła się. Pewnie rzeczywiście nie-
dojada, pomimo słusznej postury.

— Słuchaj, Chas — ciągnęła. — Poezja, jeśli ma mieć w sobie polot, musi być wyjęta z najgłębszych
zakamarków duszy.

Nałożyła masło na bułkę jak fachowy tynkarz.

— To znaczy, twój wiersz był świetny. Nie ma niczego niewłaściwego w humorystycznych fragmen-
tach i dynamicznym układzie rymów — nie mam w tej kwestii doktrynerskich poglądów. Jednak odłożywszy
pióro, trzeba zadać sobie pytanie: „Czy naprawdę to chciałem wyrazić?” W przeciwnym razie jest do bani,

— Rozumiem — odparłem. — Pracuję właśnie nad czymś nowym.

— Pozwól, że o coś zapytam. Czytałeś kiedyś Austina Greya? Facet jest naprawdę głęboki. Jego poezja
to materia tkana złotem, w każdym calu, zwrot za zwrotem. O, zrymowało mi się. Niech bóg prozodii mi wy-
baczy.

Zacząłem mówić, że Austin Grey pracuje z moją żoną w Komisji, ale przerwała mi, wyciągając niepo-
kazny tomik ze swej przepastnej torby wojskowej nie pierwszej czystości.

— Weź to, Chas, pożyczę ci najnowszą książkę Austina Greya. *Moonlight on a Still Spirit*. Piękny tytuł.

Podala mi ją jak relikwię. A ja z taką samą nabożnością ją przyjąłem.

— Przekonasz się, jak wiele mogą wyrazić słowa ułożone w wersy.

— Naprawdę doceniam...

— Grey pisze o tym, co nie jest mu obojętne, co w danej chwili wypełnia jego myśli. A co ciebie naj-
bardziej nurtuje, Chas?

Zaskoczyła mnie.

— Brak pracy — odparłem bez większego namysłu.

To chyba prawda, drugim problemem jest wstrzemięźliwość.

— Dobrze — rzekła. — Na przyszły tydzień napisz wiersz o tym, co tkwi w twojej głowie. O bezrobo-
ciu. Braku zajęcia. Rozumiemy się?

— Wkładając w to najgłębszą cząstkę duszy?

— Otóż to.

Mam już sześć pierwszych linijek, dwie ułożone w cedrowym zagajniku i cztery, które wymyśliłem na-
stępnego dnia i doszlifowałem dziś rano. Możesz sobie wyobrazić dorosłego faceta ślęczącego cały ranek nad
czterema wersami? Boże, żeby tak sobie folgować! Ale cóż to za perełki, mimo że wcale się nie rymują. Prze-
czytałem wczoraj wieczorem poezje Austina Greya i teraz wiem, co chciała mi powiedzieć Davina. Niektóre z
wierszy są zaskakująco brutalne, lecz nigdy nijakie. Właśnie on mógłby wiele wyjaśnić waszej Komisji. A
swoją drogą, jaki on jest? Co tkwi w jego głowie, jakby zapytała Davina?

Twoja matka zaszyła się na tydzień w łóżku, żeby odpocząć po trudach Jarmarku Jesiennego, i pewnie kuruje się swoimi gorącymi napitkami z cytryny i brandy. Po raz pierwszy zawiodła i nie przyszła nas skontrolować. To nasz pierwszy tydzień bez zapiekanki z bakłażana — prawdę mówiąc, odetchnąłem z ulgą.

A co do mojej mamy, jest trochę rozkojarzona. Zabieram ją jutro do lekarza. Ciągłe rwie się jej wątek w rozmowie, choć oczywiście nigdy nie była mistrzynią koncentracji. Zapytała mnie dwukrotnie, kiedy wracasz z Halifaxu.

— Z Ottawy — poprawiłem ją.

— Ależ tak. Przecież ją zwerbowali — powiedziała mgliście. — Ale dlaczego Jock się zaciągnęła, skoro nie musiała?

Myślisz, że to początek miażdżycy? Jezu, starość mnie przeraża. Ludzie albo stają się nieporadni, albo nieustępliwi jak Gil Grogan.

Pozdrawiam Chas

PS: Pierwsza wypłata była skromniutka, ledwie pokryła rachunek za mleko. Co u Ciebie?

Old Town Lane Ottawa, Ontario 12 listopada

Kochany Chas,

Boże, jak było pięknie! Pomimo ulewy i mgły. Kto by się przejmował takimi drobiazgami? Ależ miałam szczęście z tym samolotem — nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak rozpaczliwie potrzebowałam Cię zobaczyć. Kiedy Vance po raz pierwszy napomknął o możliwości załatwienia mi miejsca w ministerialnym odrzutowcu lecącym do Vancouveru, moje serce zrobiło stójkę (bardzo wysportowane to moje serce). Jakoś nie chciało mi się w to wierzyć, zaśmiałam się więc głucho i powiedziałam:

— Już widzę te nagłówki: „Doradca Komisji korzysta z darmowych przelotów”.

— Chryste Panie, Jock, nie gadaj bzdur — mknęła Jessica. — Establishment jest nam coś winien. Ja zabieram się na doczepkę, kiedy tylko nadarzy się okazja.

(Impresja wzrokowa: Jessica stojąca na brudnym obłoku dziesięć tysięcy stóp nad ziemią i wystawiająca kciuk).

— Oczywiście należy przestrzegać zasad uczciwości — wtrącił doktor Grey, to znaczy Austin. — Pamiętaj jednak, że jeśli nie polecisz, miejsce pozostaje puste. Kiedy leciałem do Charlottetown, również jako „autostopowicz”, zapewniono mnie, że przez dodatkowy ciężar mojego ciała samolot zużyje raptem centymetr sześcienny paliwa więcej, za co, jeśli sobie życzę, mogą mnie obciążyć kwotą w przybliżeniu pięćdziesięciu centów. W twoim wypadku byłoby to pewnie — tu przekrzywił głowę i obrzucił wzrokiem moją kościstą sylwetkę — no, jakieś plus minus dwadzieścia pięć centów.

Wszyscy dogadują mi z powodu słabego apetytu — szkoda, że nie widzieli, jak pożeram Twoje tygodniowe zapasy ze sklepu Seven-Eleven. Mam nadzieję, że nie wyczerpał się limit na karcie. Czy drzwi lodówki doszły do siebie?

W każdym razie było cudownie, cudownie, precudownie! Kiedy przestąpiłam próg, wszystko wydało mi się dziwne, tak znajome i oczekiwane, a mimo to miałam wrażenie, jakbym widziała swój własny dom po raz pierwszy — taki ogromny w porównaniu z moim małym mieszkankiem. Jakże teraz za nim tęsknię!

Ciągle nie mogę sobie wybaczyć, że nie wiadomo czemu poczułam się lekko urażona na widok Twojego stołu kreślarskiego w kuchni. Co mnie, u licha, napadło? Powinieneś pracować tam, gdzie zechcesz, to oczywiste — zwłaszcza gdy mnie nie ma — lecz obecność tego mebla jakoś zmieniła charakter miejsca, które uważałam za swoją wyłączną własność. Aż trudno mi uwierzyć! Zazdrosna o kuchnię! Mam nadzieję, że Jessica nigdy się o tym nie dowie. Najwyraźniej chcę, aby wszystkie rzeczy pozostały na swoim miejscu, dokładnie tam, gdzie sama je umieściłam. To rodzaj zabezpieczenia.

Kto to widział, zostawić ledwie żółknące liście Vancouveru dla śniegu, śniegu i jeszcze raz śniegu! Tutaj nikt nie siedzi w domu z powodu drobnych opadów. Inaczej przez całą zimę ludzie nie wyściubiliby nosa za próg. Zamiast tkwić w domowych pieleszach, rozgrzewają silniki swoich aut i poruszają się ruchem ślizgowym, póki temperatura nie spadnie tak nisko, że śnieg przestaje być śliski. Poza tym noszą ze sobą obuwie na zmianę w małych torebkach, a na Wzgórzu Parlamentu kładą deski na cementowe schody. Doznałam miniobjawienia, że nigdy dotąd nie przeżyłam prawdziwej zimy w Kanadzie, chociaż mieszkam tu od urodzenia. Nic dziwnego, że my, mieszkańcy zachodniego wybrzeża, jesteśmy wyalienowani.

Być może Komisja przyjedzie do Vancouveru! Tak, wiele za tym przemawia. W związku z wrzawą wokół kosztów badań oraz działalności różnorodnych komisji w ogóle Van zrobił się bardziej niż trochę nerwowy — ostatecznie nasza Komisja nie wywołuje porannej burzy oklasków w salach konferencyjnych Kanady. Mogłaby się stać kozłem ofiarnym. Van grzmi więc, że wyprawi nas w trasę i w ten sposób przyspieszy prace. Czy nie byłoby fajnie, gdyby udało nam się zorganizować jakąś małą „impreszkę”? Tropikalny azyl w środku ottawskiej zimy?

Właśnie przeczytałam ponownie całą otrzymaną od Ciebie korespondencję. Alternatywą były *Emerytury w latach dziewięćdziesiątych — prognoza demograficzna*. Nawet gdybym mogła wybierać między Twoimi listami a Alice Munro, skłaniałabym się ku listom. W trakcie lektury uświadomiłam sobie, że podczas naszego przecudownego weekendu nadal nie rozmawialiśmy o konsekwencjach celibatu — pewnie dlatego, że wstrzeźliwość była ostatnią rzeczą, która przychodziła nam wtedy do głowy. A propos, wątpię, by czas celibatu, który jeszcze nas czeka, stanowił dla mnie jakikolwiek problem, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego tak twierdzę, skoro nachodziły mnie nieprzyzwoite chwile tęsknoty. (Łatwo składać deklaracje, gdy jest się tymczasowo, acz całkowicie zaspokojoną). Zresztą przecież zobaczymy się znowu na Gwiazdkę (nie mogę się doczekać, już popadłam w doroczną przedświąteczną gorączkę). Myślisz, że Tobie przyjdzie to znieść z większym trudem? (Celibat, nie święta). Mężczyźni chełpią się — jeśli to odpowiednie słowo — dużo silniejszym popędem seksualnym niż kobiety, choć podejrzewam, że to takie męskie gadanie. Czy sądzisz, że Ciebie „to” dopadnie?

Aha, przypomniało mi się właśnie (choć nie powinno), że nie przypadła mi do serca pani Finstead — Marjorie — pomimo jej stosunku do Mii. Zajrzała do nas, jak tylko wyszedłeś do sklepu, a więc musiała obserwować dom. Wprost uwielbia Mię — Laurie tak dobrze trafiła — i ma nadzieję, że nie przeszkadza mi jej skromny wkład w zakresie — rozumiesz — udzielania dziewczynkom kobiecych rad i wskazówek na tym jakże podatnym na wpływy okresie życia. (Nie przeszkadza). Och, może ta ładna, młoda kobieta, która przychodzi tu co wtorek?

— To pani do sprzątnięcia — oświadczyłam lodowato.

Ach, tak, naturalnie, powinna była się domyślić, ale jej własna sprzątaczką jest, no... taka bezpłciowa! Nigdy by nie przypuszczała... (Mówiła serio).

Potem wróciłeś do domu, a ona zaczęła uważać się nieznośnie nad biednym mężem-gospożą, który zdany na własne siły musiał przyrządzić tego ogromnego, niebezpiecznego, trującego indyka. I jeszcze ten nieśmiały dowcip o pozostawianiu samopas tak przystojnego mężczyzny, gdy wokół nikogo, kto miałby na niego oko (łatwy łup dla sprzątarek oraz innych prowokujących panienek z okolicy, to chciała powiedzieć). Nie wiem, jaką miałam minę, kiedy jednak zdobyłam się na uśmiech, wydawało mi się, że moje zęby są wielkimi białymi kłami wyszczerzonymi nad dolną wargą. Chwała Bogu w tym właśnie momencie musieliśmy wyjechać na lotnisko. Nawiasem mówiąc, wzruszyłam się, kiedy Greg przywłókł się noga za nogą i oświadczył, że w zasadzie też może się przejechać, bo i tak nie ma nic lepszego do roboty. A gdy tylko pomyślę o Mii przytulonej do mnie przez całą drogę, od razu łzy napływają mi do oczu.

Lepiej zmienię temat.

Gdy zadzwoniłam do Twojej mamy, chcąc się pożegnać, wydawała się nadąsana, że nie przyszliśmy na kolację. Nie przypominam sobie, by nas zapraszała, a Ty? (Za co jestem wdzięczna, bo nie miałam ochoty opuszczać naszego kochanego domu nawet na chwilę). Poza tym rozmawiała sensownie, z wyjątkiem pytania o pogodę w Halifaksie. Myślę, że i moja mama poczuła się odrobinę dotknięta, że nie spędziliśmy z nią więcej czasu. Napiszę do obu i załagodzę sytuację.

Koniecznik muszę zabrać się do lektury *Emerytur*. Sądziłam, że nieźle radzę sobie w pracy, jednak ostatnio zaczynam popadać w popłoch, ponieważ bujam w obłokach. Dzisiaj coś sknociłam, a Jessica ryknęła:

— Jezu Chryste, Jock, czy twój mózg również traci na wadze, podobnie jak ciało?

Zdarzyło się i coś gorszego! George O'Reilly wyciągnął swoje tłuste łapsko i poklepał moją dłoń. Ze zrozumieniem.

Żałowałam już z milion razy, że Cię tu nie ma, mógłbyś bowiem rąbnąć George'a w nos.

Gorące uściski Jock

PS: Szykuje mi się wyjazd do Montrealu na długi weekend z językiem francuskim. Byłaby to okazja, ale nie mam ochoty jechać sama, chociaż Van zapewnia, że Catherine wprost marzy o zaproszeniu mnie do siebie na kolację. Ta perspektywa również nie budzi we mnie szczególnego entuzjazmu. Pewnie jednak się wybiorę.

PPS: Chyba wreszcie pojęłam, w czym rzecz. Rząd znalazł magiczne lekarstwo na deficyt: nie płacić pracownikom!

Ottawa 15 listopada

Pieniądze w załączeniu! Wysyłam list nadzwyczajny.

Poczułam się tak bogata, że postawiłam Jessice kolację. Pochłaniała jedzenie łapczywie i ze smakiem, jak zwykły mawiać Greg. Nawet ja jadłam z apetytem — to skutek pobytu w domu, kiedy przekonałam się, że nie straciłam was bezpowrotnie. Znikły gdzieś żelazne wrota w samym środku moich wnętrzności, które zatrzaśniały się po trzecim kęsie. W jakimś owładniętym paniką zakamarku podświadomości musiałam myśleć, że już nigdy nie zobaczę żadnego z was.

O rany, ileż znaczą pieniądze! Wybieram się do Montrealu i na kolację do Pierce'ów. Wszystko opowiem później.

Jock

PS: Powiedz Gregowi i Mii, by przygotowali listę prezentów gwiazdkowych. Zadzwoń, jeżeli będę miała okazję pójść na zakupy w Montrealu.

Sweet Cedar Drive

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska 15 listopada

Najdroższa,

deszcz pada, ogrzewanie szwankuje (znowu), a Gil Grogan zasypuje nas antyzwiązkową propagandą, lecz wspomnienie Dnia Pamięci gruntownie osładza życie. Mów, co chcesz o przyjemnościach duchowych, jednak nic tak nie krzepi serca jak kilka godzin we wspólnym łóżu. Celibat — pytałaś mnie przecież o zdanie na temat celibatu — z pewnością wymyślono dla zaostrzenia apetytu. Nie może służyć innemu celowi niż pokazanie, jakie głębokie rozkoszy czekają po drugiej stronie. No i mów, co chcesz o Marjorie Finstead, ale zaproszenie Mii w sobotnie popołudnie na piknik było uśmiechem losu. Kiedy Finsteadowie zwalili się ze swoim przenośnym grillem i koszykiem surowego mięsa, byłem gotów ucałować ich w te czerstwe, rumiane policzki. Mój Boże, byłaś wspaniała (spal ten list), tak bardzo tęsknię za Twoją skórą, za jej dotykiem. Zapytałaś, czy nie jesteś za szczupłą. Skarbie, Twoje ciało jest doskonałe. Chciałbym wyrazić to w jakiś świeży i oryginalny sposób, ale ponieważ nie potrafię, powiem tylko: czułem się tak, jakby to był pierwszy raz. Serio. (Davina Flowering utrzymuje, że Madonna i sieć Hallmark stłamsiły w zarodku twórczość miłosną — prawdopodobnie ma rację. Nie można nawet użyć słowa „namiętność” albo „pocałunek”, nie przestępując przy tym z nogi na nogę i nie rzucając krótkiego „eee, takie tam, psze pani”).

Jak wiesz, po wojnie mój tato pozostał w marynarce — ku wielkiemu strapieniu mamy — a jednym z moich pierwszych wspomnień z dzieciństwa jest jego powrót do domu oraz pojawienie się cioci Jude, która szast-prast porwała mnie do siebie na weekend. Pewnie zachodziłem w głowę dlaczego. Nagle, czterdzieści lat później, wszystko nabrało sensu. Oni także musieli przeżyć w małżeńskim łóżu swoją godzinę szaleństwa, chociaż patrząc dzisiaj na mamę, któż dałby temu wiarę? (Lekarz przepisał jej jakieś pigułki i zalecił odpoczynek, tak jakby przez te dziesięć lat od śmierci taty robiła cokolwiek innego).

Żałuję tylko, że musiałaś wracać w poniedziałek wieczorem zamiast we wtorek. Nie chciałbym jęczeć i marudzić, Jock, ale właśnie we wtorek przydałaby się nam Twoja macierzyńska obecność.

Obudziłem się dokładnie o siódmej, zadając kłam powszechnemu mitowi, że bezrobotni wylegują się do południa, i doznałem radosnego olśnienia w postaci poprawionej wersji mojego wiersza. Widziałem wręcz słowa wydrukowane w powietrzu nad łóżkiem, unoszące się w małych, białych obłoczkach, mistrzowskie wersy, które bez hysterii przekazywały to, co pragnąłem wyrazić. Nagryzmołem je na marginesie gazety, bo tylko to miałem pod ręką, po czym udałem się do łazienki. Drzwi były zamknięte, a kiedy w nie załomotałem, tak delikatnie, jak to tylko ja potrafię, Mia krzyknęła, że za chwilę wychodzi.

Czekałem i czekałem.

— Lepiej skorzystaj z drugiej łazienki — zawołała wreszcie.

Wrzasnąłem w odpowiedzi, że chcę wziąć prysznic i że mogłaby z łaski swojej się pospieszyć. I nic. Cisza. Zaparzyłem kawę, przejrzałem „The Sun”. Minęło piętnaście minut, a ona nadal okupowała łazienkę.

— Sterczę w przedpokoju i czekam — ryknąłem. — Uważam, że siedzisz tam już dostatecznie długo.

Usłyszałem, że pociąga nosem.

— O co chodzi? — krzyknąłem.

Do tego czasu zdążył również wstać Greg i także chciał wziąć prysznic.

— Może źle się czuje — rzucił.

— Co się stało? — huknąłem. — Jesteś chora?

— Mogła się zatrzasnąć — snuł domysły Greg.

— Nie — odkrzyknęła, a my zorientowaliśmy się, że płacze. Wiesz, wtedy głos podnosi się jej o oktawę i nagle jak puszczone guma wraca do normalnego tonu. Właśnie tak było.

— Lepiej wejdźmy przez okno — zasugerował Greg. — Może...

— Może co?

— Może... no wiesz... żyletki i te historie...

— Nie mamy w domu żadnych żyletek — zauważyłem. — A poza tym to niedorzeczne. Przecież to jeszcze dziecko...

Wzruszył ramionami. Dlaczego ten jego gest tak mnie wkurza?

— Nigdy nie wiadomo — skonstatował.

— Mio — powiedziałem przez drzwi. — Daję ci dokładnie trzy minuty i jeśli nie wyjdiesz do tego czasu, to...

— To co? — zapytał Greg.

Otwarte wyzwanie. *W samo południe* po raz kolejny.

— Liczę — zawołałem do Mii. — Trzy minuty i radzę otworzyć drzwi.

Mój Boże, Jock, wbrew wszelkiej logice ogarnęły mnie nagle czarne myśli o dzieciach połykających całą zawartość buteleczek aspiryny i zapadających w śpiączkę. Dreptałem tam i z powrotem. Greg również krążył pod drzwiami. Oczekaliśmy trzy minuty, po czym daliśmy jej jeszcze trzydzieści sekund. Płakała — było słyhać — więc przynajmniej wiedzieliśmy, że jest przytomna.

— Nie mogę wyjść. Piszczala jak szczenię.

— Sześćdziesiąt sekund — nie dawałem za wygraną.

— Albo wyważamy drzwi — dodał Greg.

— O Chryste — powiedziałem tylko. Scena jak z tandetnego filmidła.

Właśnie wtedy zadzwonił dzwonek i wystraszył nas jak wszyscy diabli. W progu stała Sue. Ma zebranie koalicji, wyjaśniła, postanowiła więc przyjść wcześniej niż zwykle i posprzątać do południa.

— Wyglądasz, jakbyś miał za chwilę zwymiotować — oto, co usłyszałem, wpuszczając ją do środka. — Boże wszechmogący, chyba nie jedliście znowu tego zepsutego indyka?

Opowiedziałem o Mii. Muszę przyznać, że Sue mi zaimponowała. Z niezmaconym spokojem pomknęła ku drzwiom łazienki, zastukała energicznie i powiedziała:

— Tu Sue, służąca jaśnie pani. Jeśli nie wpuścisz mnie w tej chwili, złożę ci skórę.

Drzwi się otworzyły. Zobaczyliśmy dłoń Mii i nic więcej. Sue wmaszerowała do środka, machnięciem ręki każąc nam usunąć się na bok, i zdecydowanie zamknęła za sobą drzwi. Usłyszałem trzask zamka.

Czekaliśmy w korytarzu. Twarz Grega przybrała barwę pergaminu, moja prawdopodobnie też. Minutę później zza uchylonych drzwi wychynęła głowa Sue.

— Macie w domy koteksy?

— Co? — spytałem. Głupio.

— Podpaski. Są tu gdzieś?

Serce mocniej mi zabiło. Greg posłał mi cudaczny uśmiezek, wyrażający częściowo skrępowanie, częściowo jakieś inne emocje. Bóg wie jakie.

— Są czy nie? — dopytywała się Sue, jakby z irytacją.

— Raczej nie — wykrztusiłem.

— Pójdę kupić — zaoferował się Greg po chwili milczenia. — Seven-Eleven powinien być otwarty.

(Gdyby w moich żyłach płynęła choć kropla śródziemnomorskiej krwi, byłbym go ucałował).

Sue czekała z Mią w łazience. Słyszałem, jak rozmawiają, zza drzwi docierał szmer stłumionych głosów. Greg wrócił po siedmiu minutach ze znajomą paczuszką w dłoni. Ponownie zapukałem do drzwi. Otworzyły się. Sue wyciągnęła rękę i wzięła pakuneczek ze słowami:

— Jeszcze kilka minut. Może poszlibyście na przykład usmażyć jajecznicę?

Greg upiekł boczek w mikrofalówce, ja wrzuciłem jajka na patelnię. On nakrył do stołu, wywiązując się z tego zadania w miarę przyzwoicie, ja zaś podgrzałem kawę i rozkroiłem grejpfruty.

Dziesięć minut później Mia, nieco błada i odrobinę roztrzęsiona, siedziała przy stole i pałaszowała jajka. Wcinaliśmy wszyscy. Kiedy ostatnio jadłem takie śniadanie? Sue bez przerwy robiła tosty, które natychmiast znikaly. Nim zdążyłem mrugnąć okiem, nie było śladu po połowie bochenka. Zastanawiałem się, co, u licha, świętujemy. Nie chodziło po prostu o pradawne, mityczne przedzierzgnięcie się z dziewczynki w kobietę, choć częściowo pewnie tak. To było odreagowanie żyletek (mimo że w domu ich nie mamy), pigulek, paniki oraz wszystkich innych rzeczy, których okropnie się bałem, zupełnie sobie tego nie uzmysławiając. Ostatecznie cóż tak naprawdę wiemy o sekretnym życiu naszych dzieci? Myślę, że wszyscy wsadziliśmy nosy w talerze z jajami na bekonie, ponieważ był to jedyny sposób, jaki przyszedł nam do głowy, na wyciszenie stanu, który Sue nazywa czarnym oblędem.

Nim skończyliśmy śniadanie, Mia zaczęła sypać dowcipami z rodzaju „puk, puk, kto tam” (czyżby znowu stały się modne). Przed wyjściem do szkoły uściskała mnie. Powiedziałem, że może zostać w domu, ale ona tylko posłała mi wymowne spojrzenie, niczym prawdziwa kobieta. Wpychając prześcieradła do pralki, Sue uraczyła mnie dramatyczną, drobiazgową relacją z jej pierwszego razu (w wieku jedenastu lat). Była to historia bardziej szczegółowa, niż miałbym ochotę usłyszeć, niemniej jednak interesująca. Czy to nie dziwne, że połowa świata jest uwikłana w rytuał, o którym druga połowa niemal nic nie wie? Skłania to do refleksji, ile jeszcze innych tajemnic jedna pleć skrywa przed drugą. Rozum podpowiada mi, że istnieją zastrzeżone obszary, wielkie niczym boisko piłkarskie, które nie znikną z dnia na dzień, nawet za sprawą stu komisji rządowych — ale kto tam wie.

Miło, że dzieci mogły wrócić do szkół, lecz wszyscy wokół obawiają się, że porozumienie pomiędzy rządem a pielęgniarkami jest tymczasowe. Sue twierdzi, że pielęgniarki wykiwano na cacy — to nie są dokładnie jej słowa, ale oddają sens — i że wszystkie zatkało z oburzenia. Szykowaliśmy się do wojny, a skończyło się na szybkiej uchwale podjętej z dnia na dzień. Rozczarowanie przeszkadza jednak zwykle w realnej ocenie faktów (kolejne spostrzeżenie Sue) i w rezultacie nie wiemy — wygraliśmy czy przegraliśmy. Wokół panuje jednak spore rozgoryczenie, nawet w naszym najbliższym sąsiedztwie. Wczoraj w nocy ktoś ukradł z trawnika przy domu transparent z napisem „Powstrzymać rząd”. Zgadnij, do trzech, czyja to sprawka? A przez otwór na liście ktoś wsuwa małe wycinki z prasy popierające władzę — zgadnij kto, znowu do trzech razy sztuka. Gdyby nie było to takie małostkowe, zawiesiłbym koc w oknie kuchennym. Nic dziwnego, Jock, że obstawałaś przy tych zasłonach.

Martwię się trochę o Grega. O to, dokąd co wieczór wychodzi i co, do diabła, robi. Zaproponowałem któregoś dnia, kiedy przyszedł mój pierwszy czek z prawdziwego zdarzenia (cudownie słyszeć znowu radosne pbrzękiwanie w kieszeniach), wspólny wypad do Fishnetu na superkolację.

— Nie, dzięki — powiedział. — Nie zamierzam marnować całego wieczoru na siedzenie w jakiejś zakichanej knajpie.

Zapytałem, dokąd się wybiera, a on na to, że wychodzi z kumplami. Tylko że już całe wieki nie widziałem tu ani Pete'a, ani Stu, czy Bena, ani innego z kolegów.

Pomijając wszystko inne, wspaniale jest czuć znowu przyływ drobnej gotówki. U Sandersona narzucają dość ostre tempo. Interes kręci się z zawrotną szybkością, aż trudno się zorientować, że nadal trwa recesja. Greg miał wszakże rację co do jednego: zasadniczo jest w tym coś upokarzającego, że zgodziłem się siedzieć w wielkiej sali kreślarskiej, gdzie hula przeciąg, odłazi wykładzina, a kawę podają w styropianowych kubkach — z całym szacunkiem dla ekologów — ale co tam, absorbują mnie teraz inne sprawy. Przerabiam mój wiersz o bezrobociu, uwzględniając reakcje grupy. Bob powiedział: „no, to jest to”, Janet oświadczyła, „że jest poruszona, ale żąda konkretów”, Stan dorzucił: „musisz mocniej dopieprzyć tym sukinsynom”, Melanie/Melody stwierdziła (niespodziewanie), że powinienem być bardziej nieprzejednany, Tracy, że nie trafiłem w sedno sprawy, a Davina poradziła mi przeanalizować mój gniew. A więc oto, co robię, garbiąc się nad deską kreślarską, obserwując wskazówki zegara i żując styropianowy kubek — analizuję swój gniew. Gdybym tylko miał większe doświadczenie w tym zakresie. Chyba trochę za późno na rozpoczynanie nauki.

Poszedłem do sklepu monopolowego kupić Sue dziękczynną butelkę wina i zgadnij, na kogo się tam natknąłem? Na Twoją mamę przytrzymującą oburącz butelki ginu. Wytłumaczyła, że wydaje przyjęcie. Dla grupki starych przyjaciół od brydza. Zostałem zbesztany za to, że nie nakrzyczałem na Ciebie, abys częściej do niej pisała i tak dalej. Odpowiedziałem, że wspomnę o tym wyraźnie w następnym liście. Możemy uznać, że wspomniałem?

Odmierzam dni do Bożego Narodzenia.

Pozdrowienia od Twego na wpół bezrobotnego męża, jak również od krnąbrnego syna oraz córki po świeżo przebytej inicjacji

Chas

Ciało przemawia niezasłużoną melodią

A serce zapisuje nuty

Austin Grey

Old Town Lane 4 Ottawa, Ontario 18 listopada

Drogi Chas,

dziś rano dostałam Twój list (poczta kanadyjska działa coraz sprawniej) i przez cały dzień jestem w bardzo dziwnym nastroju — czuję nieprzyjemny ucisk w dołku, który popycha mnie do gorączkowej krzątani-ny, a następnie zatrzymuje w miejscu, gdy nagle nachodzą mnie wspomnienia. Smutek — to słowo wydaje się zbyt mocne, nie wiem jednak, jak inaczej opisać mój stan ducha. Kochałam dziecięcość Mii, uwielbiałam, gdy z przejściem piekła ciasteczka na święta, z przyjemnością patrzyłam na jej smukłe, opalone nogi, kiedy sunęła na wrotkach po ulicy, i lubiłam przedstawienia, które wystawiały z Lucy (pamiętasz Lucy? Miała brązowe loki i aparat na zębach?), każąc nam płacić po ćwierć dolara za wstęp. To już przeszłość. Tak, ogarnął mnie smutek, który wzmagą jeszcze matczyne poczucie wykluczenia z ważnego epizodu w życiu córki. Do tego dochodzi współczucie dla Mii, że dotknęło ją takie utrapienie, takie przekleństwo, jak po dziś dzień mawia moja matka. I jeszcze te znajome, ciche wyrzuty sumienia, że mnie przy tym nie było — chociaż, słowo daję, włożyłam do szuflady toaletki pudełko podpasek i wspomniałam o tym Mii, ale pewnie w szoku (bo to jest szok) zapomniała.

Odczuwałam potrzebę porozmawiania z kimś na ten temat i natknęłam się w czytelni na Austina spoglądającego przez szkła okularów na tom poezji Audena. Czyżby unikał George'a? Podejrzewam, że zaczął dawać mu się we znaki. George nie potrafi napisać linijki swej nieśmiertelnej prozy bez zadręczania Austina jakimiś wydumаныmi pytaniami, na przykład, czy słowa „rodzaj” i „płeć” można stosować zamiennie — tylko współczuć jego żonie, skoro tego nie wie — zadawanymi z rozentuzjasmowanym wzrokiem, w którym skrzy się pyszałkowatość.

Teraz dostrzegam w Austinie coś więcej niż przeciętność. Wyobraź sobie, że jest starszy od Vana za- ledwie o dwa lata! Dlaczego wydaje się dużo starszy? Zwłaszcza że jego włosy nie są nawet w połowie tak si- we jak Vana (Człowiek z Gład*, to nowe przyzwisko nadane mu przez Jessicę). W gruncie rzeczy, kiedy wreszcie przyjrzałam się Austinowi, uzmysłowiłam sobie, że wcale nie jest siwy, ma włosy w kolorze piasku. Ciekawe, dlaczego tak sympatyczny mężczyzna nigdy się nie ożenił?

* Aluzja do środka do czyszczenia z reklam, takiego jak np. Mr Muscle.

Wtedy podniósł wzrok i przyłapał mnie, jak się gapię. Posłał mi uśmiech, a następnie poszliśmy razem na kawę.

— Przytłaczające wieści z zachodu?

Austin jest piekielnie spostrzegawczy! To pewnie cecha właściwa poetom. Ponieważ miałam Twój list w torebce, przeczytałam mu fragment o Mii, starając się wyjaśnić moją niezrozumiałą reakcję. Rozbawił go Twój opis, ale odniosłam wrażenie, że rozumie sytuację. Mówił o mitycznym znaczeniu, jakie przypisywano menstruacji w społeczeństwach prymitywnych, oraz przytoczył historię opowiedzianą w *Złotej gałęzi* o austra-

lijskim aborygenie, który odkrył, że jego żona podczas miesiączki leżała na jego kocu. Zabił ją, po czym sam zachorował i zmarł w ciągu dwóch tygodni. Kobieta jako ta inna, czarownica, postać budząca lęk, nieczyste naczynie śmierci — po części to, o czym pisałeś w swoim liście, niedostępna tajemnica nieznaney płci.

Tak, czasem wydaje mi się, że mężczyźni i kobiety przemierzają czasoprzestrzeń dwoma równoległymi torami, które, posłuszne prawidłom geometrii, nigdy się nie przetną. Załączam list do Mii.

W piątkowy wieczór pojechałam pociągiem do Montrealu — to tylko dwie godziny drogi. Siedziałam w przedziale pierwszej klasy, gdzie podano mi kolację jak w samolocie. (To rozumiem). Pociąg przyjeżdża do samego centrum miasta. Trudno sobie wyobrazić krótszą drogę do McGilla, który również leży w sercu metropolii. Vancouver mógłby się wiele nauczyć od Montrealu.

Pokój w rezydencji był skromny, lecz niczego mu nie brakowało, a z kartki z wydrukowanymi wskazówkami dowiedziałam się o zebraniu zapoznawczym przewidzianym na godzinę dziewiątą. Było nas w grupie około dwudziestu osób, ale ja rozmawiałam jedynie z pięćdziesięcioletnim starszym urzędnikiem Kanadyjskiej Izby Skarbowej (przyczepił się do mnie), który dopiero co zdobył zdumiewającą informację, że dyplomowany księgowy to po francusku *comptable agréé*. Nazajutrz na zajęciach, kiedy się przedstawialiśmy, wygłosił zdanie: „*Zu sui mesjur McBride i zu sui komptabl agrejej awek Kanadyjska Izba Skarbowa*”. Nauczyciel francuskiego (który dopiero co przyjechał z Paryża) rzekł na to: „*En français, s'il vous plaît*”, a wtedy wszyscy ryknęli śmiechem.

Dlaczego pan McBride musi być tak stereotypowy? Prawdę mówiąc, okazał się dość miłym człowiekiem. Jego hobby to obserwowanie ptactwa, był więc bardzo rozczarowany, gdy nie potrafiłam mu powiedzieć, ile gatunków ptaków błotnych gniazduje w delcie Fraser.

Na zajęciach bawiliśmy się niezłe, choć monsieur Beauchemin nie zadał sobie trudu, by ukryć swą niepochlebną opinię na temat kanadyjskiego akcentu. Można by pomyśleć, że najwznieślijszym dążeniem rodzaju ludzkiego jest parlowanie français z akcentem Tours (wiedziałaś, że jest najbardziej poprawny?). A co do kanadyjskiego nacjonalizmu: *quel* prowincjonalny kaprys. Wreszcie urocza, drobna, siwowłosa kobieta (która okazała się niezwykle błyskotliwą, drobną, siwowłosą kobietą władającą nienaganną francuszczyzną) powiedziała mniej więcej coś takiego: „Jesteśmy zainteresowani nauką francuskiego po to, by porozumiewać się z naszymi rodakami, którzy mówią po francusku”.

Monsieur Beauchemin, wyraźnie wstrząśnięty tym komunikatem, do końca dnia był zrezygnowany.

Jeśli zaś chodzi o główne wydarzenie, czyli kolację u Pierce'ów w środku skromnego, zajmującego raptem trzy akry, pola bitewnego Westmount, które Van i Katarzyna Groźna zwać domem, napiszę o tym następnym razem.

Mój Boże, znowu ten piec. Może nie naprawili go jak należy?

Muszę kłaść się spać. Po ponownej lekturze *Moonlight on a Still Spirit*. Skąd Austin Grey o tym wszystkim wie?

Jock

PS: Mój drogi, potrafię zrozumieć Twoją paranoję w związku z podcinaniem sobie przez Mię żył i łykaniem opakowania aspiryny, ale popłakiwanie w łazience to rzecz normalna wśród dorastającej młodzieży. Pamiętam to aż nadto dobrze, a w domu rodzinnym mieliśmy tylko jedną łazienkę.

PPS: Dlaczego nie zapytasz Grega prosto z mostu, dokąd chodzi? I domagaj się odpowiedzi. Przecież nie możemy wiecznie trwać w niepewności, prawda?

Sweet Cedar Drive 29

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

22 listopada

Kochana Jock,

o rany, Ty też byś się pogubiła, gdybyś była tutaj, w samym sercu Prawdziwego Życia, zamiast podglądać je leniwie z krainy Hollywood/Westmount. Martwię się. Nic na to nie poradzę. Mia spędza większość czasu u Finsteadów, piekąc ciasteczka i robiąc ozdoby choinkowe z *papier mâché*. Czego jej brakuje we własnym domu? (Od czasu do czasu nieśmiały głos w mojej głowie ponawia to pytanie). Czy chodzi tylko o to, że nie umiem przygotować masy papierowej?

Tak, masz rację, muszę otwarcie pogadać z Gregiem, tym bardziej, że wychodzi co wieczór i czasem nie ma go do północy albo i dłużej. Już dawno przyparłbym go do muru, gdyby zaczął zbierać gorsze oceny, ale widziałas jego ostatnią cenzurkę! Myślę, że tak naprawdę cholernie niepokoi mnie fakt, że Greg wydaje się dysponować sporą gotówką. Skąd bierze pieniądze i czy rzeczywiście mam prawo o to pytać? Handel narkotykami? Wiem, brzmi to absurdalnie, ale zdarzały się już dziwniejsze rzeczy na tym świecie.

Gdy wyszedł któregoś wieczoru, odłożyłem na bok swoje święte przekonanie o poszanowaniu prywatności dziecka i dokładnie przeszukałem jego pokój. Zaglądałem wszędzie, pod materac, na dno szafy, myszkowałem w niewiarygodnie zagraconych szufladach. Wszystko, co znalazłem, to jeden magazyn z rozebranymi panienkami, z gatunku tych mniej obrzydliwych, oraz około czterdziestu brudnych, zwiniętych skarpetek. I tyle. A także list do Ciebie, przerwany w połowie, z datą 30 września: „Cześć, mam, co tam słyhać w stolicy?”

Sue najwyraźniej sądzi, że moje problemy są natury politycznej i wczoraj wieczorem zaciągnęła mnie na spotkanie Koalicji Solidarności z uwagi na to, że jako człowiek bezrobotny i samotny ojciec (żadna z tych kategorii do końca nie pasuje, ale...) powinienem wysunąć się na czoło frontu politycznego, który żarliwie walczy w moim imieniu. Zgromadzenie — w wynajętej sali przy Commercial — było niewielkie. Jak mówi Sue, trudno się domyślić, że mamy za sobą trzynastodniowy strajk w Kolumbii Brytyjskiej. Ludzie zapomnieli o całej sprawie tak szybko, że równie dobrze mogłaby nigdy nie zaistnieć.

Około czterdziestu zebranych tam osób przedstawiło plany dwóch demonstracji, jednej w obronie praw lokatorów i drugiej w imieniu niepełnosprawnych mieszkańców prowincji. Podpisaliśmy kilka petycji, wysłuchaliśmy kilku przemówień, a potem poszliśmy z Sue na kawę w towarzystwie najgniewniejszej młodej kobiety (przyjaciółki Sue), jaką kiedykolwiek spotkałem, samotnej matki, której właśnie podniesiono czynsz o piętnaście procent. Mogła mieć najwyżej trzydzieści lat, ale złość paskudnie ściągnęła jej usta i pomarszczyła skórę w okolicach oczu. Co gorsza, miała niezupełnie czystą szyję i upačkane okulary. Korciło mnie, żeby je zdjąć i wypolerować papierową serwetką, ale się powstrzymałem. Nie potrafiła mówić inaczej, tylko podniesionym głosem. Myślałem, że wywalą nas z kawiarni, bo grzmociła pięścią w ścianę i pomstowała na rząd. Oraz na

mężczyzn. Faceci to kanalie. Gnoje. Poinformowała o tym zadowolonych z życia kawoszy w każdym zakątku sali. Mężczyźni nie są gotowi ani skłonni zrzec się swojej władzy, trzeba im zatem wyrwać ją siłą.

Czy poczułem się zagrożony? (Wyobrażam sobie, jak zadajesz mi to pytanie). Tak. Lecz zarazem przygnębiony całą tą beużyteczną furią. Ostatecznie do czego prowadzi ta złość poza wrzodami i brudami na twarzy? Sue upiera się — o tym rozmawialiśmy później — że gniew jest zarzewiem, które roznieci rewolucję. Chciałem zapytać: „Zaraz, o jakiej rewolucji mowa?“, ale ugryzłem się w język. Ostatnio mam poczucie nieprzystosowania do dzisiejszych czasów i jestem odrobinę zdezorientowany, co wolno, a czego nie.

Dziś jest dwudziesty drugi — jeszcze miesiąc i powinnaś mknąć do domu w przestworzach. Znasz już dokładną datę przylotu?

Ucałowania Twój Chas

PS: W tym tygodniu definitywnie zabieram się za Grega.

Old Towne Lane 4 Ottawa, Ontario 27 listopada

Drogi Chas,

wreszcie chwila wytchnienia, mogę więc usiąść i opowiedzieć Ci wszystko o moim *très étrange* wieczorze u Pierce'ów. O — daruj mi ten francuski — *mon aventure*.

Van nalegał, że po mnie przyjedzie, pomimo moich słabych protestów i wyjaśnień, że mogę przecież wezwać taksówkę — słabych, ponieważ podczas krótkiej jazdy z dworca na uniwersytet kilkakrotnie całe życie przemknęło mi przed oczyma, a kiedy inna taksówka przecięła nam drogę tuż przed nosem, poznałam kilka interesujących zwrotów we francuszczyźnie, której zapewne nie używa się w Tours.

Jak Ci wiadomo, Westmount znajduje się w samym centrum miasta. Wspaniałe położenie! Drzwi otworzyła pokojówka i odebrała ode mnie płaszcz, następnie Van poprowadził mnie trzy lub cztery stopnie wyżej przez hol, w którym zmieściłby się nasz salon i to z metrowym zapasem. Dalej przeszliśmy do pokoju wyłożonego grubym chińskim dywanem w wytłaczane wzory — przepiękne kwiaty lotosu na białym tle — z białymi, pluszowymi fotelami i ogniem buzującym w cudownym marmurowym kominku. (To był gabinet). Służąca pochyliła się nade mną, czekając, aż zamówię szkocką, a potem pani Pierce — Catherine — wpłynęła do pokoju niczym parowiec „Brytania” zawijający do portu w Vancouverze. To duża kobieta, nie w sensie tuszy, lecz mocnej budowy ciała, *très formidable*, i niemal równie wysoka jak Vance. Była ubrana w luźną, fałdzistą suknię z drukowanego jedwabiu, która łopotała za nią jak spinaker. Gęste, żółte włosy nosi upięte grzebieniami w swobodne, duże węzły wokół głowy i jest przystojna w tym znaczeniu tego słowa co Maggie Thatcher: angielska, brzoskwiniowomleczna cera i wyraziste rysy. Bez wieku. Ojciec określał podobne do niej kobiety mianem „dorodnych”. Ma dość zaskakujące, zielone, kocie oczy. (Przylapałam się na rozważaniu, jaki odcień turkuszu muszą mieć oczy ich dzieci po skrzyżowaniu tej zieleni z błękitem tęczęwek Vance'a).

Odezwała się do mnie donośnym, głębokim głosem z akcentem, który początkowo uznałam za brytyjski, potem jednak zidentyfikowałam jako akcent Williama F. Buckleya.

— Senator mówił mi o pani wiele dobrego. Ogromnie się cieszę, że mogła nas pani odwiedzić, pani Selby.

Pohamowałam się przed dygnięciem.

— Ależ proszę mówić mi Jocelyn...

— Mów do niej Jock — rzekł stanowczo Van, zagłębiając się w fotel.

Catherine zignorowała go.

— Jocelyn. Urocze imię. Uczysz się francuskiego, jak słyszałam. Cóż za utrapienie! Pewnie senator cię namówił.

— Nie wszyscy Kanadyjczycy podzielają twoje przedpotopowe poglądy, Catherine — powiedział Van.
— Rozumienie drugiego języka urzędowego kraju leży być może we własnym interesie Jock.

— Też coś! — Catherine machnęła lekceważąco ręką w kierunku Vana. — Nie trzeba przechodzić na jakiś regionalny dialekt, by się przypochlebiać i afiszować swoją lojalnością. Mieszkam tu od dwudziestu lat i nigdy, przy żadnej okazji, nie odczuwałam najmniejszej choćby potrzeby posługiwania się językiem innym niż angielski. Jeśli ci, z którymi mam do czynienia, nie mówią po angielsku, to ich problem. Ani ja nie ingeruję w ich życie, ani nie oczekuję od nich ingerowania w moje.

I rozprawiwszy się z uciążliwościami dwujęzyczności, utkwiała we mnie zupełnie nie speszone, taksujące spojrzenie, którym objęła moją porządną sukienkę z niebieskiego jedwabiu — dzięki Bogu, że ją włożyłam — i płaskie pantofle.

— A teraz, panie senatorze — ciągnęła — gdybyś tak poskromił swój nieznośny zwyczaj wypowiadania się w cudzym imieniu i pozwolił Jocelyn dojść do słowa, chętnie wysłuchałabym, co ma do powiedzenia.

Podjęłam próbę udobruchania ich obojga, mówiąc, że jest to dla mnie okazja nauczenia się drugiego języka.

— Poza tym wypełnia czas w weekend. Bez rodziny wolne dni ziejają pustką — dodałam.

— Masz dzieci?

Z entuzjazmu w jej głosie wywnioskowałam, że potomstwo to uśmiech losu, więc czym prędzej zaczęłam zdradzać szczegóły mojego macierzyństwa.

— Dwoje nastolatków — powiedziałam z dumą świeżo upieczonej matki.

— Chodzą zapewne do szkoły? A niby gdzie miałyby chodzić?

— Naturalnie — odparłam.

— Do Shawnigan Lake? Sporo moich przyjaciół posłało tam swoje dzieci.

Nawet gdyby przyłapała mnie, jak kucam w dżungli, przesyłając wiadomość bębnieniem w tam-tamy, nie mogłabym poczuć się bardziej zacofana. Przyznałam się, że dzieci nie chodzą do szkoły prywatnej, lecz publicznej. W tym momencie na całe szczęście służąca przyniosła drinki, pokrzepiłam więc mą drżącą duszę. Catherine zaciekało następnie, kto się nimi opiekuje.

— Gospościa?

— Ich ojciec.

— Ojciec?

Niedowierzanie. Widać sądziła, że chodzi o typową sytuację rozbitej rodziny. Wystąpiłam więc w obronie naszego małżeństwa i zaczęłam paplać:

— W sumie radzi sobie doskonale. W zeszły weekend udało mi się pojechać do domu, a widok ich trojga tak świetnie obywających się beze mnie zadał cios mojej dumie.

— W zeszły weekend?

Zastanowiła mnie nieco intensywność jej zainteresowania, potwierdziłam jednak, że owszem, miało to miejsce w zeszły weekend, jedenastego listopada.

— To znaczy, że twój pobyt w Ottawie wiąże się jedynie z uczestnictwem w pracach Komisji?

— Ależ tak, tyle że nie jestem faktycznie członkiem Komisji, lecz doradcą prawnym.

— Gdybyś od czasu do czasu słuchała, Catherine — wtrącił Van — nie musiałabyś poddawać naszych gości swoim irytującym przesłuchaniom. Nie zwracaj na to uwagi, Jock.

Zorientowałam się, że pomyślnie przeszłam test, któremu poddała mnie Catherine, ponieważ posłała mi nagle (zaskakująco) serdeczny uśmiech i rzekła:

— Musi ci doskwierać samotność. Senatorze, dlaczego, u licha, nie przywiozłeś jej tutaj na weekend?

Tylko nie to. Wybawił mnie dźwięk dzwonka.

— O, to na pewno Austin — rzekł Van i wstał z fotela. Poczułam ulgę na wieść, że dołączy do nas Austin.

Gdy tylko Van opuścił pokój, Catherine skinęła na runie, bym usiadła obok niej i powiedziała dość pośpiesznie:

— Mam nadzieję, że marna prasa, jaką zbiera senator, nie wprawia cię w zażenowanie.

Zdębiałam. Zrozumiesz, w czym rzecz, po przeczytaniu załączonego wycinka z plotkarskiej rubryki Valerie Cerise w „Montreal News”:

Któż by przypuszczał, że nasz błękitnooki senator Pierce zostanie zagorzałym feministą dążącym do równouprawnienia z takim zapalem, że przez całą drogę do Halifaxu podtrzymywał na duchu (na koszt podatników) swą młodą, dobrze zapowiadającą się asystentkę. Gdzież można zdobyć głębszą wiedzę, niż towarzysząc naszemu rączemu senatorowi w zakrętach i wywijasach przedwyborczej polki na zjeździe liberałów? Senator Pierce mieszka w Montrealu. Jego żoną jest Catherine Nesbitt-Holmes, spadkobierczyni rodu Nesbitt-Holmesów, którzy zbili fortunę na herbatnikach. Mają dwoje dzieci w szkole w Szwajcarii. Oczywiście wiedziałam już, czego dotyczyły indagacje Catherine i wypaliłam:

— Nawet Jessica twierdzi, że media podążają fałszywym tropem.

— Jessica?

— Tak, Jessica Slattery, no wiesz...

— Znam ją doskonale.

Catherine zdecydowanym krokiem podeszła do kominka, chwyciła pogrzebacz i energicznie uderzyła w tłące się kłocce. Z kilku żarzących się węgli buchnął spory płomień.

— Współczuję ci, moja droga — dorzuciła.

Zaraz, zaraz, wolnego, pomyślałam. Odchrząknęłam, po czym oświadczyłam:

— Nabrałam wiele szacunku dla Jessiki. Jest mocno wyczulona na potrzeby społeczne i gotowa prowadzić nieustępliwą walkę o sprawy kobiet.

— Jessica Slattery — powiedziała Catherine wolno i dobitnie ze swym nienagannym bostońskim akcentem, przygwożdżając mnie spojrzeniem zimnych, zielonych oczu — jest wredną jędzą.

W tym właśnie momencie do pokoju weszli Austin i Van. Catherine ruszyła w kierunku gościa z okrzykami powitania, on zaś wspiał się na palce i cmoknął ją w oba policzki. Widać nie był tu obcy.

— O, Jock — powiedział, a następnie zwrócił się do Catherine. — Słusznie postąpiłaś, zapraszając Jock. Nakarmienie jej niewiele kosztuje.

— Ja nigdy nie stosuję diety. To uleganie kaprysom mody — oznajmiła kategorycznie Catherine i zaprowadziła nas do jadalni.

Kiedy zajęliśmy miejsca, spytała Austina, nad czym pracuje.

— Ostatnio niewiele piszę ze względu na Komisję i tak dalej.

— Szkoda twojego talentu. Mam poważne zastrzeżenia do tej Komisji oraz jej zadań. Feminizacja ubóstwa.

Wypowiedziała to takim tonem, jakby chodziło o jakąś chorobę.

— Brzmi pretensjonalnie — prychnęła. — Czy ten problem tak bardzo dotyczy Kanady? Wątpię.

Poczułam, jak krew napływa mi do twarzy, lecz Austin jedynie się uśmiechnął i spokojnie rozejrzał po przestronnej jadalni.

— Bieda nie bardzo rzuca się u nas w oczy, prawda?

Służący (domowy, nie jakiś wynajęty kelner; czy kogoś takiego nazywa się lokajem?) zabrał ze stołu ostrygi — smaczniejsze niż te, które łowiliśmy w zeszłym roku na Hornby Island — i wniósł sałatkę.

— Zawsze byłam bogata i nie zamierzam za to przeproszać — rzekła Catherine. — Nie mogę nawet powiedzieć, że wolę być bogata, bo nigdy nie zakosztowałam innego życia. Senator owszem, i wcale mu się to nie podobało.

— Nie podoba mi się nadal — powiedział Van niewyraźnie. — Dlatego staram się ulżyć ubogim.

— Sobie już ulżyłeś — odparowała Catherine. — Żeniąc się ze mną.

Po tych słowach parsknęła rubasznym śmiechem. Po ustach Austina przemknął leciutki uśmiech, ja zaś ukryłam twarz za sałatą.

— Doprawdy, Catherine, nasi goście odniosą niewłaściwe wrażenie.

— Bzdura. Austin, czy ty odnosisz niewłaściwe wrażenie?

— Nie, moja droga, lecz ktoś, komu obce jest twoje poczucie humoru, może być, czy ja wiem, zbity z pantałyku? Nie zapamiętałam Vance'a z tamtych czasów jako ubogiego chłopaka w łachmanach. Prawdę mówiąc, przypominam sobie, jak dziarsko kroczył po kampusie Harvardu w poszukiwaniu partnera do tenisa, świetnie się wówczas prezentował.

— Dziękuję ci, Austin.

Następnie odwróciwszy się do Catherine, Vance powiedział dość napastliwie:

— Nie wyciągnęłaś mnie z rynsztoka, moja droga. Zanim się ze mną związałaś, byłem już całkiem dobrze sytuowany.

— Istnieje różnica pomiędzy dobrze sytuowanym a bogatym — skonstatowała Catherine tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Bogata zawsze byłam ja, senator zaś nie zawsze. Rzadkich burgundów nie kupuje się za stypendia, prawda, Austin?

Nim Austin zdążył otworzyć usta, Van wstał z wielkim namaszczeniem i ostrożnie skierował kroki ku przeciwnemu końcowi stołu. Ukłękł przed Catherine, ceremonialnie ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek tuż obok brylantu na serdecznym palcu. Potem obrócił jej rękę i ucałował wewnątrz dłoni.

— Moja droga — zaczął. Uwaga, powiedział to, nieomal wyszeptał, głosem tak pieszczotliwym, że pomyślałbyś, iż przeżywają właśnie *grande passion*. — Pragnę zachęcić cię do odwzajemnienia mych uczuć przez pocałowanie mnie w dupę.

Na szczęście, posłużył się francuskim. Na nieszczęście, weekend poświęcony nauce języka zaowocował akurat w tym momencie, zrozumiałam więc dokładnie każde *mot!* Poczułam, jak moja twarz płonie aż po same korzonki włosów, pochyliłam się więc nad sałatą tak nisko, że można by mnie pomylić z Królikiem Piotrusiem.

— Och, wstańże i nie rób z siebie głupca — rzekła Catherine trochę zmieszana, ale zadowolona. — Poza tym bardzo niegrzecznie jest mówić po francusku w towarzystwie osoby, która tego języka nie rozumie.

Gdy Van doskoczył do swego krzesła, zaryzykowałam podniesienie wzroku i, niestety, napotkałam spojrzenie służącego. Wyglądał tak, jakby miał się za chwilę udławić. Nagle zniknął, a jego miejsce zajął inny służący — klon poprzednika — który sprzątnął ze stołu talerze do sałaty oraz kieliszki do białego wina, zastępując je kompletem do wina czerwonego.

— Zdaje się, że Jessica wręcz ujęła Jocelyn — zauważyła Catherine. — Czyżby poczyniła jakieś postępy?

— Nawet jeśli tak, nie jest to widoczne. Musiałem oddać dywan do czyszczenia, bo chlusnęła na niego moim najlepszym burgundem — rzekł Van.

— Zapewne odziana w szmaty, rozprawiając przy tym tonem najświętszej ze świętych. Ja przynajmniej mam w sobie dość dumy, by nie utrzymywać się z cudzej biedy.

Ponownie dała znak kelnerowi i zaserwowano wołowinę à la Wellington ze ślicznymi malutkimi marchewkami, ziemniakami i szparagami w sosie holenderskim. (Nie martw się, Chas. Blichtr i przepych mnie nie oszołomią. Nie dam się).

Zacząłam opowiadać o tym, jak Jessica zajęła się sprawą Jean — czy dokończyłam Ci kiedyś tę historię? Pamiętasz Jean z domu dla samotnych matek, która z powodu swojego szefa porzuciła kiepską pracę, zabezpieczając jedynie minimum konieczne do przeżycia? Otóż nasza poczciwa Jessica, bez Jean oraz bez jej wiedzy, pognęła do niesławnej restauracji, stanęła twarzą w twarz z lubieżnym szefem i zagroziła mu wniesieniem oskarżenia o napastowanie seksualne, zatem kiedy Jean zgłosiła się później po zaświadczenie o zwolnieniu, facet był jak do rany przyłoż.

Austin parsknął śmiechem, Van wzniósł toast za: „starą, grubą Jess”, Catherine zaś upewniała się „czy ta Jean nie wiedziała, że Jessica maczała w tym palce?”

Nie ma nic gorszego niż konieczność tłumaczenia prostej historii, jednak (w swojej naiwności) uznałam, że Catherine nie orientuje się, co to jest zaświadczenie o zwolnieniu i dlatego nie zrozumiała istoty rzeczy.

— Nie, Jean... — zaczęłam, lecz mi przerwano.

— Niedźwiedzia przysługa — podsumowała kategorycznie Catherine. — Wtyka nos w nie swoje sprawy, nie zapytawszy nawet, czy wolno. Typowe dla Jessiki. Zawsze wtrąca się w życie innych ludzi.

Zrzedła mi mina, i to nie tylko z powodu tej tyrady, ale również dlatego, że dostrzegłam w niej niepokojące ziarno prawdy. Moralność klasy średniej, jak powiedziałby ojciec Elizy Doolittle. Może Jean faktycznie wolałaby, żeby Jessica się nie mieszała.

— Catherine, moja droga, nigdy nie przypiąłbym ci etykiety wyznawczyni doktryny libertariańskiej — powiedział łagodnie Austin.

Wieczny rozjemca. Pewnie dobrze, że nie pozwolił mi wygłosić jednej z feministycznych diatrib w duchu Jessiki. (J. albo wyostrzyła moją świadomość, albo ją stępiła, w zależności od punktu widzenia). Następnie służący — ten pierwszy — zdekoncentrował mnie, wnosząc dwunastowarstwowy tort francuski przełożony fantastyczną, tuczającą masą (nie byłam w stanie dokończyć swojej porcji).

Przed wyjściem miałam jeszcze jedno tête-à-tête z Katarzyną Groźną. Dopytywała się, czy z Komisją współpracują jeszcze inne osoby.

— Tylko George O'Reilly, który jest pisarzem. Westchnęła, sprawiając nagle wrażenie znużonej.

— A sekretarki?

— Ach, oczywiście, Yvette, sekretarka Vance'a.

— Ładna? Kiwnęłam głową.

— Bardzo nam pomaga — dodałam.

— Nie wątpię. Dołączymy do pozostałych?

Próbowałam pociągnąć Austina za język, gdy odwoził mnie na uniwersytet.

— Dlaczego ona nienawidzi Jessiki?

— Zbędne pytanie — odparł z uśmiechem. — Konflikt między nimi był nieunikniony. Wiesz, Catherine jest nie tylko zamożną damą z towarzystwa.

— Nie? A kim jeszcze?

— Historykiem o pewnej renomie; miewa okresowe napady obdarowywania swoimi przemyśleniami uniwersytetu McGilla, który, mając wobec niej zobowiązania natury materialnej, nie szczędzi jej pochwał. W gruncie rzeczy jest bardzo dobrym historykiem, chociaż ja nie zgadzam się na przykład z jej poglądami na temat przyczyn powstania komunizmu oraz skutków niewłaściwego podziału bogactw. W czasie wolnym od działalności naukowej hoduje konie.

Z kim, zastanawiałam się (ale nie zapytałam).

— Czy mówiła serio, że Van poślubił ją dla pieniędzy?

— Obawiam się, że tak. Lecz nie oceniaj jej zbyt surowo. Dużo szczeka, ale zdecydowanie nie gryzie. Poza tym przeżyła niejedno rozczarowanie. Przynajmniej takie krążą plotki.

— Jest doprawdy dość nietaktowna.

— To częsta przypadłość bogaczy.

Po Austinie nie można spodziewać się bardziej zdecydowanego osądu.

Gdy wysiadałam z auta, poklepał mnie po rękę i powiedział, że wniosłam do Komisji powiew zachodniej świeżości. A ponadto podobają mu się moje dowcipy. Podaj to dalej.

Beaucoup d'amour, encore Jock

PS: Żałuję, że nie wzięłam do Pierce'ów torebki na jedzenie, przesłałabym Ci mój nie zjedzony kawałek tortu. Niebo w gębie!

PPS: Cieszę się, że postanowiłeś przycisnąć Grega.

Sweet Cedar Drive 29

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

6 grudnia

Droga Jock,

miałem pracowity tydzień. Z niezrozumiałych powodów moje życie towarzyskie rozkwitło. To znaczy z martwej ciszy zrobił się leciutki szmer, choć daleko mu do harmidru, jaki towarzyszy kolacjom w Montrealu *avec comédie domestique* (jak można by powiedzieć; jak Ty byś pewnie powiedziała).

We wtorek wieczorem mogłem właściwie przebierać w zaproszeniach. Sanderson organizował doroczne przyjęcie gwiazdkowe w International Plaza, a na nieszczęście, w tym samym czasie Davina postanowiła zaprosić do siebie całą grupę na spotkanie z okazji zakończenia semestru.

Trudno uwierzyć, że już połowa kursu za nami, a tymczasem wszystko, co dotychczas napisałem, to kawałek wiersza, nad wyrzuceniem którego właśnie się zastanawiam. Bądź co bądź pół wiersza to i tak więcej niż spłodził Bob (policjant). Cierpi na niemoc twórczą, rozumiesz: nigdy w życiu nie napisał nawet słowa, ale ma twórczą blokadę. Przypuszczałem, że Bob wyprowadzi Davinę z równowagi, lecz ona okazuje mu głębokie zrozumienie i doradza hipnozę, co jest chyba posunięciem dość radykalnym, zważywszy, że nikt nie ma pojęcia, co wyzwoli się w Bobie, gdy ten faktycznie się odblokuje. Drobną dygresja, przepraszam.

Napomknąłem Davinie, że mam już plany na wtorkowy wieczór, lecz wtedy jej twarz przybrała wyraz takiej bezbronności i odrzucenia, że od razu zadeklarowałem, iż postaram się przyjść.

— Mógłbyś przynieść jakieś danie na ciepło? — poprosiła, błyskawicznie odzyskując kontenans. — I dużo wina?

Odmroziłem jeden z bakłażanowych placków Twojej matki i, jedynie umiarkowanie zawstydzony, kupiłem butlę taniego wina jakiego nie oglądaliśmy na oczy od czasu naszych najwcześniejszych i najuboższych dni małżeńskich. Mia z entuzjazmem wyprasowała mój stary blezer i oboje z Gregiem wyprawili mnie z domu.

Davina oraz jej koty — trzy kastrowane samce — mieszkają w tym skupisku niskich, szarawych bloków u podnóża Burnaby Mountain. Kojarzysz tę okolicę. Pierwszy raz od wielu, wielu lat znalazłem się w mieszkaniu pozbawionym prawdziwych mebli, zastawionym jedynie dużymi, bezkształtnymi „formami” spowitymi w indonezyjską bawełnę. Sama Davina, uśmiechnięta i już lekko ubzdryngolona, gdy wszedłem, była również odziana w indonezyjską bawełnę. Jakoś jej to pasowało.

— Wiedziałam, że mnie nie zawiedziesz — powiedziała i uściśnęła mnie, zionąc dymem papierosowym.

Siedzieliśmy w siódmkę na rozłożonych na podłodze poduszkach — spróbuj i przekonaj się, jaka to katorga dla mięśni grzbietu — jedząc pieczonego łososia, chilli oraz placek z bakłażanów na papierowych talerzykach oraz popijając moje ohydne wińsko z grubych kubków do kawy.

Początkowo czułem się obrzydliwie staro. Miałem wrażenie, że wszedłem w łuszczącą się, zniszczoną skórę jakiejś obcej osoby, ale po dwóch kubkach kwacha byłem przekonany, że mimo wszystko wybrałem właściwe przyjęcie. Bob się rozluźnił i opowiedział nam o transwestycie, który obrobił bank i którego ścigał kiedyś po Broadwayu, Melody zapaliła skręta i wyjaśniła, dlaczego nie wierzy w witaminę E, Janet przyznała jej absolutną rację, Tracy wróżyła nam z dłoni (spotka mnie jakiś zawód miłosny), Stan zasnął pod figowcem Daviny, a następnie ona sama przeczytała nam kilka swoich wierszy, które traktują głównie o krwi, włosach i kruchych kościach. Janet płakała, Tracy miała taką minę, jakby zamierzała zrobić to samo, powiedziałem więc, że na mnie już czas — nastolatki same w domu, che, che. Wyrwałem stamtąd prosto do samochodu niczym facet, któremu właśnie odroczone wyrok, i pogałem w kierunku mostu Second Narrows. Była to jedna z tych rzadkich bezchmurnych nocy z temperaturą koło zera, a światła północnego wybrzeża zdawały się wabić bardziej niż zwykle. Wtedy zrozumiałem, że przyjąłem nie to zaproszenie, co trzeba. Powinienem być zostać w domu i popracować nad prezentem gwiazdkowym dla Ciebie — nie zdradzę nic więcej.

Jeszcze dwa tygodnie. Mia odkreśla dni na kuchennym kalendarzu.

Całuję mocno Twój Chas

PS: Co prawda kocham Twoje listy, ale czy mogłabyś się opanować z tymi francuskimi zwrotami? Chryste, skarbie, to jak inwazja pcheł.

Old Towne Lane 4 Ottawa, Ontario 11 grudnia

Kochany,

kilka słów przed nadejściem starych, dobrych świąt, kiedy zawitam w domu — a widzę, że to już najwyższy czas. Gdzie się podzieli wszyscy nasi wypróbowani przyjaciele: Chapmanowie, Clarke'owie, Ticknowowie, nasi pnący się w górę (możesz się wzdrygnąć na to określenie) serdeczni towarzysze sobotnich wieczorów, którzy zdecydowanie przeszli już etap gratów osłoniętych indonezyjską bawełną i dążą do wzniesienia się na poziom pluszowych luksusów Shaughnessy. Nigdy do Ciebie nie dzwonią? Czy może zostawili nas sobie na święta?

Skoro już o zbytkach mowa (chodzi o te ze wschodniego wybrzeża), garstka najświeższych wiadomości. Po weekendzie w Montrealu nie widziałam Jessiki przez kilka dni, ponieważ wyruszyła w jakiejś tajemniczej misji, lecz kiedy w poniedziałek weszłam do sali sąsiadującej z pokojem przesłuchań, już tam siedziała, przeglądając poranny raport. Od razu powiedziałam jej o mojej wizycie Pierce'ów, ale ona nawet nie podniosła głowy.

— Odpieprz się, jestem zajęta — usłyszałam.

Cała Jessica. Złapałam swój egzemplarz raportu i odwróciłam się na pięcie, zanim jednak zdążyłam zrobić więcej niż dwa kroki, zatrzymała mnie (zgodnie z moimi oczekiwaniami).

— Cholera jasna, prędzej czy później będę musiała się dowiedzieć.

Wyjęła papierosa i zapaliła zapałkę, pocierając ją o dzinsy.

— Przysuń fotel i wal.

— Wiesz, Jessico, wcale nie musisz słuchać, jeśli nie masz ochoty.

— Daj spokój, Jock, nie zołdkuj się. Porwała krzesło i przyciągnęła je do siebie.

— Siadaj i mów. Wprost drzę z podniecenia. Zaczynj od najgorszego. Bardzo polubiłaś Catherine.

— Niezupełnie — rzekłam, dając się ugłaskać. — Jest trochę... no wiesz, dominująca...

Jessica zawyła.

— Jezu, Jock, bez dwóch zdań należy ci się piątka za wnikliwość.

— Ona też szczególnie za tobą nie przepada. Jessica szarpnęła głową jak spłoszony koń.

— Dlaczego? Co o mnie mówiła?

— Złożyła mi wyrazy współczucia, że muszę z tobą pracować. Uznałam to za przejaw jej spostrzegawczości.

Jessica zaczęła robić się ceglastoczerwona. Nie potrafiłam zachować powagi i kiedy wybuchłam śmiechem, jej cera odzyskała swój normalny kolor (znowu widać było przebarwienia i popękane naczynka).

— No dobrze — odezwała się — dość tych bzdur, wykładaj kawę na ławę. Jakież to kłamstwa rozsiewają Tchórze z Westmount?

Zdałam jej szybką relację.

— Austin skomentował, że dotąd nie zdawał sobie sprawy z libertariańskich poglądów Catherine.

— A więc był tam Austin?

Rozparła się w skórzanym fotelu i położyła na stoliku swoje rozczłapane buty, zostawiając czarne ślady na raporcie, który studiowała.

— Catherine zatem życzyłaby sobie, abym pilnowała własnego nosa, prawda? Kilka razy rzeczywiście udało mi się zaleźć jej za skórę. Nadal nienawidzi Francuzów?

— Mmm... niezupełnie. Jakoś ich toleruje.

— Akurat.

Zdjęła nogi ze stołu, a wtedy podzieliłam się spostrzeżeniem, że Catherine i Van chyba nie są ze sobą zbyt szczęśliwi. Jessica rozsiadła się wygodniej w fotelu i głęboko zaciągnęła papierosem. Z błysku w jej oczach wywnioskowałam, że ta wiadomość wcale nie była jej niemiła.

— Tak? Pod jakim względem?

Opowiedziałam o nieustannych aluzjach Catherine, że Van ożenił się z nią dla pieniędzy — „cóż za głębia przemysleń”, prychnęła na to Jessica — o tym, jak sondowała mnie na temat Yvette — „biedna Kate; można kupić towar, ale gwarancji się nie dostanie” — a wreszcie, jak Van powiedział do niej po francusku, żeby pocałowała go w cztery litery.

Jessica ryknęła śmiechem, piejąc i krztusząc się dymem z papierosa.

Gdybyś był tam z nami, Chas, oskarżyłbyś nas o plotkarstwo i rzeczywiście, usta się nam nie zamykały. Przednia rozrywka. Uświadomiłam sobie, jak bardzo brak mi Beth Ticknow, Margie i Gwen, i wszystkich w domu, jak tęsknię za naszymi lunchami, długimi pogaduchami przez telefon.

Trajkotałyśmy z Jessicą na całego, gdy wszedł Austin, zerkając na nas znad swoich śmiesznych okularów konferencyjnych, które przycupnęły na czubku jego nosa.

— Boże, cieszę się, że pojechałaś na ten kurs, Jock. Nie przepuściłabym takiej okazji za żadne skarby — podsumowała Jessica.

Zdjęła nogi ze stołu, zdusiła niedopałek w popielniczce i wepchnęła raport do swojej sfatygowanej teczki.

— Ruszmy się, dochodzi dziesiąta. Hej, Austin, dobrze się bawiłeś w *haute monde*?

Austin zdjął okulary, starannie wytarł szkła i wyrecytował:

„Siedzę sobie tutaj i raport przeglądam,

A do możnych z Westmount nieszczęście zagląda”.

Muszę kończyć. Jeszcze tylko dwanaście dni! (I nocy). Nie mogę się doczekać!

Pozdrawiam Jock

PS: Własnoręcznie przygotowujesz mój prezent świąteczny? Pamiętasz czasy, kiedy i ja się w to bawiłam? Zrobiłam dla dzieci naszych przyjaciół wypchane kangury z torbami pełnymi ciasteczek. Zwierzakom puściły szwy, a styropianowe kulki wysypywały się ze środka przez dwa kolejne miesiące. Claire Chapman mówiła, że te kangury okazały się niezawodną pomocą w śledzeniu kroków jej dzieci.

Ja

Sweet Cedar Drive 29

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

15 grudnia

Kochana,

to lekkie wariactwo pisać do Ciebie list dziś wieczorem — będziesz tu dokładnie za osiem dni i siedem godzin (nie wiem, dlaczego wyobrażam sobie, jak przekraczasz próg w wirującej, szkarłatnej pelerynie), ale świerzbi mnie ręka, by chwycić za pióro. A raczej klawiatura doprasza się o pieśczęotę. Choinka odpoczywa na patio, gęś czeka w spiżarni — tzn. indyk leży w zamrażarce. Wiesz, ile ci złodzieje w Safewayu życzą sobie za gęś? Bożonarodzeniowy pudding, dar od Marjorie Finstead, ocieka alkoholem w „ciemnym i chłodnym miejscu” (zgodnie z jej instrukcjami, których udzielała z takim przejęciem, że nie miałem serca powiedzieć jej, że nie cierpimy tego paskudztwa).

Właśnie zakończyłem świąteczne zakupy. Zaszalałem i kupiłem Gregowi ekskluzywną gitarę. W wyborze pomagała mi Sue — znalezienie odpowiedniego instrumentu zajęło nam cały dzień. Jednak z prezentem dla Mii będę musiał wstrzymać się do Twojego przyjazdu. Jakie ja mam pojęcie o szykownych T-shirtach? Natomiast prezent dla Ciebie jest już prawie gotowy, nie mogę się doczekać Twojej reakcji. Ach, skarbie, to coś doskonałego, co powinnaś mieć od dawna.

Chciałem kupić Davinie nową książkę Austina Greya, ale u nas jest nie do dostania. Myślisz, że mogłabyś ją zdobyć? Nosi tytuł *Circle of Water* i została wydana przez jakieś wydawnictwo o nazwie Sweet Onion Press. A może poprosiłabyś Greya o autograf? Jego podpis miałby dla niej ogromną wartość. Dla Twojej matki nabyłem sześciopak beaujolais, prezent niezbyt oryginalny, ale za to skierowany do właściwego odbiorcy, jak mawiają w świecie biznesu, natomiast dla mojej mam szlafrok (który ona będzie oczywiście nazywać podomką), odpowiednio puszysty i w nieokreślonym odcieniu różu. Gilowi Groganowi sprezentuję *The Diefenbaker Years* — schodziłem za tą książką nogi.

Będziesz zdumiona, słysząc, że moje stosunki z Gilem wróciły do normy. W tej chwili nasz spór, cze-
gokolwiek tam, do licha, dotyczył, wydaje się z grubsza załagodzony. Dzisiaj z samego rana przez otwór na
pocztę wsunął się niepozorny liścik. Byłem świadkiem tego „wtargnięcia”, bo akurat szedłem po gazetę. Mała
biała kartka w małej białej kopercie, taka sama jak jedno z nieśmiertelnych zaproszeń Twojej mamy. I tekst:
„Czy miałbyś ochotę zjeść dziś ze mną lunch w Vancouver Club? O 12.15. Gil Grogan”.

Znasz moje zdanie na temat Vancouver Club, podobnie jak ja znam Twoje, lecz Gil nie dał mi wyboru,
nigdzie nie było adnotacji R.S.V.P. Ten dinozaur po prostu z góry założył, że połakomię się na darmowy posi-
łek.

O 11.45 stanąłem przy oknie w salonie, patrząc, jak wycofuje auto z podjazdu. O 11.46 wyjechałem ja,
siedząc mu na ogonie przez całą drogę do mostu Lions Gate. Czy pomachał do mnie wesoło na dzień dobry?
Skądże znowu. Ja też go nie pozdrowiłem. Wlekliśmy się w południowych korkach jak żywe trupy. Przepra-
wiwszy się przez most, jechałem za nim przez Stanley Park (teraz ponury i pobrązowiały, z pokrytymi kurzem
krzewami, poszarpanymi gałęziami drzew) i dalej wzdłuż Georgia. Nawet skręciłem za nim na parking i staną-
łem obok jego wywoskowanego zabytku. Równocześnie otworzyliśmy, a następnie zatrzasnęliśmy drzwi sa-
mochodów.

— No proszę — powiedział Gil, jakby zaskoczony moim widokiem. — Jak się miewasz?

— Nieźle — odparłem, unikając jego przebiegłego spojrzenia.

Zarezerwował dwuosobowy stolik przy kominku. Pierwsze martini weszło tak szybko, że ledwie to za-
uważyłem.

Rozmawialiśmy o pogodzie, o Tobie oraz o tym, jak Ci idzie z francuskim. (Nie posiadał się ze zdu-
mienia, że będziesz się uczyć francuskiego. Dla ścisłości: zdumienia pełnego dezaprobaty). Dyskutowaliśmy
najpierw na temat Brytyjczyków, a potem Kanadyjczyków. Poinformował mnie, że warto teraz inwestować w
bony skarbowe. Zjedliśmy kawał cielęciny w śmietanie, poprawiając deserem z truskawek. Butelka dobrego
wina gładko spłynęła do żołądka. Kelnerzy poruszali się bezszelestnie i byli usłużni. Opowiedziałem Gilowi o
moim kursie kreatywnego pisania i zapytałem, czy zna poezję Austina Greya.

— Kogo? — warknął uprzejmie.

Wspomniał o córce w San Francisco, która jednak nie przyjedzie na święta. Napomknął też coś o swoim
woreczku żółciowym i, dopomóż nam Boże, prostacie. Ja mówiłem o pracy u Sandersona i możliwości stałego
zatrudnienia, gdy poprawi się sytuacja gospodarcza.

— Hmm — mruknął i na tym urwał się temat polityki.

Przytoczył niezgorszą anegdotę o Clintonie i Jelcynie — musi Ci ją opowiedzieć podczas świąt (zapro-
siłem go na kolację), a potem podpisał rachunek. Wyszliśmy na parking, uścisnęliśmy sobie dłonie i zrobiliśmy
powtórkę poprzedniej podróży, tyle że tym razem to on jechał za mną. Kilka minut temu machnął do mnie
przyjaźnie ze swego okna, a ja pokiwałem mu w odpowiedzi. Wszystko to wyglądało dość surrealistycznie i
komicznie.

Jedną z najbardziej frustrujących rzeczy w tej przeklętej rozłące jest fakt, że nie mogę natychmiast zre-
lacionować Ci tego, co się dzieje. Co robią ze swoimi spostrzeżeniami ludzie, którzy są w prawdziwej separacji

— puszczają je w niepamięć? Bagatelizują? Duszą na kolację? Mój Boże, potrzebna mi żona i żadne zastępstwo nie wchodzi tu w rachubę.

Spiesz do domu, nienasycona, a ja ustroję Cię ostrokrzewem lub czymkolwiek innym, czego tylko zapragniesz.

Twój Chas

21 grudnia

Joyeux Noël!!! Kochani, nie mogę się już doczekać!

Mama

Old Town Lane 4 Ottawa, Ontario niedziela, 5 stycznia

Drogi Chas,

wciąż jeszcze jestem tak rozżalona, że nie wiem, czy zdołam dokończyć ten list, ale ponieważ to już moje piąte podejście, wyślę go, choćby się waliło i paliło. Wiem, pewnie należałoby powiedzieć „przepraszam”, a jednak nie potrafię zdobyć się na tak proste słowa, skoro prawda jest o wiele bardziej złożona.

Oczywiście przepraszam za swoje zachowanie, za ten wybuch płaczu we własnym domu, którego każdy zakamarek tylekroć czyściliśmy, szorowaliśmy, malowaliśmy i ukocharaliśmy i którego wewnątrz odzwierciedla nasze dusze równie wiernie jak noszone przez nas ubrania, kolor szminki... nie mogę dalej.

Wchodzisz do miejsca, za którym tęskniłeś każdego dnia przez cztery bite miesiące i stwierdzasz, że ono gdzieś znikło, skryte pod bałaganem o wymiarach dwa na cztery i płachtami plastikowej folii, która ledwie zabezpiecza przed podmuchami porywistego wiatru — Chryste, Chas, też byś się rozplakał, gdybyś nie ty sam był twórcą-burzycelem. Przepraszam.

Nadal nie potrafię o tym mówić, bo od razu mam ochotę wejść w śnieżną zaspę na moim balkonie i cisnąć naczyniami w zamrożone pustkowie.

Mój Boże, musiałeś harować dzień i noc, dlatego zmagam się też z potężnym poczuciem winy, które nieustannie kusi mnie, by Ci powiedzieć: „Nie bierz sobie tego do serca”. Z pewnością miałam zbyt rozstrojone nerwy po okresie gorączkowej pracy, którą chcieliśmy skończyć przed przerwą świąteczną. Pragnęłabym móc Cię pocieszyć i stwierdzić, że kiedy już przyzwyczaiłam się do zmian, bardzo mi się spodobały, i że na pewno masz rację, wcale nie musisz pytać mnie o zdanie, wyburzając ściany — ostatecznie jesteś architektem, specjalistą, który ma prawo narzucać swoją wizję ignorantom.

Ale nie mogę. Nie umiem być tak nieszczerą, wcale tak nie czuję. Zapewne problem siedzi gdzieś we mnie i sama powinnam się z nim uporać. Nie, to także nieprawda. To również Twój problem. Musimy go rozwiązać oboje.

Nie ma małżeństw, które nie przechodzą okresów napięć. Sądzę, że mieliśmy niewiarygodne szczęście, przeżywając dotąd tak niewiele kryzysów. Może właśnie dlatego dziwię się bardziej niż powinnam, że ten incydent mógł wznieść między nami taki mur, że przez całe dziesięć nocy nie byliśmy w stanie nawet się kochać. Coś takiego przytrafia się wyłącznie innym, tak myślałam.

Gniew nie przestawał mnie zaskakiwać. Wzbierał we mnie i opanowywał mój umysł, sprawiając, że mój język nabrzmiewał od oskarżycielskich słów, aż wreszcie wybuchałam i kipiałam ze złości. Nie potrafiłam

nad sobą zapanować — kiedy objąłeś mnie ramieniem, moją jedyną reakcją była lodowata sztywność. Nigdy dotąd nie doznałam gniewu, który mnie przerastał — przynajmniej od bardzo dawna, od frustrujących czasów kojców i pieluch. Staralam się go ukryć, stłumić, poskromić niechęć, miałam wrażenie, że wskoczyłam do łóżka, demonstrując dostateczny entuzjazm, udając głęboką namiętność, chyba jednak odgrywanie tej komedii nie wyszło mi najlepiej. Potem, kiedy nie zdołałeś stanąć na wysokości zadania (to nie jest śmieszne, wiem), przeżyłam najpierw szok, po chwili zaś poczułam świeży przyptyk furii. Wydawało mi się, że ogromny, mglisty, czerwony obłok, przypominający zdjęcia powierzchni Marsa przekazane na ziemię przez „Voyageura”, unosi się tuż nad łóżkiem w postaci gigantycznej kuli, po czym zstępuje powoli i bierze we władanie mój umysł, komórka po komórce. Wtedy właśnie zaczęłam Cię oskarżać i wypaliłam, że podobno impotencja jest niezawodną oznaką niewierności, no więc z kim to zrobiłeś? Z Sue? Z Daviną? Z szacowną Marjorie? Nie winię Cię za odwrócenie się do mnie tyłem.

W głębi serca wiem, że bardzo Cię kocham, lecz wszystko spowija i dusi marsjańska mgła, blokując dostęp do tych myśli, które są zdominowane przez miłość i troskę o drugiego człowieka.

Moglibyśmy nad tym popracować?

Jock

PS: Skąd się wzięły pieniądze na tę rozbudowę? Przecież, jak powiedziała Mia, jesteśmy biedni, choć to głupie uczucie. Jaka rządowa pożyczka? Wziąwszy pod uwagę obecny klimat polityczny, moja praca potrwa pewnie tylko do maja lub czerwca. Czasem — zwłaszcza od kiedy dołączył George — i tak zastanawiam się, czy naprawdę jestem im potrzebna.

Sweet Cedar Drive 29

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

5 stycznia

Droga Jock,

codziennie wstaję i powtarzam sobie: dzisiaj muszę usiąść i napisać list do mojej żony Jocelyn w Ottawie. I codziennie to odkładam. Nie dlatego, że nie rozważyłem, co chcę przekazać. Pisałem ten list w myślach dziesięć, dwadzieścia razy, głównie w środku nocy, gdy nafaszerowany Maaloxem Plus spoglądałem w lustro i dochodziłem do wniosku, że ten Twój wyjazd do Ottawy był przerażającą pomyłką. Jezu! Jakąż byliśmy parą głupców, skoro tak ochoczo uznaliśmy pracę w Komisji za „okazję”. Na Boga, co myśmy sobie wyobrażali?

Co mnie zżera — i to dosłownie, patrz: wzmianka o Maaloksie — to świadomość, że poświęciliśmy nasze spokojne, stosunkowo szczęśliwe życie małżeńskie i rodzinne dla głupich pieniędzy. Mam rację? Czy nie tak właśnie postąpiliśmy? Mogliśmy przecież wstrzymać się z decyzją odrobinę dłużej. Perspektywy pracy u Sandersona otworzyły się zaledwie kilka tygodni po tym, jak wyruszyłeś na wschód po bogactwo i chwałę, a teraz jest już niemal pewne, że od wiosny zatrudnią mnie na stałe. Mogliśmy również uderzyć do Twojej mamy z prośbą o pożyczkę. Sama często to proponowała, prawdę mówiąc, na tyle często, że widzę, jak te słowa cisną się jej na usta, gdy skręca na nasz podjazd z kolejną pożywną zapiekanką dla naszej trzyosobowej grupki. Oto, co wypala dziurę w ścianie mojego żołądka, kochanie — wściekłe przeświadczenie, że daliśmy sobie radę.

Jestem zagubiony w tym samym stopniu, co rozjuszony i zasmucony. Kim właściwie była ta sroga kobieta, która wkroczyła tu majestatycznie w przeddzień Bożego Narodzenia i tak głośno wrzasnęła „*Mon Dieu!*”, że biedny kot o mało nie pogubił nóg, uciekając w popłochu. I która przed własnym mężem oraz dwójką zakłopotanych, milczących dzieci krzyczała nieprzerwanie przez dziesięć minut o gwałcie zadanym jej domowi, o profanacji i skandalu.

Dziwne, ale przez wszystkie te lata trwałem w przekonaniu, że jest to również mój dom, nasz dom, trochę nijaki, skromnie zbudowany własny kąt, który wybraliśmy wspólnie w ramach kompromisu, ponieważ: 1) na nic innego nie było nas stać, 2) pachniał drewnem cedrowym i roztaczał się z niego wspaniały widok, 3) stwarzał doskonale możliwości ulepszeń, które wprowadzimy kiedyś, kiedy będziemy dysponować czasem i pieniędzmi. Weranda — powtórzyłaś to w mojej obecności przynajmniej ze sto razy — przekształci to miejsce w istny raj. Wyobrażałaś tam sobie mnóstwo tropikalnych roślin, drzewko figowe w glinianej donicy, ptaka śpiewającego w bambusowej klatce. Właśnie tutaj — mówiłaś to tak wiele razy, że aż straciłem rachubę — na tej werandzie będziesz piła poranną kawę, czytała gazetę i odnajdywała prawdziwy spokój.

Przez wszystkie dni (i noc), które stawiłem nad remontem, od czasu do czasu przerywałem pracę, podnosiłem wzrok i oczami wyobraźni widziałem, jak przekraczasz w święta próg domu. I masz przed sobą to, o czym tak często mówiłaś i marzyłaś. Wyobrażałem sobie Twoje zaskoczenie, Twoją rozjaśnioną twarz, okrzyk zachwytu. W moich fantazjach nie przewidziałem w ogóle tego dzikiego pisku „*Mon Dieu!*”, a następnie dziesięciodniowej nagonki na mój zdrowy rozsądek.

Może powinienem był (ech, musztarda po obiedzie) zapytać Cię o zdanie — Twoja matka bez przerwy wierciła mi o to dziurę w brzuchu. Ale co by to była za niespodzianka? Chryste, kiedy człowiek osiąga mój wiek, nie może już liczyć na wiele niespodzianek, a jakże ich potrzebuje. Przynajmniej ja odczuwam taką potrzebę. Ty najwyraźniej pragniesz, by każdy nóż i widelec leżał na swoim uświęconym miejscu, a przy okazji, żeby i stary mąż siedział tam, gdzie powinien. (W bambusowej klatce?) A świetlik w kuchni? Czyż nie mówiliśmy zawsze, że trzeba coś wykombinować, by wpuścić więcej światła do części jadalnianej? Może wymyśliłem sobie czasy, kiedy siedzieliśmy razem, kartkując „*Architectural Digest*”, i kiwaliśmy głowami: tak, świetlik, to jest to. A może byłem wtedy z zupełnie inną kobietą. Co zrobiły z nami te ostatnie cztery miesiące?

Wiem, że oboje dorastaliśmy w dość osobliwym okresie, kiedy rozmowy na temat cen prezentów gwiazdkowych uchodziły za brak ogłady, widziałem jednak, że dręczy Cię myśl, ile kosztowała weranda. Gdy Twoja mama mruknęła do tego pod nosem: „Lepiej byłoby się wstrzymać”, zrozumiałem, że jej zdaniem rozrzutnie wydałem pieniądze w najmniej odpowiednim momencie. Pozwól więc, że zerwę z tradycją, i zdradzę Ci, iż wszystkie okna zdobyłem na złomowisku w Burnaby. Trzy duże, trójkątne pochodzą z baru szybkiej obsługi przy Lonsdale, który zbankrutował, prostokątne ze spalonego domu obok uniwersytetu, a mały fragment witrażu z kościoła (cztery dolce). Cała sztuka polegała na zaprojektowaniu konstrukcji z dostępnych materiałów i chyba nawet Ty będziesz zmuszona przyznać, że koncepcja jest wyjątkowa. Teraz, kiedy szyby są już wstawione (od wczoraj), widok wręcz zapiera dech w piersiach: Świetlik również jest z odzysku — ktoś go zamówił, a potem się rozmyślił — i dostałem go prawie za darmo. Musiałem zaciągnąć niewielki kredyt remontowy na resztę materiałów, bardzo nisko oprocentowany, no a robocizna stanowi jakby darowiznę. Darowiznę? Czy to właściwe określenie? Pod pióro cisną mi się słowa: praca wykonana z zamiłowania.

Przyznaję, że przez całe święta w domu panował absurdalny ziąb, uważam jednak, że obarczanie mnie odpowiedzialnością za złą pogodę było z Twojej strony odrobinę bezzasadne. Miałem nadzieję zdążyć z całym remontem na Gwiazdkę, już to tłumaczyłem, ale potrzebowałem specjalnego uszczelnacza do okien, który raptem, z jakichś niewyjaśnionych powodów, stał się nieosiągalny na zachód od Gór Skalistych. Sądzę również, że Gil Grogan okazał wyjątkową życzliwość, proponując nam swój przenośny piecyk elektryczny, i pewnie poczuł się dotknięty i zbity z tropu Twoim *ça ne fait rien*. Ma w sobie trochę ze starego kozła, ale ten nie-szczęśnik jest samotny, a teraz nękają go w dodatku kłopoty z prostatą. Jezu, patrzę czasem na Gila i myślę: czy trudzimy się przez całe życie po to, żeby tak skończyć?

Nie jestem jeszcze gotów na życie odarte z wszelkich złudzeń, dlatego chciałbym, żeby ten list był jak najbardziej szczery. Trudno jednak pogodzić prawdomówność z kurtuazją. Szkoda, że nie mieliśmy więcej czasu na rozmowę, kiedy byłaś w domu... Jestem zdania, że incydent z seksem (czy raczej brakiem seksu), jaki miał miejsce podczas świąt, wywołał w nas obojgu napięcie i frustrację, które wykluczyły możliwość przeanalizowania tego, co się naprawdę dzieje.

Cóż więcej mogę dodać? Czy można wszystko zwalić na gorzkie rozczarowanie w związku z werandą? Czy bałem się iść do łóżka z kobietą, która stanęła twarzą w twarz z Haną Gartner w programie telewizyjnym o ogólnokrajowym zasięgu? Czy może była to trema pierwszego razu, która towarzyszy uprawianiu miłości z nieznaną?

W pewnym sensie byłaś kimś obcym. Szczuplejsza, jakby bardziej niecierpliwa, z nowymi wymaganiami. W rezultacie czułem się ślamazarny, niezdarny i przytłoczony. Mam nadzieję, że nie wałkuję przesadnie tego tematu, ale Sue twierdzi, że najlepiej przedyskutować problem na gorąco. Oczywiście takie rozmowy nigdy nie szły nam zbyt dobrze i nic dziwnego, wzięwszy pod uwagę, z jakich rodzin pochodzimy. Wyobrażasz sobie moich rodziców otwarcie rozprawiających o swych seksualnych nieporozumieniach? Jestem pewien, że ich nocne zmagania nie zostały nigdy przełożone na słowa. A co do Twojej matki...

Już nowy rok. Ciągłe nie mogę przyzwyczaić się do tego faktu i nie mam pojęcia, co ten rok ze sobą przyniesie. Oto jestem na półmetku życia, w na pół rozebranym domu. Mam pół etatu i, przynajmniej chwilowo, połowę żony. Czy to dziwne, że czuję się odrzucony? Nieustannie wypatruję poczty w nadziei na list od Ciebie, w którym będzie jakaś wzmianka o przyszłości, jakieś słowa pokrzepienia.

Pisz, skarbie, zróbmy wszystko, by ta nasza łajba nie zatoneła. (To stara, dobra łajba).

Całuję Chas

PS: Greg postanowił w końcu zwrócić gitarę. Chwała Bogu, że zdołałem odnaleźć paragon. Jak Ci wiadomo, Mia oddała swój T-shirt. W zamian kupiła inny, w stylu punk, bez wykończenia pod szyją i pachami.

Old Town Lane 4 Ottawa, Ontario 7 stycznia

Drogi Chas,

nasze listy się rozminęły — czy to, że napisaliśmy je tego samego dnia, coś znaczy? Jak myślisz? W każdym razie cieszę się, że tak się stało. Artykuł z sobotnio-niedzielnego „Journal” zatytułowany „Czy tworzyacie zgrany związek?” radzi obu stronom po sprzeczce dokładnie wyłuszczyć swe prawdziwe emocje. A więc, jak z pewnością powiedziałyby Davina, odkryjmy karty.

Logika Twojej wypowiedzi na temat powodów, dla których kupiliśmy dom, jest oczywiście niepodważalna. Podobnie jak Twojego rozumowania w ogóle. Jessica twierdzi, że mężczyźni zawsze przytłaczali kobiety swoją logiką, ale z czegoś, co miało służyć za narzędzie, uczynili bożka i w ich oczach każdy, kto nie wyznaje kartezjańskiej zasady przejrzystości myśli, jest albo durniem, albo kobietą. Nie posunęłabym się aż tak daleko, ale tkwi w tym ziarno prawdy.

Logicznie rzecz ujmując, wybraliśmy ten dom, ponieważ nie było nas stać na lepszy, jednak — odłożywszy logikę na bok — mieszkaliśmy w nim, głównie ja, dzień i noc przez piętnaście lat i to ja nauczyłam się o niego dbać. Czy można się dziwić, że zaczęłam go traktować bardziej jak moją niż Twoją własność? (Pamiętaj, posiadanie to dziewięć dziesiątych prawa). Nie, nie żądam, by każdy nóż i widelec spoczywały na swoim świętym miejscu, ani nie domagam się tego od męża — to był niewybredny docinek — ale... zresztą, jaki to ma sens. Nie potrafię wytłumaczyć czegoś, czego nie rozumiem.

Być może porozmawialibyśmy o tym jak rozumne istoty, którymi, jak mi się kiedyś wydawało, jesteśmy, gdyby nie świąteczny obiad. I gdyby nie mama. Tylko dołała oliwy do ognia, nie sądzisz? Oczywiście natychmiast dostrzegła moją ponurą minę, ale o mało jej nie zabiłam, kiedy wparowała ze słowami: „A nie mówiłam, Charles? Przestrzegałam: nie rób tego bez pytania Jocelyn o zdanie. Ona zawsze miała zdecydowany charakter i jeśli coś nie było dokładnie po jej myśli, nigdy nie dawała za wygraną”. A potem ta jej parszywa uwaga na stronie: „Inne kobiety byłyby w siódmym niebie, mając męża, który tak bardzo się stara, że nie wspomnę już o przejęciu domowych obowiązków i umożliwieniu żonie robienia kariery”. Gdyby nie obecność Gila i Twojej „panny służącej” (z *enfant terrible*), wygarnęłabym jej... a właściwie nie wiem, co bym powiedziała.

No dobrze. Teraz kolej na Sue. Chyba jak dotąd nie udało się nam ustalić, dlaczego ją zaprosiłeś. Otwierając drzwi w pierwszy dzień Bożego Narodzenia, z pewnością nie byłam przygotowana ujrzeć w progu chudego rudzielca, do tego w dżinsach, który wyglądał bardziej na nastolatkę niż kobietę. I jeszcze sześćioletniego berbecia, którego ciągnęła za rękę. Kiedy powiedziała: „Cześć, jestem Sue”, musiała dostrzec na mej twarzy wyraz osłupienia. „No wiesz, sprzątaczką”, dodała, a ja zdobyłam się wtedy na uśmiech. Jedyny tego dnia, o ile pamiętam.

Z perspektywy czasu widzę, że mocno się zmieszala, lecz ja nie byłam skora do okazywania wyrozumiałości.

„Chas zaprosił mnie na obiad — wyjaśniła. — Mam nadzieję, że nie zapomniał cię powiadomić?”

Nie mogłam jej powiedzieć, że prawie się do siebie nie odzywamy, wymamrotałam więc coś pod nosem i zaprosiłam ją do środka. Teraz, kiedy wyrzuciłam z siebie to wszystko, czuję się naprawdę obrzydliwie. Zachowałam się jak ostatnia sekutnica — trudno jednak być taktownym w obliczu wpełzającej w każdy zakamarek ciała hipotermii. Cholerny piec!

Pocziwa, stareńka mama! Zawsze musi pakować się tam, gdzie panuje napięta atmosfera. Sądziłam, że zmorzą ją alkoholowe opary ohydneho puddingu Finsteadów i zastanawiałam się nawet, czy nie zrezygnować z podania sosu brandy do przyrządzonego przez nią deseru. A kiedy Twoja mama poprosiła: „Jocelyn, moja droga, opowiedz mi o Halifaksie”, miałam ochotę cisnąć w nią ziemniaczanym purée. Pohamowałam się tylko ze względu na Mię i Grega.

Tymczasem Mia wcale nie doceniła mojej powściągliwości. Zdawało się, że jedyne, o czym myśli, to wizyta Finsteadów, którzy a nuż wpadną nieco wcześniej na ajerkoniak, tak serdecznie ich zapraszałeś, czy nie moglibyśmy więc, z łaski swojej, dołożyć drewna do kominka? Jak gdyby marny kominek mógł przewyciężyć podmuchy wiatru znad oceanu wdzierające się do środka przez dziurę po ścianie w jadalni, odświetnione zakrytą grubą folią, oraz temperaturę powietrza poniżej zera.

Sue wychodziła ze skóry, oddając jej sprawiedliwość. Była rzeczywiście zainteresowana i zorientowana w działalności Komisji. Ma również dużą wiedzę na temat problemów, z jakimi kobiety borykają się w pracy. Weźmy choćby jej własny przypadek, musi zarabiać sprzątaniami, żeby kontynuować studia. Opowiedziała mi o kursach, na jakie uczęszcza do Simona Frasera. W innych okolicznościach na pewno bym ją polubiła, jednak w tamtej chwili każdego podejrzewałam o to, że jest współsprawcą i poplecznikiem projektu Wielkiego Remontu. Przyznaję, miło z jej strony, że zaproponowała mi pomoc w sprzątnięciu ze stołu, i niezbyt miło z mojej, że odmówiłam, chociaż przypuszczam, że częściowo kierowała nią (podobnie jak mną) chęć ucieczki przed Marjorie Finstead, wyelegantowanej w jedwabną bluzkę i spódnicę. (Komplecik musiał kosztować fortunę).

Wyraźnie widać, że Marjorie nie jest w typie Sue, tak samo jak nie jest w moim. „Och, mam nadzieję, że urządzisz pokój Mii w stylu Laury Ashley. Laurie ma takiego bzika na punkcie swojego pokoju, że spędza w nim każdą wolną chwilę”.

Na czym dokładnie polega styl Laury Ashley? Czy dlatego Mia i Laurie błagały, by puścić je do Finsteadów tuż po obiedzie? Czy chciały po prostu odtajać? A co do mężulka — Gusa — najwyraźniej uważa Boże Narodzenie za niefortunną komercyjną przerwę w rozgrywkach hokejowych.

Nie wiem, dlaczego Marjorie Finstead doprowadza mnie do takiego szału. Wedle artykułu w „Journal” przypisujemy innym te słabości, których najbardziej nie lubimy w sobie — lepiej o tym nie myśleć.

Brawo dla Grega — przynajmniej on ścierpiął obiad do samego końca, starał się nawet być towarzyski i bawił się z tym małym potworem Sue. No dobrze, dobrze, jestem niesprawiedliwa, dziewczynka ma dopiero sześć lat, a w święta nawet najgrzeczniejsze pociechy stają się marudne i niesforne. Na pewno niełatwo samotnie wychowywać dziecko. Ostatnimi czasy sam dowiedziałeś się o tym co nieco. Musicie mieć z Sue wiele wspólnych tematów.

Poobiednia nasiadówka w wyziębionym salonie z lodowatym ajerkoniakiem i błyskawicznie stygnącą kawą zapisze się w mojej prywatnej historii jako jeden z najgorszych momentów współczesnych czasów. Schludnie ułożone sterty materiałów budowlanych w miejscu, gdzie niegdyś stała ściana między salonem a jadalnią, ogłuszający łomot plastiku zakrywającego wyrwę po dawnej ścianie przy każdym podmuchu wiatru, który usiłował wtargnąć do wnętrza, bezchmurny wieczór z księżycem skrzącym się na powierzchni odległego oceanu (ten widok powinien poprawić mi nastrój po bezbarwnej monotonii Ottawy, ale tak się nie stało), zwariowana mieszanka ludzi — Gus Finstead przynudzający bez końca o Kanadyjczykach, Marjorie bełkotliwie zachłystująca się stylem Laury Ashley, milcząca Sue z ponurym wyrazem twarzy, wyjące dziecko, Mia i Laurie porozumiewające się przy pomocy historycznych, tłumionych chichotów, Greg usiłujący rozmawiać ze mną o mojej pracy oraz oddźwięku, jaki mają składane u nas raporty, Ty robiący dobrą minę do złej gry (nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jesteś roztrzęsiony, aż do chwili, gdy udawaliśmy się na spoczynek) i zrywający się z miejsca co pięć minut, żeby dorzucić do ognia kolejny kawałek naszego lasu, mama odmawiająca ajerko-

niaku, osuszająca za to świąteczną butelkę Bristol Cream, Twoja mama dzieląca się od czasu do czasu swymi wnikliwymi spostrzeżeniami („Moja droga, po wybuchu port w Halifaksie już nigdy nie był taki jak dawniej, prawda?”) i wreszcie Gil Grogan wygłaszający wykład na temat konieczności wtłoczenia odrobiny zdrowego rozsądku do głów związkowców zanim prowincja zejdzie na psy, w trakcie którego Sue podskakiwała co chwila jak żądłona przez osę, lecz z szacunku dla pani domu obnoszącej swą zawziętą minę (czyli do mnie) kontrolowała każdą swoją ripostę. Włóżmy ten dzień do kroniki świąt, które oby nigdy się nie powtórzyły, i spróbujmy puścić w niepamięć cały ten żalorny ambaras. Na domiar złego zdążyłam już zapomnieć, co to za cholerna mordęga gotować i sprzątać po posiłku, zwłaszcza w kłębowisku koziołków do piłowania drewna i odłączonych rur.

Aha, a do tego Gil Grogan, który zawział się, by dukać francuskie napisy z pudełka płatków śniadaniowych. Wybaczyłam córeczce Sue wszystkie przewinienia, gdy powiedziała:

„*Oh Monsieur Grogan, est-ce que tu ne peux pas lire le français?*”. Roześmiałam się tylko ja, a potem nie mogłam oczywiście tego przetłumaczyć, ponieważ wprawiłabym Gila w zakłopotanie. Dobrze, że były Sue posłał dziecko na francuski.

8 stycznia

Przeczytałam właśnie cały list od początku i zdałam sobie sprawę, że przesadziłam. Za co przepraszam. Przepraszam również za oschłość wobec Sue. Wdałyśmy się w pogawędkę o trudnościach, jakie napotyka, chodząc do college'u i próbując wiązać koniec z końcem, ale wtedy właśnie wtrąciła się Marjorie Finstead z kretynską uwagą, jak przystojnie wyglądasz pogrążony w zadumie przy kominku z wyrazem melancholii na twarzy, niemal jak Leonard Cohen. Sue przytaknęła: „Jasne, jeśli się w takich gustuje...” W normalnej sytuacji rozbawiłoby mnie to, jednak tym razem wzbudziło zazdrość. (Pewnie między innymi, dlatego, że czuję się rozgoryczona i zła, ponieważ ona bywa częściej w moim własnym domu niż ja). Potem Sue spojrzała na Grega i oznajmiła, że będzie podobny do swego ojca jak dwie krople wody.

„Och, my zawsze używamy określenia wykapany ojciec”, dodała Marjorie i roześmiała się na całe gardło.

Skoro jesteśmy przy Gregu, jak sądzisz, gdzie on się, do licha, podziewał w Wigilię? Jeszcze nie spałam — niezdolna do płaczu, dziewicza i wściekła — gdy przyszedł o drugiej w nocy.

No cóż, jak to mama mamrocze do kieliszka nieskończoną ilość razy, nieszczęścia zawsze chodzą parami i wszystko, co może się zawalić, wali się w tym samym czasie. (Ta kobieta miała kiedyś głowę nie od parady, same piątki w Queens. Znalazłam jej świadectwa na dnie starego kufra — to jakiś znak?) I nie myliła się: poszło źle wszystko, co tylko mogło. Nagłe, niezwykle ochłodzenie — pogoda była co prawda piękna, niebo bezchmurne, ale my skorzystalibyśmy bardziej na cieplej plusze. Dwuznaczne komunikaty mojej mamy i niedopowiedzenia Twojej — czy to możliwe, że ona udaje? W którymś momencie, kiedy kręciła się bez celu w miejscu dawnej kuchni, włączając mi pod nogi, raptem odwróciła się do mnie ze słowami: „Mężczyźni po prostu nie rozumieją, co dla kobiety znaczy dom. Musisz mieć to na uwadze”. Prawie się rozplakałam, lecz zawadziłam zaraz o piecyk i upadłam, ona zaś uśmiechnęła się tajemniczo i ulotniła.

No, Chas, może wystarczy na temat świąt. Chyba wylałam już całą żółć i przyznaję, że jeśli przyjrzeć się im bliżej, niektóre z moich pretensji wydają się absurdalne. Mimo wszystko sędzę, że nasz związek jest na tyle ugruntowany — bo jest, prawda? — że możemy sobie pozwolić na odwrócenie kilku kamieni i zajrzenie, jakie paskudztwo kłębi się pod spodem. Prawdę mówiąc, zaskoczył mnie ton Twojego listu, z którego wynikało, iż ta krótka rozłąka wystawiła nasze małżeństwo na jakieś ryzyko. Kochany Chas, żyjemy osobno dopiero od czterech miesięcy. Podczas wojny mama i tato byli rozłączeni przez cztery lata! A jeśli korzenie naszego związku nie są aż tak mocne... no cóż...

Przede wszystkim musimy to przemyśleć. Wiem, przeżyłeś duże rozczarowanie, włożyłeś tyle trudu w przygotowanie niespodzianki, a ona mnie tylko rozsierdziła. Rozumiem. Nie rozumiem natomiast, jak mogłeś mieszkać ze mną przez dwadzieścia lat i nie wiedzieć, że kompletne wywrócenie kuchni do góry nogami, nie wspominając już o salonie i jadalni, bez jakiegokolwiek konsultacji ze mną, zrani mnie i zasmuci. Może jednak nie znamy się tak dobrze, jak myślałam.

A co do naszej decyzji, praca w Komisji — nie wiem, jak to powiedzieć, by Cię nie urazić — jest dla mnie najwspanialszym doświadczeniem w całym życiu. Za żadne skarby nie zrezygnowałabym z tych kilku ostatnich miesięcy, z rzeczy, których się nauczyłam, ludzi, których poznałam, ze zrozumienia istoty wielu problemów, ze zdobytej wiary w siebie. Pewnie faktycznie zmieniłam się, jak twierdzisz. Nie można przeżyć tak wiele w tak krótkim czasie i pozostać takim samym. Całą sobą chłonę nowe wrażenia. Cały czas działam na wysokich obrotach. Och, wiem, co ludzie mówią o komisjach rządowych. Że to marnotrawstwo publicznych pieniędzy, taktyka odkładania problemów na potem, jednak ta praca wydaje się czymś autentycznym, a ja, może po raz pierwszy w życiu, czuję się na swoim miejscu, jak osoba, która ma do wykonania odpowiedzialne zadanie. Właśnie tak, czuję się na właściwym miejscu.

Faktycznie zmierzam do tego, by powiedzieć z pełną świadomością, że według mnie, powinieneś być równie podekscytowany moim odmienionym życiem, jak byłabym ja, gdyby rzecz dotyczyła Ciebie!

Pozdrawiam gorąco Jock

PS: George O'Reilly i jego żona zaprosili mnie wczoraj wieczorem na kolację. (Ani indonezyjska bawełna, ani gęsi puch. Imitacja czarnej skóry). Kiedy opowiedziałam im o remoncie domu (humorystycznie), Esther zareagowała z nieoczekiwaną furią, przez co poczułam się w pewnym stopniu usprawiedliwiona. Wspomniała, jak kiedyś podczas jej nieobecności George pomalował cały dom na jasny fiolet. „Do dziś mu nie wybaczyłam”, dodała.

Natomiast George rzekł jedynie: „Naharowałem się jak wół, ale nigdy więcej”.

PPS: Jak to? Sue mówi, że musimy to przedyskutować? Chyba jej nie powiedziałaś?

Sweet Cedar Drive 29

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

9 stycznia

Droga Jock,

przyznaję, popełniłem błąd, zapraszając Finsteadów. Ale odkąd wyjechałaś, byli krępująco mili dla Mii, zabierali ją ze sobą na wszystkie rodzinne wypadki dla zdrowia! (Czy i my nie jeździliśmy kiedyś na rodzinne

wycieczki? Kiedy to się urwało?) Poza tym chyba żal mi Marjorie Finstead. Zawsze sprawia wrażenie wykończonej nerwowo i tak zdesperowanej, jak zapewne byłbym i ja, gdybym poślubił kogoś obdarzonego osobowością tylnej ściany boiska do gry w piłkę ręczną. (Wyobraź sobie, zapytała mnie, jakie buty do biegania są moim zdaniem najlepsze). Ospała umysłowo i roztargniona Marjorie ma przynajmniej, na swój sposób, poukładane w głowie.

Głęboko wierzy w nienaruszalność rodziny i uważa, że stworzenie dla najbliższych „przyjemnego i atrakcyjnego azylu” to wielka odpowiedzialność. Niech mnie diabli, to rzeczywiście jest odpowiedzialność. Jak sama zauważyłaś, Mia uwielbia przesiadywać u Finsteadów, mogę więc jedynie przypuszczać, że potrzebuje bezpiecznego schronienia. Zazdrości Laurie Finstead łóżka z baldachimem, to jasne jak słońce. Ostatnio o nim czym innym nie mówi.

Dlaczego nie zrobiłem Mii w prezencie choinkowym łóżka z baldachimem zamiast... No, ale znowu zaczynam, a nie wiem, czy jestem w stanie.

Po wysłaniu ostatniego listu do Ciebie trząłem się jak galareta w obawie, że może zaprzepąciłem właśnie najlepszą część mego życia, czyli straciłem Ciebie. Co ja tam, do diabła, nawypisywałem? Nie mogę sobie przypomnieć, bo płonąłem wtedy z wściekłości. Byłem rozdrażniony. Rozkojarzony. Nieskoncentrowany, jak mogłaby powiedzieć Sue, i jak często mawia, na przykład: „Na razie nie zwracaj na mnie uwagi, nie jestem jeszcze całkiem skoncentrowana”.

Coś mi się zdaje, że to, co nabazgrałem, jest jednym wielkim mazgajstwem, defensywnym męskim wybuchem. Cóż mogę teraz powiedzieć na swoje usprawiedliwienie? Że, po pierwsze, byłem więcej niż trochę zrażony Twoim Nowym Wcieleniem, bo tak właśnie Cię postrzegałem. Po drugie, że czułem się jak kastrat, i to nie tylko w sensie metaforycznym. I, po trzecie, że wpadłem po uszy w stan głębokiego rozczarowania po kilku tygodniach nieustannej pracy nad remontem tego cholernego domu? Prawdopodobnie wchodzi w grę i po pierwsze, i po drugie, i po trzecie.

I coś jeszcze, choć waham się, czy o tym wspominać, ponieważ jak wiesz, nie wierzę w doszukiwanie się czegoś na siłę. Jestem jednak pewien, że dźwięczała mi w uszach rodzinna opowieść o wyjeździe taty do Halifaxu podczas wojny. Nie zwerbowano go do wojska, jak Ci wiadomo, był za stary, miał chyba trzydzieści dziewięć lat. Przez pierwsze dwa lata działań wojennych siedział biedak, kręcąc młynka palcami, aż wreszcie obudził się któregoś dnia rano, walnął pięścią w kuchenny stół i oświadczył mamie, że powziął zamiar wstąpienia do wojsk i basta, a mama może sobie wrzeszczeć, ile wlezie, jeśli ma ochotę. Wrzeszczała. Uważała, że tato ją opuścił. W pewnym sensie nosi w sobie ten krzyk do dziś.

Nie, kochanie, ja nie uważam, że zostałem porzucony, i jestem „podeksytowany odmienionym życiem”, jak to ujęłaś. Czy możesz jednak winić mnie za to, że trudno było mi się pozbierać, skoro sądziłem, że przeistoczyłaś się w kogoś, kogo ledwie poznaję i wcale nie jestem pewien, czy specjalnie lubię? (Mogę zaryzykować to zwierzenie? Tak. Sama mówiłaś, że musimy być wobec siebie szczerzy).

Dzisiaj przyszedł Twój list i od razu wiedziałem, że wszystko jest po staremu. Jesteś moją ukochaną Jock. Masz naturalnie rację. Korzenie naszego związku sięgają dostatecznie głęboko, by nimi od czasu do czasu potrząsnąć. Ale proszę, potrząsajmy delikatnie, przynajmniej przez wzgląd na mnie.

Owszem, rozmawiałem na ten temat z Sue Landis, ale powiedziałem jej oczywiście, że chodzi o naszych przyjaciół, którzy przechodzą kryzys. Sue uczęszcza na zajęcia ze stosunków rodzinnych do Simona Frasera. Twierdzi, że każda rozłąka stanowi ryzyko dla związku. Nieobecność jednej części składowej zmusza drugą do przystosowania się. Taka sytuacja albo pobudza do rozwoju, albo prowadzi do osłabienia więzi i wbrew temu, co zawsze mówiono nam o osobowości człowieka, ludzie poddani presji zmieniają się, i to bardzo gwałtownie. Nawet kilka miesięcy może spowodować metamorfozę.

Sue utrzymuje również, że po okresie separacji zaburzenia w życiu seksualnym są wręcz nieuniknione, ponieważ każda ze stron zabiera do łóżka swoje bolesne doświadczenia, które są jak blizny, i zarówno napawają dumą, jak i budzą lęk — jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Kiedy opowiadała o tym Sue, wszystko brzmiało absolutnie sensownie, jednak mnie właściwe przedstawienie istoty sprawy nie przychodzi tak łatwo. Może lepiej powrócę do przenośni z korzeniami i powiem coś o roślinach w doniczkach, które zaczynają przerastać i wymagają przesadzenia itd. Albo może powinienem po prostu się zamknąć.

Córka Sue — à propos, fakt posiadania przez Sue dziecka był dla mnie takim samym szokiem, jak dla Ciebie. Kiedy zapytałem ją wczoraj, dlaczego nigdy o tym nie wspomniała, odparła z lekkim rozdrażnieniem, że nie uważała tej informacji za istotną przy poszukiwaniu pracy. W każdym razie Molly mieszka ze swoim ojcem w jakiejś komunie na Vancouver Island, a z Sue spędza jedynie święta. Ciekaw jestem, co to za gość (ten ojciec). Sue mówi, że zajmuje się głównie przesiadywaniem na plaży, próbując przyswoić sobie mądrość, jaką niosą mu fale. Ona robiła to samo przez dwa lata, ale fale ciągle powtarzały to samo: „Oto przypląwam znowu i znowu, i znowu”, aż wreszcie postanowiła odnowić związki ze światem, jak się wyraziła. Nadal ma nadzieję na reaktywację Zespołu do walki z Przemocą wobec Dzieci, lecz póki co zdobywa wiedzę u Simona Frasera i sprząta domy, żeby zapłacić za naukę.

Idę na zakupy — lodówka jest doszczętnie ogołocona.

Pozdrawiam Chas

PS: Dołączam przedświąteczną cenzurkę Grega. Przy takich ocenach, jakie mam podstawy do narzekania na jego cowieczne wyjścia? Co ty o tym sądzisz?

PPS: Czy miałaś już okazję pokazać mój wiersz Austinowi Greyowi? Docenię wszelkie uwagi, nawet te negatywne.

PPPS: Gdzie się kupuje cekiny?

4 Old Town Lane Ottawa, Ontario 12 stycznia

Kochany Chas,

Bogu dzięki za te listy. Przeczytałam je raz i drugi i w wielką przestrzeń, którą ostatnio zajmowała złość, wyraźnie zaczęły się wkradać miłość i tęsknota. Może rzeczywiście polubię werandę. Kiedy będzie skończona? Prześlij mi zdjęcie.

Żadne z nas nie napomknęło o jednym aspekcie świąt, na który częściowo można zrzucić winę i który, niestety, może mieć trwałe skutki — mam na myśli katastrofalne odwiedziny u naszych wszystkich przyjaciół. (Dyskutowałeś już na ten temat z Sue? Czy ona studiuje psychoanalizę?) Tak jak podejrzewałam, znajomi zostawili nas sobie na święta, przez co mieliśmy zbyt mało czasu na uporządkowanie własnych spraw. Poza tym

nikt z nas nie był w nastroju do imprez towarzyskich co wieczór. Myślę, że oboje skutecznie psuliśmy im zabawę. Czy jeszcze kiedyś nas zaproszą?

Dziwne — choć trochę niepokojące — jest to, że spotkanie z nimi wcale mnie jakoś szczególnie nie ucieszyło, a przecież dawniej uwielbiałam chodzić na przyjęcia, zwłaszcza na sylwestrowe bale u Ticknowów. Byłam znudzona — rozmowa wydawała się przygnębiająco płytka i zaściankowa. Kolumbia Brytyjska nie jest pępkiem wszechświata, a wszystkie te pełne współczucia aluzje do ogromnego poświęcenia, jakim był mój wyjazd do Ottawy (jakby chodziło co najmniej o Syberię) wywołały we mnie poczucie wyobcowania. Życie w arkadii jest wspaniałe, ale trudno się dziwić, że reszta kraju uważa nas za lekkich szowinistów.

Udzielił mi się na nowo pośpiech, niemal panika, Vana. Van wie, że w ciągu kilku tygodni premier ogłosi wybory i musimy uwinąć się z robotą. Dlatego w sobotę wyjeżdżamy na Terytoria Północno-Zachodnie, dalej do Alberty i Saskatchewanu, a następnie na tydzień do Vancouveru. Powinniśmy tam być dwudziestego szóstego. Bardzo chciałabym wyprawić w sobotni wieczór imprezę dla członków Komisji, jeśli ma się rozumieć, dziury w domu zostały zatkane. Moglibyśmy skorzystać z cateringu, będę bowiem pracować przez cały tydzień i zabraknie mi czasu na przygotowania. I utniemy sobie pogawędkę — obiecuję, że nie wydam Ci się obca.

Myślę, że Twoja przenośnia o roślinach jest trafna. Przesadzenie to było właśnie to, czego potrzebowałam. W doniczce zaczęło robić się zbyt ciasno. Pamiętasz, jak Greg i Mia pałaszowali wszystko, co tylko wpadło im w ręce, kiedy wkraczali w okres intensywnego wzrostu? Odnoszę wrażenie, jak gdyby mnie przytrafiło się to samo, jakbym nabrała nienasyconego apetytu na wprowadzanie zmian w społecznym życiu kobiet, a to pozwala się rozwijać. Absolutnie nie sugeruję, że z czegoś wyrosłam. Myślę, mam nadzieję, że wystarczy miejsca na wszystko. Zaczynam się otwierać, już jestem gotowa zaakceptować werandę, a wkrótce może i kuchnię.

Przepraszam, że tym razem piszę tak krótko. Uradowały mnie stopnie Grega i zgadzam się, że trudno narzekać. Ale dokąd on, do diaska, wychodzi? Lepiej to wybadaj. Może jakiś dyskretny telefon do rodziców jego przyjaciół?

Całuję Jock

PS: Wierzysz, że Sue choćby przez minutę dała się zwieść Twoim opowieściom o przyjaciółkach, którzy przechodzą kryzys? Wolałabym, aby pozostało to *entre nous*.

PPS: Austin twierdzi, że mój gniew wywołany zmianami w domu wynika z tego, iż podświadomość przemawia symbolami, a dom może symbolizować jaźń. Podobno kiedy zaczynał pisać wiersze, śniło mu się, że odkrywa nowe, cudowne pokoje w domu, w którym mieszka od lat — ogromne okna od podłogi do sufitu, egzotyczne rośliny wijące się po ścianach i zwisające ze stropu — i w swoim śnie zdumiewał się, że nie obejrzał ich wcześniej. Ba, nie wiedział nawet o ich istnieniu. Interesujące (choć wprowadza zamęt w głowie).

PPPS: Jak byś się czuł, gdybym wymieniła Twój samochód na nowy, nie mówiąc Ci o tym ani słowa?

Sweet Cedar Drive 29

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

15 stycznia

Kochana Jock,

przed momentem przyszedł Twój list. Przeczytałem go trzykrotnie, za trzecim razem dostając erekcji wielkości... no, mniejsza o to, nie będę ustawiał się po stronie wrogich macho. Droga Jock, szczerze mówiąc, oczekiwanie na wiadomość od Ciebie było prawdziwym piekłem, z drugiej strony jednak jestem wdzięczny, że poczta w tym kraju działa tak cholernie opieszale. Dlaczego? Ponieważ potrzebowałem tych kilku dni, żeby zmięknąć, jak powiedziałby Greg. Albo żeby wylać z siebie całą żółć? (Przynajmniej, dzięki Bogu, nie po francusku).

Wczoraj Sue przyczyniła się do upiększenia werandy (tak, jest ukończona i wspaniała — jeśli wolno mi tak powiedzieć): przyniosła małe drzewko figowe, które wyhodowała z sadzonki i ma od pięciu lat. Gil podarował wspaniałą kolekcję miniaturowych geranium, Marjorie zaś pierzaste cudo przypominające palmę. Twoja mama ofiarowała dziwny ponadmetrowy kaktus z płaskimi, jakby nierealnymi kwiatami przytwierdzonymi do kolców, natomiast moja mama dała nam coś, co wygląda na powykręcaną peperomię. Mia podparła ją i pielęgnuje, by odzyskała formę. W sumie zrobiło się u nas prawie jak w tropikach i myślę, że przed końcem miesiąca doprowadzimy dom do całkowitego porządku, na przyjęcie dla członków Komisji. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że zmienisz swoje nastawienie, gdy ujrzysz ukończone, nowe wnętrza pokoju. Sue uważa, że to najładniejsza część domu i że, gdybyśmy mieli go sprzedawać, weranda przesądziłaby o transakcji.

Powinienem wyznać, że jest coś jeszcze, co wpędziło mnie w obecny stan „rozlazłości”, jak to określa Twoja matka. A raczej ktoś — Davina. Któregoś dnia opowiedziałem jej całą historię — bo niby dlaczego nie? Ty najwyraźniej zwierzasz się ze wszystkiego swojemu kumplowi Austinowi — a ona zaczęła jeździć na mnie jak na łysej kobyle.

„Ty durniu — rzekła. — Ty mule, ty idioto”.

Jedliśmy w kafeterii lunch przed zajęciami — Boże, ile ta kobieta wpycha w siebie skrobi: talerz frytek, dwie bułki z otrębami, a potem kawał szarlotki. Ponieważ nie widziała naszego domu ani przed remontem, ani potem, uznałem, że mogę zaufać jej bezstronności. Naświetliłem więc sytuację, poczynawszy od tego, jak to zawsze marzyłaś o werandzie i jak chciałem sprawić Ci niespodziankę. „Dosyć, dosyć”, krzyczała.

Oświadczyła, że powinno się mnie udusić, posiekać na drobne kawałki i rozrzucić na grobie Ezry Po-unda. Powiedziała, a raczej wyrzeszczała, że każdy, kto ośmieliłby się ruszyć u niej w mieszkaniu choćby jedną popielniczkę bez jej zgody, zostałby niezwłocznie usunięty z jej życia. Uznałaby to za czyn wywrotowy, akt wrogości. Kiedyś jej mąż — widać była niegdyś zameżna, raz na jakiś czas bowiem o tym napomyka — samowolnie zdjął z drzwi łazienki plakat z Woodstock i schował go. Dla Daviny było to najwyraźniej apogeum zdrady. Zbezczeszczenie czyjegoś domostwa jest niewybaczalne. (Sypie takimi przesadzonymi legalistycznymi zwrotami jak z rękawa, lecz brzmi to całkiem szczerze).

Co więcej, ciągnęła — a do tego czasu zdążyliśmy już skupić na sobie uwagę ludzi przy kilku innych stolikach — niespodzianki są okrucieństwem, gwałtem, włączając w to niespodziewane ujawnianie tajemnic, niespodziewane wizyty, a nade wszystko niespodziewane podarunki. Wszystkie te rzeczy zawsze są niewypa-

łem. Ludzka osobowość nie jest skonstruowana w taki sposób, by akceptować element zaskoczenia, który faktycznie jest formą ukrytej agresji. (Cytuję mniej więcej dosłownie).

Cóż, z całą odwagą, na jaką potrafiłem się zdobyć, argumentowałem za niespodziankami. (Starałem się szeptać w nadziei, że i ona pójdzie za moim przykładem). Niespodzianki — wyteżalem umysł w poszukiwaniu metafory, która by się jej spodobała — są pralinkami życia.

„Nadziwanymi arsenikiem”, odparła. Głośno.

Powiedziałem, że mam cholerną nadzieję, iż czeka mnie jeszcze kilka niespodzianek, no bo o co w końcu chodzi w tym nędznym życiu? (Zaniechałem szeptu. A ściśle mówiąc, przyłapałem się, jak kiedyś mój biedny tato, na waleniu pięścią w stół).

Jednak Davina (zabierająca się właśnie do szarlotki ze śmietaną) na tym nie poprzestała. Oto, co mówiła: kiedy ktoś wyraża życzenie posiadania czegoś, to niekoniecznie tego pragnie. Na przykład ona sama, poczuwszy kiedyś przyływ uczuć do kotków, oświadczyła swemu kochankowi, że marzy o kocie, a ten kretyń poszedł i kupił jej zwierzątko. Teraz ma to draństwo na głowie — kochanek wyjechał do Prince George — a ono (to znaczy kot) regularnie sika na jej dywanik do medytacji, tak więc każdego dnia, kiedy Davina wykonuje swoje ćwiczenia oddechowe, przypomina sobie o tamtym pochopnym wyznaniu.

„Ale to jest fantastycznie cudna weranda”, wyjaśniłem Davinie. „Pokaż mi ją”, odparła. Zatem po zajęciach przywiozłem ją do domu, żeby rzuciła okiem. Koniec końców została na kolacji — Mia usmażyła omlet z wędzonymi ostrygami. Potem Davina orzekła, że owszem, weranda jest rzeczywiście piękna, właściwie zapiera dech, lecz zbrodnicza inwazja terytorialnej wyklucza wdzięczność. „Chociaż osobiście — powiedziała, rozglądając się wokół błyszczącymi oczami — mogłabym tutaj wieść całkiem szczęśliwe życie”.

Podsunęła też ciekawy pomysł. Jej zdaniem zawieszenie tafli barwionego szkła przydałoby dramatyzmu temu miejscu. Ma dobrego przyjaciela, który robi witraże, i zaproponowała, że spyta go o radę. Moglibyśmy uzyskać coś w rodzaju efektu rozszczepienia światła, tak uważa. Nie wiem, dlaczego nie przyszło mi to do głowy. Musiało upłynąć wiele czasu, od kiedy projektowałem architekturę zwariowaną, zakreconą.

Chryste, właśnie przeczytałem ten list od początku i zauważyłem, że trzykrotnie użyłem słowa „cholerny”. Trudno dziwić się Twojemu wrażeniu, że jestem w cholernie wrednym nastroju — w którym byłem, zanim przyszedł Twój list. Chyba czuję się odrobinę zmęczony. Dziś wieczorem jest wywiadówka w szkole Grega, której z jakiegoś powodu się obawiam, a zanim tam pójde, muszę odebrać Mię z cholernego baletu — znowu choleruję — chcę też rozpocząć pracę nad nowym zadaniem domowym Daviny. Poprosiła nas o napisanie poematu prozą na przyszły tydzień. Co to takiego poemat prozą? — już słyszę Twoje pytanie z Ottawy. Otóż bierzysz wszystkie strofy wiersza i upychasz je w jeden akapit, Bóg wie po co. Zauważyłem, że Twój Austin Grey napisał kilka takich dziwolągów. À propos, czy pokazałaś mu mój wiersz o bezrobociu? Na dodatek muszę chodzić do pracy dwa razy w tygodniu, żeby podtrzymać strumień pocziwych zielonych wpływający do domowej kasy.

Gdy powiedziałem Gregowi, że pracuję nad nowym wierszem, spytał swoim najbardziej burkliwym tonem: „Po co?” Nie potrafiłem wykoncypować szybkiej odpowiedzi, zresztą po namyśle też nic nie przyszło mi do głowy. Rzeczywiście, po co? Czyżbym ostatnio trochę sfiksował? Przed pójściem spać codziennie wychy-

lam kieliszczyk Ala Purdy'ego. Wyobrażasz sobie reakcje Ticknowów albo Chapmanów, zwłaszcza Jima, na wiadomość, że ostatnimi czasy przesiaduję na tyłku i piszę wiersze? (Prawdziwi mężczyźni tego nie robią...).

Przy okazji, może zainteresuje Cię moja teoria, dlaczego Ticknowowie, Clarke'owie i cała reszta jakoś nie zasypywali mnie w tym roku zaproszeniami na kolacje. Ponieważ nie tworzę już, tak jak kiedyś, pary. Pary widują się jedynie z parami, na to wygląda. Single są w jakiś nieokreślony sposób groźni i mogą doprowadzić do braku równowagi sił, kiedy wszyscy odłączają się od swojego partnera i łączą, w nowe układy.

Z wolnymi jest spokój tylko wtedy, gdy obcuje z innymi wolnymi. Davina mówi, że to stara śpiewka, jej zameżne przyjaciółki i żonaci znajomi nigdy nie zapraszają jej na wieczór, mimo że ona od czasu do czasu lubi wybrać się na porządne, tradycyjne, domowe spotkanie. W każdym razie obdzwoniłem całą piekielną ferajnę — Ticknowów, Clarke'ów, Middletonów i Chapmanów — i zaprosiłem na wielki jubel pod koniec miesiąca. Pokażemy Twoim wschodnim wymoczkom, na czym polega zachodnia gościnność!

A teraz, Jock, pozwól, że zakończę ten list złożeniem Ci kilku uroczystych obietnic. Nigdy więcej żadnych niespodzianek, przysięgam. Daję Ci również słowo, że na przyjęcie dom będzie w doskonałym stanie. Wszystkie grubsze prace zostały już ukończone i pozostało jedynie sprzątnięcie. Sue ma egzamin w przeddzień przyjęcia, ale dzieciaki na pewno wezmą się do porządków. Podoba mi się Twój pomysł skorzystania z cateringu. Po przeprowadzeniu rekonesansu znalazłem wreszcie człowieka, który nie zedrze ze mnie skóry. Zatem nie denerwuj się, skarbie, to będzie pamiętne *soirée*.

Zawsze kochający Chas

PS: Odkryłem, że moje problemy żołądkowe są spowodowane przez *trop de soczewica*.

PPS: Zamienić mój samochód! Nie żartuj!

Yellowknife Terytoria Północno-Zachodnie

20 stycznia

Drogi Chas,

dostałam Twój list tuż przed naszym wyjazdem do Yellowknife. Nie chciałam go czytać, póki nie zostanę sama, a teraz oczywiście nie mogę zasnąć. Trochę sobie popłakałam, co przyniosło mi, prawdę mówiąc, ulgę. Zaczęłam się już lękać, że moje uczucia zamarły w niewzruszoną bryłę gniewu — swoją drogą wydarzyło się dzisiaj coś, co jakby zapoczątkowało proces oczyszczania umysłu jeszcze przed Twoim listem.

Przesłuchania w Yellowknife dzielą całe lata świetlne od tych, które organizujemy w Ottawie, gdzie zwykle spotykamy się w Sali Komitetu Kolejnictwa, a Van, Jessica i Austin siedzą oficjalnie za stołem, przeprowadzając rozmowy z grupami, które przedłożyły raporty, i wypytyując o podnoszone w nich kwestie. Ja zazwyczaj zajmuję miejsce na końcu stołu i wynotowuję szczegóły prawne, które mogą wymagać sprawdzenia, a jeśli zachodzi taka konieczność, przekazuję je Vanowi. George natomiast powinien siedzieć w pierwszym rzędzie, chociaż ostatnio upodobał sobie miejsce obok mnie i zagląda mi w notatki. (To odrobinę nachalne, George).

Tutaj, w Yellowknife zbieramy się w świetlicy udekorowanej smętnymi czerwonymi i zielonymi serpentynami z sylwestra. Gdy weszliśmy tam po raz pierwszy, wszystkie krzesła były ustawione pod ścianami. Pamiętam, jak mama opowiadała o potańcówkach w małych miasteczkach na prerii, gdzie dziewczyny podpie-

rały ściany, stercząc niczym na wystawie, a niezgrabni, rośli mężczyźni gromadzili się w końcu sali, przestępując z nogi na nogę, strzelając chytrze oczami, z łokciami gotowymi do znaczącego szturchnięcia kolegów. „Oto jak nauczyłam się pokory”, tak zawsze kończy tę opowieść i zazwyczaj szybko wychyla szklaneczkę na przypiętowanie swych słów. (Czy coś równie głupiego może nadal nie dawać jej spokoju, jak sądzisz? Czy chodzi po prostu o pretekst do wypicia szybkiego drinka?)

Burmistrz oraz dwóch radnych, którzy przywitali nas na lotnisku, odsunęli krzesła od ścian i ustawili je w równe rzędy zwrócone ku podium, lecz Austin zaproponował, by członkowie Komisji zestawili swoje krzesła na podłogę, co też uczyniliśmy. Potem gospodarze zaprowadzili nas do pobliskiej kawiarni i postawili kawę. Kiedy wróciliśmy, w świetlicy zebrało się już około dwudziestu osób, głównie kobiet. Matki, białe i eskimoskie, przyprowadziły dzieci okutane w grube kurtki z kapturkami, tak że zza futrzanego obszycia wyzierały tylko oczy, a okazjonalne beknięcie, bąk czy pochrząkiwanie nadawały zgromadzeniu charakter zdecydowanie niestołeczny.

Moją uwagę natychmiast przyciągnęła jedna z eskimoskich kobiet. Miała przy sobie niemowlę o okrągłej buzi i czarnych oczach oraz dwójkę małych, niespotykane grzecznych dzieci. Jednak to, co rzuciło mi się w oczy, jeszcze zanim zaczęła mówić, to jej twarz. Miała gładką skórę, lecz piętno rozpacz było tak głębokie i wyraźne, że zaczęłam się zastanawiać, jakież to straszliwe cierpienie mogło dotknąć kogoś tak młodego.

Gdy nadeszła jej kolej, wstała, przysunęła się bliżej, rzekła coś gwałtownie do dzieci w swoim języku, po czym zwróciła się do nas i poinformowała, że jest wdową żyjącą z zasiłku.

— Mój mąż dobrze zarabiał — powiedziała głębokim melodyjnym głosem i jedynie nieznacznie połykanie głosek wskazywało, że królewski angielski nie był jej ojczystym językiem.

— Był dobrym człowiekiem — mówiła dalej. — Pewnego dnia pojechałam odwiedzić matkę, a kiedy wróciłam, zastałam nową kuchnię z kuchenką elektryczną i wieloma blatami do pracy.

Oznajmiła to z taką dumą, że poczułam pod powiekami piekące łzy. Van pochylił się do przodu i zapytał ją bardzo łagodnie (on tak potrafi, nie jest, jak często powtarzam, zwykłym pięknolicym macho):

— Co się stało z pani mężem?

— Umarł. Jesienią, kiedy wróciłam do domu przepelniona wielką miłością i wdzięcznością za jego dobroć, żyliśmy sobie wygodnie przez pierwsze dni chłodów. A potem nadszedł czas sprawdzania siodeł. Wraz z nastaniem poranka, mimo że dzień był pogodny, poczułam cień tego, co miało nastąpić. „Nie jedź”, szepnęłam, lecz on roześmiał się z tą męską pewnością i wyruszył na swym skuterze śnieżnym. Patrzyłam za nim, póki nie zniknął na horyzoncie, i ujrzałam mrok idący w ślad za nim. Nocą przebudziłam się i usłyszałam, jak zrywa się wiatr. Wiał przez trzy dni i trzy noce, a potem poczułam, jak miejsce w łóżku obok mnie przenika chłód, i wiedziałam, że on odszedł.

Zobaczyłam, jak usta Jessiki zaciskają się w srogą kreskę, a Austin zdejmuje okulary i poleruje szkła chusteczką do nosa.

— Teraz nie umiem się modlić — zakończyła cichym głosem — ponieważ my nie mamy już swoich duchów, a nie wierzę, by wasz Bóg mieszkał tak daleko na północ.

Te słowa powaliły mnie. Odniosłam wrażenie, jakby mój skołowaciały umysł został porażony prądem i po raz pierwszy od Bożego Narodzenia wyparowała ze mnie złość, a zapatrywania na to, co się nam przytrafiło,

nagle uległy diametralnej zmianie. Nie bardzo potrafię to wyjaśnić, lecz te doznania mieszały się ze szczerym współczuciem dla tej kobiety.

Austin twierdzi, że jeśli gniew jest niewspółmierny do przyczyny, jego źródła trzeba szukać głębiej. Nie wiem, czy wzięwszy wszystko pod uwagę, byłam bardziej zapalczywa w swej złości, niż powinnam, wiem jedynie, że ostatnio po prostu nie potrafiłam dostrzec, iż w naszym związku są rzeczy istotniejsze niż układ przestrzenny domu. Teraz zaś, dzięki eskimoskiej kobiecie, zaczyna spływać na mnie mały promyk światła.

Kocham Cię, Chas. Rozglądam się nawet za roślinami na werandę. Z niecierpliwością czekam, kiedy wreszcie ją zobaczę.

Twoja Jock

PS: Trzymaj się z dala od skuterów śnieżnych. PPS: Nie napisałeś nic o Mii. Ani o Gregu. Co powiedział jego nauczyciel?

Sweet Cedar Drive 29

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

23 stycznia

Droga Jock,

muszę pamiętać, żeby powiedzieć Twojej matce, że parami chodzą również dobre rzeczy. Przede wszystkim wreszcie wyjrzało słońce i kolorowe światło na werandzie wygląda niemal tak, jak zapowiadała Davina. Potem Twój podnoszący na duchu list z Yellowknife (zapewniam Cię, że będę się trzymał z dala od skuterów śnieżnych, zwłaszcza podczas deszczu). Następnie dostałem coś w rodzaju zlecenia. Po obejrzeniu werandy nie kto inny, jak nasz Gil Grogan zapytał, czy nie zechciałbym zaprojektować i nadzorować budowy podobnej konstrukcji u niego. Z początku odmówiłem, sądząc, że ten stary palant rozdaje jałmużnę na wół bezrobotnym, lecz on podkreślał, że to normalny, uczciwy interes. Podpisaliśmy kontrakt, przypieczętowaliśmy go połową butelki szkockiej i nagle w mojej głowie zaczęło roić się od pomysłów — po raz pierwszy od wielu lat.

Chodzenie dwa razy w tygodniu do Sandersona stało się czymś w rodzaju czarnej roboty, którą trzeba odwalić. Dochodzę do wniosku — tylko się nie śmieję — że to dezorganizuje mi życie. Czy naprawdę spędzałem kiedyś w pracy pięć bitych dni tygodnia? Część czasu zabierają mi oczywiście domowe obowiązki. Opanowanie umiejętności gotowania zupy z soczewicy (jak również jej jedzenie) zajęło mi dłuższą chwilę, teraz zaś zgłębiam tajniki minestrone. (Sue pożyczyła mi wegetariańską książkę kucharską, którą gorąco poleca). Nieustannie są jakieś sprawy do załatwienia. Czy Ty ganiałaś ciągle tam i z powrotem, odbierałaś rzeczy z pralni, kupowałaś znaczki pocztowe? Bez żadnego „dziękuję”? No i trzeba odwiedzać obie mamy. W tym tygodniu obydwie zachowały się przyzwoicie i zaprosiły nas na obiad. Nie będę omawiał menu, z pewnością możesz je sobie wyobrazić. Mia woli obiady u mojej mamy, ponieważ rzeczywiście lubi na deser gruszki w syropie, natomiast Greg preferuje kuchnię Twojej mamy, bo zawsze jest coś nowego do spróbowania — ostatnio wędzona jagnięcina, wysmienita! Resztki ze stołu zapakowano nam do domu. Po opróżnieniu butelki dobrego wina Twoja mama poprzestała tylko na jednej wzmiance na temat werandy: „Z czasem ona (czyli Ty) prawdopodobnie się przyzwyczai”. Mam taką nadzieję.

Wyobraź sobie, Greg przywłókł do domu kilku swoich przyszczatych kumpli, żeby pokazać im werandę. Właśnie coś sobie przypominałem. Kiedy poszedłem wczoraj do banku, dostałem aktualny wyciąg z konta. Jakąż niespodzianką było ujrzeć na nim dwa tysiące dolarów. Z początku pomyślałem, że może Ty przesłałaś pieniądze, lecz kiedy poprosiłem kasjerkę o sprawdzenie, wpadła w popłoch i powiedziała, że przez pomyłkę podała mi stan konta Grega zamiast mojego. Oświadczyłem, że to niemożliwe. Przecież on dostaje piętnaście dolarów tygodniowo za utrzymywanie porządku na podwórku Gila, a na uzbieranie dwóch tysięcy potrzeba cholernie wielu piętnastu dolarów.

Mam więc dylemat: udawać, że nie wiem na temat jego konta, czy zażądać, by nie kręcił, tylko powiedział, skąd się wzięła ta gruba forsa? Sue opowiada się za otwartą rozmową, lecz ja przypominam sobie swojego własnego tatę, który miał rozliczne przywary, ale przynajmniej nigdy, przenigdy, nie wtykał nosa w moje prywatne sprawy. Nie pytał, gdzie spędzam czas ani z kim, dlatego i ja ze wszystkich sił staram się nie indagować Grega. I bez tego jest dostatecznie drażliwy.

Czas zabrać się za minestrone. Jeszcze tylko tydzień!

Pozdrawiam Chas

PS: Masz jakieś pojęcie, co lubi Twoja ekipa? Myślałem o ponczu, lecz dla tych, którzy za nim nie przepadają, powinienem zorganizować kilka butelek czegoś mocniejszego. I sherry. Twoja mama wprost nie może się doczekać, kiedy pozna sławnego Austina Greya.

4 Old Town Lane Ottawa, Ontario 26 stycznia

Kochany Chas,

wiem, że zobaczę Cię w sobotę, chciałam jednak, zanim zapomnę, przelać na papier kilka osobliwych przeżyć.

Przy minus dwóch stopniach Ottawa wydaje się, w gruncie rzeczy, kojąco ciepłym miejscem. Gdy opuszczaliśmy wczoraj Yellowknife, panował taki ziąb, że każdy oddech bolał, i chociaż było dopiero wczesne popołudnie, zalegał tajemniczy mrok. Na horyzoncie dwie smugi stłumionej czerwieni odbijały się w gładkich połaciach śniegu. Kiedy weszliśmy w zapraszające ciepło małego odrzutowca, steward pomógł nam zdjąć ciepłe kurtki, a Van wręczył mu butelkę rumu. Nim osiągnęliśmy właściwy pułap lotu, każdy trzymał w ręce miły, pękaty kubek gorącego rumu z masłem.

Ach, te małe odrzutowce! Gdybyśmy musieli lecieć samolotem rejsowym, podróż wydłużyłaby się niemal dwukrotnie. Nie kończące się godziny nad zamarzną tundrą. Chyba po raz pierwszy pojęłam bezmiar Kanady i śmiałość cywilizacji, która odważyła się wkroczyć na to terytorium i zmienić je. Co innego Brytania, wyspa królów... drogocenny kamień w oprawie srebrzystych mórz itd., ale żeby sprowadzić Eskimosom Szekspira?

Kiedy podzieliłam się tą myślą z grupą, Van wycedził: „Pomysł prawie tak poroniony, jak sprowadzanie im Jessiki”.

Na co Jessica wtoczyła się między rzędy krzesel i, rozciągając skraj starego, obszernego swetra, zaczęła śpiewać piosenkę z *Pocałuj mnie, Kate*, tę śmieszna, z „Odśwież sobie Szekspira”. Przy ostatnich słowach Van i Austin także poderwali się z miejsc i, wzięwszy Jessicę pod rękę, zakończyli, nawet nie bardzo przy tym fał-

szując. George, steward i ja biliśmy brawo, a Yvette (tak, Van oświadczył, że w podróży potrzebna mu sekretarka) sprawiała wrażenie lekko oszołomionej, lecz i ona klaskała.

— Gdzie się tego nauczyliście? — zapytałam.

George próbował mi wmawiać, że to potrafiłby każdy, kto choć trochę interesuje się komediami muzycznymi, jednak ja nie dawałam za wygraną i wreszcie przyznali się, że na Harvardzie wystawiano *Pocałuj mnie*, *Kate* w roku, w którym studiowali tam wszyscy razem.

Jessica? Na Harvardzie?

— Przestań rozdziawiać gębę, Jock. (Nie zdawałam sobie sprawy, że cokolwiek dałam po sobie poznać).

— Musiałam zdobyć jakieś wykształcenie, inaczej Van nie przyjąłby mnie do swojej Komisji. Oczywiście nie wybrano mnie na przewodniczącą, to stanowisko jest zarezerwowane dla mężczyzn.

— Premier nie jest takim ryzykantem — rzekł Van. Jessica przeszła go wściekłym wzrokiem, George gwizdnął. Zapytałam ją, co studiowała.

— Och, mnóstwo przydatnych rzeczy. Antropologię. Liznęłam trochę ekonomii i nauk społecznych. Literaturę angielską.

Musiałam gapić się z otwartą buzią, ponieważ Jessica zrobiła się trochę napastliwa.

— O co chodzi, Jock?

— Dlaczego używasz takiego języka, Jessico? — wyrwało mi się.

— Niby jakiego?

— Wiesz doskonale. Mówisz tak, jakbyś zakończyła edukację na przedszkolu.

Czasami Jessica zdumiewa mnie swoją otwartością.

— W mojej pracy tak jest lepiej. Nie będę przecież popisywać się Jungiem przed kobietami, które doświadczyły przemocy fizycznej albo prania mózgu, przemawiam ich własnym językiem. Van oraz koterie wygadanych tego nienawidzą, co, Van? Dlatego potrzebne mi kwalifikacje. Z paroma doktoratami w kieszeni mogę mieć ich w nosie.

Z paroma? Staralam się ze wszech sił nie okazywać osłupienia; nawet George, który upodobał sobie nazywanie Jess „żebraczką z Hadesu”, nie potrafił wymyślić żadnej złośliwości.

Wylądowawszy w Edmonton, poszliśmy na kolację, po czym wróciliśmy do samolotu. Ponieważ podniosła się zimowa mgła, musieliśmy czekać na start prawie do dziesiątej — do północy według czasu w Ottawie.

Wszyscy byliśmy wykończeni. W tych małych samolotach nie ma gdzie się położyć. Z przodu jest co prawda jedna kanapa dla premiera (w tym wypadku Vana), lecz Van szarmancko (?) zaproponował ją Yvette, sam zaś usiadł obok. Pozostali mieli do dyspozycji podwójne fotele, z wyjątkiem George'a i mnie. Nie przysługiwały nam przywileje członków Komisji i musieliśmy siedzieć łokieć w łokieć. Było za to dużo miejsca na nogi, opuściliśmy więc oparcia foteli, ile się dało, a steward rozdał koce i zgasił światło.

Wprawdzie lot przez ciemną, głuchą noc nie bardzo przypominał siedzenie przy ognisku, lecz właśnie z tym mi się skojarzył. Prymitywni mieszkańcy jaskini gromadzili się, żeby się ogrzać i poczuć bezpiecznie. My

rozparliśmy się wygodnie w fotelach, uspieni monotonnym warkotem silnika i leciutkim, łagodnym kołysaniem, które musi być charakterystyczne dla małych samolotów.

Obudziłam się gwałtownie po dłuższej chwili i wyrzałam przez okno. Nad bezkresnym śniegiem połykiwał ogromny księżyc, a w dole mrugało tylko jedno maleńkie światełko. Kto mógł tam mieszkać? Zadrżałam i skierowałam wzrok na kabinę naszego statku powietrznego, a wtedy poczułam coś w powietrzu — ciepło, bliskość — nie potrafię dokładnie opisać. Jak gdyby mały samolocik był zewnętrzną powłoką jednego organizmu, my zaś wszyscy zamknięci w jego wnętrzu stanowiliśmy niezbędną część siebie nawzajem, tak jak, powiedzmy, żołądek i serce. Wydawało się, że zanikły między nami granice odrębności. Podobno takiego samego uczucia doświadczają żołnierze w okopach.

Lecz to nie wszystko. Było jeszcze coś, co przesycalo powietrze jak napięcie przed burzą, coś niemal namacalnie intensywnego i upojnego, aż do przesyty. Po chwili zorientowałam się, że to „coś” to erotyzm.

Odsunęłam się delikatnie od George'a, mimo że nie podejrzewałam, że to on jest tego źródłem. (Cichutko pochrapywał). Potem zobaczyłam podnoszącą się na kanapie Yvette — miała potargane włosy, szeroko otwarte, przestraszone oczy — z kocem naciągniętym na nagie ramiona (wcześniej nie były nagie). Mówiła coś szybko po francusku, co brzmiało jak *j'ai peur, j'ai peur*. (Ona nienawidzi latać).

Następnie usłyszałam łagodny głos Vana. Nie mogłam rozróżnić słów (używał raczej formy *tu* zamiast *vous*, to wszystko, co wiem) i poczułam, jak przejmuje mnie słodka gęstość powietrza, którym wspólnie oddychaliśmy. Cisza, przytłumione głosy szemrzące nie znanym dotąd, pieśczośliwym tonem — znowu przeniosłam się w miejsce przygasającego ogniska, przy którym prymitywni mężczyźni i kobiety wyciągają ramiona, by zaznać błogości.

Zerknęłam na zegarek — była trzecia w nocy. Przypomniały mi się czasy, kiedy Ty i ja tarzaliśmy się w gęstej ciemności, trzymając się w ramionach i ślepo pragnąc nawzajem, dążąc do zespolenia i spełnienia. Seks wydawał się zaledwie marginalnym elementem pełni.

Czar prysł ze sprawą kogóż by innego, jak nie Jessiki. Dźwignęła się z miejsca, zmrużywszy oczy, rozejrzała po pogrążonej w mroku kabinie i nagle ryknęła:

— Hej, Yvette, weź to, przyda ci się bardziej niż mnie.

Zdarła z siebie postrzępiony czarny sweter, zakręciła nim nad głową i cisnęła przed siebie. Sweter wylądował wdzięcznie na głowie Vana.

Van zaklął cicho (po francusku) i odrzucił go Jessice. George i ja udawaliśmy, że właśnie się budzimy i o niczym nie wiemy. Austin poruszył się, wstał i poszedł w stronę toalety. Steward przyniósł kawę. Wróciwszy na miejsce, Austin rozpiął torbę, wyjął nieoczekiwany poczęstunek — butelkę Tia Marii — i zaprawił kawę likierem. Gawędziliśmy do samej Ottawy, gdzie wylądowaliśmy o piątej rano.

Nie wiem, dlaczego te dziwne doznania podczas nocnej podróży wywarły na mnie tak mocne wrażenie. Czułam się tak, jakbym dostrzegła z bliska kruchość powłoki cywilizacji. Austin zauważył któregoś dnia, że pierwsze miasta-państwa istniały około siedmiu tysięcy lat temu i jeśli przyjąć, że człowiek żyje biblijne siedemdziesiąt lat, siedem tysięcy obejmuje zaledwie sto pokoleń. Jako rodzaj nie odeszliśmy zbyt daleko od naszych początków.

Jestem ogromnie podekscytowana sobotnią imprezą, mam jednak przykrą wiadomość — będę musiała wyjechać w niedzielę rano. Van mocno nas ponagla, zatem przyjeżdżamy do Vancouveru w piątek tuż przed południem (zamiast na pełne trzy dni według pierwotnego harmonogramu), pracujemy w piątkowe popołudnie oraz wieczór (może nawet nie dotrę do domu na noc; Van upodobał sobie pracę do pierwszej, drugiej po północy), kończymy w sobotę rano. Wielkie mi meczyje — wolne sobotnie popołudnie! Dobrze, że zdecydowałeś się na catering.

Nie mogę się doczekać chwili, kiedy wszystkich poznasz. Ile osób przychodzi? Wyobrażam sobie dość relaksowy wieczór, okraszony naprawdę ciekawą (może nawet skrzącą się) konwersacją, a Ty?

Całuję Jock

PS: Greg ma w banku dwa tysiące dolarów? Nie wiem, co o tym myśleć.

PPS: Jessica i dziewczyny z domu dla samotnych kobiet organizują jutro wieczorem łyżwiarskie party na kanale. Zapowiada się interesująco.

Ottawa

niedziela wieczorem, po przyjęciu

Chas,

przepraszam, że nie obudziłam Cię dziś rano, by się pożegnać — próbowałam, słowo daję, a Ty nawet podniosłeś się na łóżku i wymamrotałeś: „Już do ciebie idę”, po czym opadłeś z powrotem na materac. Wiedziałam, że i tak nie mamy czasu, więc nim wstałam, z żalem cmoknęłam Cię w szczecinę. (Uśmiechnąłeś się, to znaczy uniosłeś w zachwycie kąciki ust).

Błądym świtem wykrałam się cichutko na dół w zdrową atmosferę petów i rozlanego piwa, a cały ten bałagan uwypuklała fantastyczna feeria barw doprawiona, za sprawą szyb witrażowych, hitchcockowskim smaczkiem. Aż mnie przeszły ciarki na widok krwistoczerwonej szramy, która przecinała ciało leżącej kobiety — to była śpiąca Sue. Rzadko zastaje się osobę wynajętą do obsługi przyjęcia, jak leży nieprzytomna na sofie. Dobra pozycja wyjściowa, aby zerwać się z samego rana do pracy! (Nie mogłam stłumić cichej satysfakcji, że to nie ja będę sprzątać).

Przyjęcie doprawdy się udało, sam powiedz! Chwała Bogu, że Tiscknowowie, Clarke'owie i Chapmanowie wyjechali *en masse* na Maui (czy grupowe wakacje to jakiś ostatni krzyk mody w Vancouverze?)

A co do Sandersonów, mam nadzieję, że wczuli się w (zmysłowy) nastrój chwili. Nie wywalili Cię jeszcze z pracy?

Po zapowiedzi Vana, że jeśli nie stawimy się punktualnie na lotnisku, nasze posady zawisną na włosku, zwlekłam się z wielkim żalem z nadal nieskalanego małżeńskiego łoża i zgadnij, kogo zastałam na miejscu? Wyłącznie Austina. Nie miał żadnych wieści od Jessiki ani George'a, ale przekazał mi, że Vana boli podbite oko, w związku z czym będzie próbował załatwić powrotny lot samolotem rządowym dla uniknięcia nalotu dziennikarzy. Jakie podbite oko? Wiem, że to nie była robota Jessiki, ponieważ wymaszerowała w ciemną noc tuż po wyjściu mamy. Czy to sprawka Sue? Zauważyłam, że Van łąził za nią krok w krok — zresztą trudno było tego nie dostrzec. Może Yvette wpadła w furję i mu przyłożyła? (Uważam, że wystarczająco pocieszała się z George'em). Albo — zwróć uwagę na mnogość upiornych możliwości — zrobiła to porywcz Marjorie?

Widziałam, jak znika w deszczu, bosy, niemal po omacku, nadal racząc nas różnymi interpretacjami *Prze-wróć mnie w koniczynę*.

Martwiłam się o Jessicę, lecz Austin powiedział, że raczej nie ma powodu do obaw. Najwyraźniej wdała się w jakąś kłótnię z Twoją sławetną Daviną (która nie zgadzała się z podsumowaniem Jessiki, że wszyscy mężczyźni, a zwłaszcza Van, są niewrażliwymi, aroganckimi sukinsynami) i wpadła w taki szał, że po prostu trzasnęła za sobą drzwiami. Van i Austin widzieli ją przy Upper Levels, jak zatrzymuje auta w ulewnym deszczu. Austin musiał gonić za nią poboczem, by wpakować ją do jednej taksówki z Vanem. W dość niefortunnym momencie do akcji wkroczył wóz policyjny, Austin zaś przeżył chwile grozy, kiedy wydawało się, że Jessica złoży na nich obydwu skargę o molestowanie seksualne. Na szczęście ustąpiła i wsiadła do taksówki, a policjant puścił ich wolno, zapowiadając, by zachowywali się stosownie do swojego wieku. (Gdy Austin relacjonował całe zajście, facet siedzący między nami nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Mam nadzieję, że nie rozpoznał Austina. Czyż nie byłby to łakomy kąsek dla mediów?)

Och, przy okazji, Austinowi podobały się zmiany w domu. Nie sądzę, by mówił ot tak sobie; wie, że ciągle jeszcze próbuję je zaakceptować. Rozumiem, że zagadnąłeś go o swój wiersz. Wymógł na mnie obietnicę, że mu go pokażę. Czy Ty mi ten wiersz w ogóle dałeś? I uznał mamę za czarującą osobę, tak powiedział. Mam nadzieję, że nie zachował się protekcyjnie, raczej nie. Gdy dotarliśmy do Ottawy, zaproponował wspólny obiad, lecz ja marzyłam tylko o jednym — zaszyć się w moim bezpiecznym zaciszu i siedzieć tam w ukryciu do końca zimy. Albo dopóki nie minie kac. (Minał po dwóch dniach i szklance ciepłego mleka).

Teraz, kiedy doszłam już do siebie, śmieję się z moich wizji „kulturalnego” wieczoru, jakie mi się uroiły pod wpływem przyjęcia dla członków Komisji wydanego przez George'a i Esther, którzy zaprosili także bardzo interesujących przyjaciół. Nie chodzi o to, że Davina, Sue, Marjorie Finstead, Gil i to zębate stworzenie z kursu kreatywnego pisania nie są interesujący. Wręcz przeciwnie, pod tym względem biją towarzystwo O'Reilly'ego na głowę.

Zmierzam do tego, by powiedzieć — przyznać — że ta impreza dobrze mi zrobiła. Stawiałam grupkę z Ottawy trochę na piedestale, jakoś wbiłam sobie do głowy, że oni przewyższają naszych obutych w tenisówki prowincjuszy. Jednak mimo że poziom intelektualny wczorajszego wieczoru odpowiadałby jaskiniowcom, to właśnie towarzystwo ze wschodniego wybrzeża pokonało głupotą tych z zachodu mniej więcej dwa do jednego. Przesyłam wyrazy miłości (platonicznej — tu westchnienie)

Jock

PS: Greg pojawił się w tym rozgardiaszu o drugiej w nocy. Gdzież on się podziewa do tej godziny? Czy nie czas się dowiedzieć?

PPS: Tak, weranda jest śliczna. Ale dziwna historia — podchodzę do niej z całkowitym dystansem. Dojrzałość? (Mam nadzieję).

Sweet Cedar Drive 29

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

2 lutego

Najukochańsza,

piszę w pośpiechu, ponieważ chcę wpaść do szpitala do Gila Grogana, a odwiedziny kończą się o dziewiątej.

Było mi przykro — nie potrafię opisać, jak bardzo, i to więcej niż z jednego powodu — gdy obudziwszy się w niedzielę rano, zobaczyłem, że Ciebie już nie ma. (Niewykluczone, że wypłem za dużo o jedną szklanicę ponczu z dżinem i syropem klonowym — niespodzianką Gusa Finsteada, ponieważ otworzyłem oczy dopiero w południe). Przypomniało mi się, że zwykle rano po imprezie leżeliśmy w łóżku i wymienialiśmy uwagi; takie roztrząsanie po fakcie zawsze wydawało mi się bardziej interesujące niż samo przyjęcie. Pamiętasz te cudowne przebojowe makaronowe party, które organizowaliśmy? A jak Tiny Wiglow runęła na nasz nowy stolik do kawy ze szklanym blatem? A tę niefortunną imprezę, kiedy usiłowaliśmy pomieszać niemieszalne — architektów z prawnikami — i w rezultacie jedno przyjęcie odbywało się na tarasie, a drugie w salonie? No a proszone kolacje, na których czasem wszystko zdawało się (bez żadnego widocznego powodu) aż pulsować: apetyt, rozmowa, serdeczna atmosfera?

Będziesz chyba musiała się ze mną zgodzić, że sobotnie przyjęcie należało do najlepszych, jakie kiedykolwiek wydaliśmy, pomimo tej małej szamotaniny w kuchni pomiędzy Gilem a Twoim złotym chłopcem, Vanem. (À propos, mam dobrą wiadomość: zuchwa Gila nie jest złamana, tylko zwichnięta). Z tego, co dowiedziałem się później, Vance, któremu po pościgu za Sue zaschło w gardle, wtoczył się do kuchni i poprosił po francusku o odrobinę *soupon de cognac dans son café*, Gil zaś, żartując oczywiście, spytał go, czy nie ma przypadkiem „żabki” w gardle.

Odnoszę wrażenie, że Twój kumpel Vance ma bardzo kiepskie poczucie humoru i bez wątpienia w pełni zasłużył na podbite oko. Wedle relacji Gila Vance pchnął go na lodówkę, Gilowi nie pozostało zatem nic innego, jak się bronić. (Widać młodzieńców w Westmount nie uczą, że nie przystoi atakować starszych).

Uzyskałem te rewelacje od Sue, która przybiegła z salonu, usłyszawszy brzęk tłuczonego szkła. (Nie martw się, zbił się tylko jeden kryształowy kieliszek, reszta to filiżanki i spodeczki). Właśnie Sue udało się uspokoić Vance'a, zanim odwiozła Gila na pogotowie. A sama wiesz, że w sobotni wieczór w izbie przyjęć kłębi się tłum ludzi — dlatego kolacja była później, niż pierwotnie planowaliśmy. Ale kto się tym wówczas przejmował?

Musisz również przyznać, że warto było poczekać na takie jedzenie. Jak już wyjaśniłem — czy aby na pewno? — Sue zaofiarowała się zapewnić wyzerkę, ale ponieważ przełożono jej termin egzaminu, nie mogła się tym zająć; wszyscy więc zakasali rękawy i pomogli. Przypomniały mi się te fantastyczne improwizacje kulinarne z czasów, gdy mieszkaliśmy w Kits. Naleśniki z bakłażanem Twojej mamy były palce lizać, choć zostało ich jeszcze z tysiąc, a przygotowana przez Davinę zapiekanka ze słodkich ziemniaków i jogurtu okazała się prawdziwym przebojem, przynajmniej póki nie wymieciono jej do czysta. Melody — poznałaś Melody? — przyniosła sernik z jagodami, ale w całym tym galimatiasie leżał zapomniany w lodówce. Zjedliśmy go dziś rano na śniadanie. Grecka sałatka Gila mogłaby smakować lepiej — on nie trawi czarnych oliwek ani sera feta

— ale przynajmniej się starał; i myślę, że to mus malinowy Marjorie, a nie sos do sałatki, lekko pogonił nas wszystkich do toalety następnego dnia. A może zawinił zdradziecki koktajl z syropem klonowym-niespodzianką?

Skoro mowa o działaniu ponczu, nie pamiętam, kiedy widzieliśmy Twoją matkę bardziej ożywioną i kokieterijną. W którymś momencie była tak zaaferowana rozmową z Austinem, że straciła mu z nosa lśniące okulary, które poleciały przez pół pokoju i wylądowały na kolanach Daviny, co było zresztą szczęśliwym przypadkiem, bo do tej pory nie miała śmiałości się przedstawić. Tych dwoje, Davina i Austin, paplali później zawzięcie o literaturze, a Davina była wprost wniebowzięta, że Austin czytał jej tomik *Wild Bores and Other Whores*, który w zeszłym roku zdobył Nagrodę Poetycką Południowo-Zachodniej Kolumbii Brytyjskiej. Spytałem go, czy znalazł czas na przeczytanie mojego wiersza, on zaś odparł, iż nie wiedział, że „piszę poezję”. Takiego użył określenia — pisanie poezji. Davina uniosła brwi. Austin ze swoimi wypolerowanymi szklami i lśniącą chusteczką w kieszonce marynarki bardziej przypomina bankiera niż poetę. A przy okazji, nie podziela poglądu Daviny, że ogień poezji płonie w każdym z nas. Mieli na ten temat przyjacielską sprzeczkę, która właśnie przybierała na sile, gdy napatoczyła się Jessica i hałaśliwie zdominowała rozmowę.

Cóż mogę rzec o Jessice? Że jest ciut ekspansywna? Z pewnością od wielu lat nikt nie poklepał mnie po plecach tak mocno, że aż zacząłem kaszleć. „Jeśli ty jesteś tym słynnym Chasem — powiedziała, wtedy nie zdążyliśmy się jeszcze poznać — chcę ci pogratulować”. Oczywiście zapytałem, z jakiego powodu.

„Ponieważ nie jesteś cholernym fallokratą, jak reszta świń, na jakie się natykam”.

Fallokrata? Dowiedziałem się, że to francuskie określenie na męskiego szowinistę i że odbieram wyrazy uznania nie za werandę, jak sądziłem, lecz za dobrowolne przeistoczenie się na rok w gospodynię domową i nierobienie z siebie zafajdanego męczennika. Słyszając to, nabrałem do niej sympatii. Polubiłem ją jeszcze bardziej, gdy zaczęła wychwalać Ciebie. Jaki może być większy zaszczyt, niż zostać nazwanym „równiachą”? „Jock to prawdziwa równiacha”. (Zorientowałem się, że i ona nie stroniła od wazy z ponczem).

Z ciekawością obserwowałem też, jak Davina i Jessica dogadują się ze sobą. (Już się kiedyś spotkały na jakiejś konferencji feministycznej w Toronto). Wymiary mają nadzwyczaj podobne, lecz ich stosunek do feminizmu różni się radykalnie — a przynajmniej obie koniecznie chciały mnie o tym poinformować. Jessica na przykład z łatwością potrafi sobie wyobrazić świat bez mężczyzn, natomiast Davina uważa, że coś takiego jest nie do pomyślenia. Już miały skoczyć sobie do oczu, gdy nadeszła Yvette — jakaż to cicha myszka — oświadczając, że George przypadkowo zatrzasnął się w łazience. (Pamiętasz, zawsze był kłopot z tym zamkiem). Poszedłem Cię szukać, lecz Ty ścierałaś w gabinecie rozlane wino, wyszedłem więc do szopy po drabinę (wtedy już padało). I kogóż spotykam, jak nie Marjorie Finstead, na wpół rozebraną, tańcząca na trawniku i nucającą jakąś nową, oryginalną wersję *Przewróć mnie w koniczynę* — wszystko ku wielkiej ucieście Twoich kumpli Vance'a i Austina oraz mojego szefa Talbota Sandersona, którzy dopingowali ją spod wiaty garażowej. (A Ty sądziłaś, że Marjorie jest drętwa). Gus najwyraźniej niezbyt dobrze się bawił i zde gustowany poszedł wcześniej do domu — to znaczy koło wpół do trzeciej. Dlatego Marjorie została u nas na noc. Wymościla sobie posłanie z poduszek i zwinęła się w kącie werandy obok Twojej mamy. Wychodząc, musiałaś się o nie potknąć.

Podsumowując, uważam przyjęcie za jedno z ciekawszych w naszej karierze i cieszę się, że nie przyszli na nie Ticknowowie i reszta. Słyszając uwagi na temat werandy oraz świetlika, oczywiście z godziny na godzinę

puszyłem się coraz bardziej — nawet Ty sprawiałaś wrażenie zadowolonej z efektu, choć nie mieliśmy właściwie okazji o tym porozmawiać. A teraz dobra wiadomość: dziś rano zadzwonił Talbot Sanderson, mówiąc, że wraz z Joy doskonale bawili się na przyjęciu, a weranda spodobała im się tak bardzo, że chcieliby, abym zaprojektował podobną również dla nich. (Co Ty na to? Architekt architekta!) Nie trzeba dodawać, iż darowałem sobie wyjaśnienia, że nasz projekt został podyktowany tym, co było dostępne na złomowisku. Zatem gdy tylko uporam się ze zleceniem Gila, zabieram się do obmyślenia projektu dla Sandersonów. Talbot mówi, że są skłonni wyłożyć dwadzieścia pięć tysięcy, będę więc miał dużo więcej swobody.

Biedny Gil. Spędzi w szpitalu kilka tygodni, ponieważ lekarz postanowił przy okazji nastawiania żuchwy „załatwić” jego problem z prostatą. Znajdziesz chwilę czasu, by wysłać mu kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia? Wiele by to dla niego znaczyło — martwi się, że mogłaś poczuć się dotknięta dowcipem o króliku, który opowiadał. Przynajmniej na razie udało mi się wybić mu z głowy pomysł pozwania Vance'a do sądu. Pewnie nie zdołasz namówić Vance'a na przysłanie Gilowi krótkiego liściku z przeprosinami? Mógłby ukoić jego urażoną ambicję.

Sprzątanie po przyjęciu zajęło nam całe dwa dni, ale było warto. Dzieci zakasały rękawy i wzięły się do porządków. Mia przespała całą imprezę — ach, młodość! — natomiast komentarz Grega, gdy wrócił o drugiej w nocy, umykając na podwórzu przed Marjorie, brzmiał: „Nie mogę doczekać się wkroczenia w dorosłość”.

O której położyłaś się spać? Musiało być wcześniej. Twoja poranna ucieczka i moja późna pobudka nie pozostawiły nam większych nadziei na nacieszenie się sobą. Sądzisz, że istnieją szanse, abyśmy spędzili wkrótce wspólny weekend, zanim oszaleję? Co powiesz na Winnipeg? Zawsze byłem ciekaw, co Winnipeg ma do zaoferowania w lutym.

Moja cudowna, ukochana „równiacho”, przesyłam wyrazy miłości i całusy.

Twój Chas

PS: Dzięki za numer faksu. Sanderson nie ma nic przeciwko korzystaniu przez nas z jego faksu w razie pilnej potrzeby.

FAKS

1 LUTEGO

CAPILANO REVIEW PRZYJĘŁO DO DRUKU MÓJ WIERSZ. HONORARIUM PIĘĆ DOLARÓW. JESTEM W EKSTAZIE.

CHAS

4 Old Town Lane Ottawa, Ontario 5 lutego

Kochany Chas,

po przeczytaniu Twojego listu, wtajemniczającego mnie we wszystkie szczegóły orgii u Selbych, które przegapiłam, nasunęło mi się kilka refleksji. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie zaszokowaliśmy niektórych osób, lecz Austin tak śmiał się z Twojego opisu bójki Vana, że aż musiał wytrzeć swe nieskazitelne okulary. Potem, kiedy czytałam na głos kilka innych wybranych fragmentów, na przykład kawałek o płasach Mar-

jorie Finstead (które, nawiasem mówiąc, uznał za jeden z najzabawniejszych widoków, jaki kiedykolwiek oglądał), chwycił za pióro i w przeciągu trzech minut naskrobał wiersz *Do Marjorie*:

Pod świerka konarami

Tańczyła Marjorie z nagimi piersiami.

Ja, stary satyr, na wiwat jej klaskałem,

Gdy stanik całkiem opadł, choć nadzieją na więcej miałem,

Skryłem zawód, ruszyłem ku niej i ją poglaskałem.

Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, jak dziwaczne musiało się wydać to przyjęcie komuś takiemu jak Austin. Powiedziałam, że i ja spodziewałam się czegoś zgoła innego, wyobrażałam sobie raczej spokojne, kulturalne i mniej lub bardziej intelektualne spotkanie, nie zaś pijacką burdę, lecz on zauważył, że nie można polegać na kulturalnych, inteligentnych ludziach w konfrontacji z ponczem na syropie klonowym-niespodziance.

A teraz coś, co Cię zastrzeli — Austin nie wyrażał się o mamie w sposób protekcyjny. Mama czytuje wszelką krytykę literacką, jaka wpadnie jej w ręce; wiesz, że w jej mieszkanku zawsze poniewiera się mnóstwo egzemplarzy „New York Times Book Review”, „Commentary”, „Saturday Review of Literature” itd. Wedle Austina mama ma „gruntownie przemyślane spostrzeżenia oraz niezwykle wyrafinowane zrozumienie niuansów współczesnej poezji”. Niech mnie diabli!

Dziwne, co? Zawsze z pobłażaniem odnosiłam się do „pogmatwanego sposobu myślenia” mamy, a jej uwielbienie dla poezji przypisywałam wycofywaniu się z czynnego życia, co jest typowe dla kobiet z jej pokolenia.

Co do talentu poetyckiego Austina, sądziłam, że jest po prostu rozrywką i zajmuje dalszą pozycję za naprawdę istotnymi osiągnięciami na polu ekonomii i statystyki. Tymczasem on twierdzi, że nie. Bycie poetą jest dla niego ważniejsze i wymaga większego wysiłku niż umiejętność posługiwania się „umysłem kalkulacyjnym”. Jego zdaniem poezja jest tym, co odróżnia człowieka od kalkulatora i — uważaj, tylko niech Ci nie uderzy woda sodowa do głowy — nazywa Twoje projekty „poezją zmaterializowaną”.

Tak, niezwykle spodobały mu się świetlik i weranda. Uważa, że potrzeba tworzenia przypomina banieczkę helu uwięzioną na dnie naszego umysłu, która nieustannie próbuje wydostać się na powierzchnię, lecz zagusza ją ciągła paplanina warstwy rozumu. (Tyle że Austinowi nie mieszały się metafory). I gdyby ktoś zapytał go o sens życia — a najwyraźniej nasz cudaczny nowicjusz nadal go o to nagabuje — musiałby odpowiedzieć, że jest to uświadomienie sobie odwiecznych i prymitywnych emocji stanowiących elementy, z których powstaje twórczość. W ten sposób człowiek stopniowo się realizuje, to zaś jest celem istnienia. Po tym wywodzie powstał mi w głowie mętlik. Nie mam takiego umysłu jak Austin i nawet nie jestem pewna, czy wiem, o czym on mówi. Swoje spełnienie, adekwatne do możliwości mojego rozumu, odnalazłam w logice prawa, a mój ostatni przebłysk twórczości miał miejsce, gdy wysyłałam wypchane kangury, z których wysypywały się styropianowe kulki.

Zastanawiam się, czy którąś z tych mądrości można wykorzystać do rozwiązania naszych problemów? Zgoda, potrzeba nam jakiegoś ratunku, zanim oboje umrzemy wskutek niemal całkowitej abstynencji seksualnej (zwłaszcza jeśli to śmiertelna choroba, a czasem odnoszę wrażenie, że tak jest). Przykro mi, że nie nadarzy-

ła się okazja w Vancouverze — nie spodziewałam się, iż będę musiała pracować do samego wieczora. A skoro mowa o braku okazji, dlaczego, na miły Bóg, Greg wpadł jak burza do naszej sypialni o wpół do piątej rano w poszukiwaniu nici dentystycznej? Cóż za nienaganne wycucie czasu. Gdzie on się włóczy do tej godziny?
DOWIEDZ SIĘ!

Może jesteś ciekaw (prawdopodobnie tak), dlaczego Komisja od pewnego czasu pracuje tak gorączkowo? Otóż Van sądzi, że premier rozpisze wybory, i martwi się o przyszłość swojego raportu. Gdyby elekcja nastąpiła przed zakończeniem prac Komisji, co stałoby się z całym naszym wysiłkiem? Poszedłby na marne. Austin mówi, że pewnie wszystko diabli by wzięli — palicho kanadyjską biedotę, skoro wchodzi w parady politycznemu oportunistom.

Na Vana wywierane są naciski, by ubiegał się o przewodniczenie Partii Liberalnej, ja zaś nie mogę przestać myśleć o tym, czy mogłabym ewentualnie dostać nominację i zająć wakat. Zdobyłam wszechstronne doświadczenie. Wiesz, Chas, to dla mnie zaskoczenie — być może wydam się zarozumiała — ale odkryłam u siebie coś zupełnie nieoczekiwanego. Jestem naprawdę dobra w tym, co robię. Chyba do końca nie wierzyłam, że tak świetnie poradzę sobie w Wielkim Świecie, lecz dziś wieczorem dotarło do mnie, że się sprawdzam, autentycznie! Jestem szczerze przekonana, że byłabym pierwszorzędnym członkiem Komisji! Co Ty na to?

Lecz oczywiście może być preferowany mężczyzna, na przykład George, ale jeśli wybrano by jego, trochę bym się obruszyła. Z drugiej strony, moja nominacja oznaczałaby przedłużenie kontraktu i nieobecność w domu przez kolejne kilka miesięcy. Takie sprawy lubią się przeciągać, sam wiesz.

Tak czy owak, Chas, realizacja projektu posuwa się naprzód i wiele wskazuje na to, że będziemy w Winnipeg pod koniec miesiąca. A co do tego, jaki jest Winnipeg zimą, prognozy nie wyglądają zbyt optymistycznie, ale w lutym i z Ottawy niewielki pożytek. Jeżeli nas na to stać — zważywszy na Twoje nowe zlecenia na werandy — może odwiedziłbyś mnie w weekend? Podam Ci termin, jak tylko zostanie ustalony. Tak, potrzebujemy spędzić razem trochę czasu. We dwoje.

Twoja Jock

PS: Mama i Marjorie spały na werandzie? Jakim cudem je przeoczyłam?

PPS: Próbuję się do Ciebie dodzwonić, ale za każdym razem słyszę informację, że numer jest odłączony. Co się dzieje?

Sweet Cedar Drive 29

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

9 lutego

Droga Jock,

pytanie: dostałaś faks z informacją o przyjęciu mojego wiersza do druku przez „Capilano Review” czy nie? Nie chce mi się, nie mogę uwierzyć, że mogłaś otrzymać wiadomość i na nią nie zareagować. Cholera, co tu mówić o reakcji, skoro nie doczekałam się nawet komentarza. Zdajesz sobie sprawę, jak trudno opublikować dzisiaj poezję? Zapytaj swego kumpla Austina. Wiesz, że „Capilano Review” dostaje miesięcznie ponad setkę nie zamawianych rękopisów? Wiesz, jaka to rzadkość, by zaakceptowano czyjś pierwszy w życiu wiersz? A na wypadek, gdyby Ci się wydawało, że „Capilano Review” to mała, brudząca palce, odbijana na ksero gazetka

rozprowadzana na rogach ulic przez biedaków z wylupiastymi oczyma, pozwól sobie wyjaśnić, że jest to duży, błyszczący i poważny magazyn, który można znaleźć w bibliotekach całego kraju.

Dobry Boże, rozumiem, że jesteś zapracowana. Rozumiem, że absorbują Cię Jessica i Vance oraz to, „co mówi Austin”, lecz w końcu jesteśmy Twoją rodziną i chcielibyśmy od czasu do czasu zostać pogłaskani po głowie. Nawet nie to. Zadowolilibym się swojskim „dobra robota” albo — Panie dopomóż — nawet „gratulacjami”. Davina kupiła mi ze swojego skromnego budżetu butelkę podrabianego szampana. Dwójka Twoich dzieci zaprosiła swego staruszka na Big Maca!

Wiem, wiem, zachowuję się jak duży chłopczyk zebrzący o uwagę i może nim jestem faktycznie, ale wysłałem Ci ten faks, ponieważ chciałem podzielić się z Tobą jedynym złotym jabłkiem, jakie spadło mi z nieba w zeszłym roku. Szczerze pragnąłem, abyś i Ty go skosztowała. Pisałaś, zdaje się kilka listów temu, że potrzebujesz mojego uznania i poparcia dla Twego nowego, „usankcjonowanego” wizerunku. A co z drugim butem od pary, z drugą stopą? Napisz, proszę. Powiesz, że faks zginął, że ktoś zapomniał Ci go przekazać. Prawdę mówiąc, im więcej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się to prawdopodobne.

Zmieńmy temat. Ostatnio mieliśmy istne urwanie głowy. Wczorajszego wieczoru odbyło się przedstawienie baletowe Mii, cztery godziny wirujących króliczków, wróżek, krasnoludków i jesiennych liści. Właśnie kiedy pomyślałem, że mój mózg zaczyna fiksować, na scenie zjawiła się nasza urocza córka przebrana za Wschodni Wiatr i przyćmiła wszystkie inne dzieci. Strój zdał egzamin. Marjorie Finstead musiała naszyć na niego z tysiąc cekinów — może powinnaś przesłać jej jakiś krótki liścik z podziękowaniami? Niestety, boczne szwy puściły w ostatniej chwili, musieliśmy więc upiąć kostium na Mii zszywkami, ale wyglądała w nim kapitalnie. Och, była cudowna. Wyślę Ci zdjęcia, gdy tylko je odbiorę — wypstrykałem całą rolkę filmu. Greg zapowiedział, że postara się przyjść, lecz potem się nie zjawił, jak zwykle.

Prosiłaś, żebym dowiedział się, gdzie on przepada. Odbyliśmy kilka starć, lecz on jest mistrzem unikania tematu, ja zaś doszedłem do przekonania, że wcale nie mam ochoty wiedzieć, gdzie i z kim przesiaduje. Nie, nie, nie. Może sama do niego napiszesz, zajdziesz go z innej strony?

Niemal każdego popołudnia, a czasem także wieczorem, odwiedzam Gila w szpitalu. Zdaje się, że jestem jego jedynym gościem. (À propos, wysłałaś mu kartkę?) Jest trochę przygnębiony, ponieważ lekarze odkryli jakąś nieszczelność w jednej z tętnic. Chcą zatrzymać go w szpitalu, póki nie przeprowadzą dokładnych badań, a to może oznaczać kilka kolejnych tygodni. Ostatnio nie udaje mi się nawet sprowokować go do wystąpienia w obronie rządu, a kiedy zapytałem, czy przynieść mu coś do czytania, poprosił o Biblię. Stary Gil, którego noga nie postąpiła w kościele od czasu ślubu w 1932 roku. Przekopałem cały dom Gila i nasz w poszukiwaniu Pisma Świętego, a w końcu poszedłem je kupić. Mam cholerną nadzieję, że nie każe mi go sobie czytać.

Będę kończyć. Mój nowy wiersz musi do jutra okrzepnąć.

Uściski Chas

PS: Kiedy napomknąłem o Winnipeg, miałem na myśli tylko Ciebie i mnie, a nie przekłętą Komisję.

PPS: Zdaje się, że zapomniałem zapłacić rachunek za telefon. Teraz muszę jechać na drugi koniec miasta i wpłacić nową kaucję — zawiadomię Cię, jak tylko dadzą nam nowy numer. Nieprawdopodobnie uprzykrzają życie, nie uważasz?

4 Old Town Lane Ottawa, Ontario 12 lutego

Drogi Chas,

oczywiście cieszę się z powodu wiersza i oczywiście dostałam faks. Posłuchaj, Kochanie, przepraszam, jeśli okazałam się mało wrażliwa (Sue i Davina natomiast wręcz przeciwnie, Ty szczęściarzu), zatem przyślij mi kopię, chyba nie mam tej, którą rzekomo mi dałeś. Obiecuję pokazać ją Austinowi. Ciekawe, czy słyszał o „Capilano Review”? (To wszystko, co płacą? Pięć dolarów?!).

Usiłowałam dodzwonić się do Ciebie wczoraj wieczorem po powrocie do domu (około jedenastej, u Ciebie była ósma), ale widać nie uregulowałeś jeszcze rachunku. Sądziłam, że dają trzymiesięczny termin płatności. Przecież na pewno coś im płaciłeś od mojego wyjazdu? Mniejsza o to. Jessica zaciągnęła mnie do domu dla samotnych kobiet. Uważa, że wywieram korzystny wpływ na Jean (pamiętasz Jean?). Dziewczyna — co było nieuniknione — związała się z mężczyzną, który ją wykorzystuje, przynajmniej zdaniem Jessiki.

Trudno mi uwierzyć, że lichy zasiłek dla bezrobotnych, jaki dostaje Jean, może zwabić łowcę posagów, a wspomniany mężczyzna to typowy bezrobotny młodzian w obcisłych džinsach i czarnej skórce, *avec moto*. Motor jest tymczasowo schowany w suterenie domu dla kobiet, gdzie ani deszcz ze śniegiem, ani śnieg, ani nocny przymrozek nie skalają jego lśniącej powierzchni. Chłopak spędza tam dużo czasu, kręcąc się wokół z osowiałą miną — motocyklowa chandra? — i mamrocząc coś o przeprowadzce do Vancouveru oraz — uwaga — wstąpieniu do Ciebie. W każdym razie Jessica twierdzi, że Jean uważa mnie za wzór, próbuję więc skierować dziewczynę — delikatnie — na drogę samorealizacji, którą można odnaleźć w profesji pomocy stomatologicznej (zaskakujące marzenie zawodowe, do którego przyznała się z rumieńcem wstydu).

— Nie podoba mi się ten poroniony pomysł z pomocą dentystyczną, Jean. Spadajmy stąd, do cholery — tyle Norm, zmotoryzowane zagrożenie Jean, a ja nie jestem całkiem nieprzychylna jego punktowi widzenia. (Tylko że on zapomina o oczywistym: jest jeszcze Tricia, dziecko, które już raczkuje). Tymczasem poświęciłam stomatologii trzy razy więcej miejsca, niż miałam zamiar, więc z moim błogosławieństwem Jean i Norm ruszyli wreszcie z kopyta w ciemność nocy volkswagenem Jessiki — no bo motor jest zbyt cenny, by go na cokolwiek narażać — a Jessica i ja zapakowałyśmy Tricię do łóżka.

Śmieszna rzecz, kiedy poszłam do pokoju Jessiki po chusteczki higieniczne, zauważyłam powiększoną czarno-białą fotografię czwórki młodych ludzi — zrobioną, sądząc po ubraniach, całe wieki temu — trzymających się pod ramię i szczerzących radośnie zęby. Zamurowało mnie, gdy rozpoznałam na końcu Vana, szczuplejszego, z ciemnymi i nieco bujniejszymi włosami, lecz poza tym dziwnie nie zmienionego, oraz uśmiechniętą dziewczynę w babcinej sukni i sandałach obok niego. Gdyby nie okulary, nigdy bym nie zgadła, że to Jessica — świadomość, iż Jessica pozbawiona potrójnego podbródka była naprawdę przystojna, spadła na mnie prawie jak grom z jasnego nieba.

Obok niej stał Austin w swym młodszym wcieleniu, również bardzo podobny do siebie (czy tylko kobiety podlegają zmianom? Makabra!) Ubrany był konserwatywnie w szary flanelowy garnitur i koszulę rozpiętą pod szyją, w ręku trzymał rakietę tenisową i oczywiście wyglądał na starszego (bo jest starszy) od pozostałych.

Nie wiem, kim była ta druga ładna dziewczyna. Jessica przyłapała mnie na przyglądaniu się zdjęciu i wpadła w lekką irytację z powodu mojego — tak to określiła — wężycielstwa oraz wścibstwa, nie dowiedzia-

łam się zatem niczego poza tym, że fotografię zrobiono, kiedy ona i Van studiowali na Harvardzie, a Austin tam wykładał. Spytała jedynie, czy nie czas zabrać mnie do domu.

— Na motorze?

— Jasne, jeszcze czego. Odprowadzę cię.

— Przecież jest okrutny ziąb, a zresztą dlaczego ty miałabyś być mniej narażona na niebezpieczeństwo niż ja?

— Faceci na mnie nie lecą, a poza tym mam czarny pas w karate.

Szkoda, że Van nie popchnął na przyjęciu Jessiki. Biedny Gil! Tak, napiszę do niego.

Powodem, dla którego usiłowałam się do Ciebie dodzwonić, była konieczność zabukowania biletów do Winnipeg, inaczej bowiem tanie przeloty przeszłyby mi koło nosa. Żeby nie przegapić ostatniego terminu, dokonałam rezerwacji. Nie będziesz musiał dzielić się mną z Komisją, staram się jedynie zgrać nasze spotkanie z terminami przesłuchań dla zaoszczędzenia pieniędzy. Komisja obraduje od 23, ale nie zbiera się w piątkowe popołudnie, pomyślałam więc, że gdybyś przyjechał w czwartek wieczorem, mielibyśmy dla siebie piątek po południu, sobotę i niedzielę.

Mam nadzieję, że ten termin Ci pasuje. Odwołanie rezerwacji kosztowałoby majątek, a przecież robiłam ją dlatego, że chciałaś się spotkać w Winnipeg. Dzięki uprzejmości rządu czwartkowy nocleg w hotelu Westin mamy za darmo, a myślę, że uda mi się uzyskać dla nas zniżkę rządową na cały weekend. Zadzwoń natychmiast, jeśli nie dasz rady przyjechać, powinniśmy jednak spróbować, mamy wiele do nadrobienia.

Jock

PS: Potrzebowałam nowych kozaków, poszłam do sklepu i kupiłam fioletowe. Co Ty na to?

PPS: Jestem bardzo przejęta widowiskiem baletowym Mii. Boże, jak żałuję, że nie mogłam tam być! Napisałam do niej.

Sweet Cedar Drive 29

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

16 lutego

Kochana Jock,

trzymaj się mocno! Mam dla Ciebie pasjonujące wieści! Od wczoraj nie pracuję już u Sandersona. Nie masz pojęcia, jaka ogarnęła mnie euforia, gdy wszedłem i złożyłem swoją rezygnację na biurku Talbota. Przyznaję, jeszcze przyjemniej było słuchać jego protestów — od razu zaproponował mi cały etat i ciekawszą pracę, lecz ja przynajmniej raz potrafiłem postawić na swoim. Sanderson uważa, że postradałem rozum, pakując się w interes w takim czasie (tak samo nasze mamy), i rzeczywiście to jest ryzyko. Z drugiej strony stwierdziłem, że nie mam wiele do stracenia, a mogę coś zyskać. Już zdobyłem dwa kolejne zlecenia — jedno od faceta, który przejeżdżał w zeszłym tygodniu obok naszego domu i zatrzymał się, by zapytać, kto projektował nam werandę. (Mieszka w Shaughessy, zbywa mu trochę gotówki). Drugiego klienta nagrali mi ludzie ze złomowiska, skąd biorę większość szkła. Postanowiłem rozpocząć skromnie i trzymać się małej skali — wyłącznie jednoosobowe biuro. Wykombinowałem sobie, że w przyszłym roku będziesz mogła prowadzić księgowość i korespondencję,

na razie zajmuję się tym sam. Znalazłem tani jak barszcz lokal na biuro przy Mountain Highway — tylko jedno zapuszczone pomieszczenie, ale poczekaj, aż zobaczysz je po metamorfozie!

Finansowo wspiera mnie — tylko nie spadnij z krzesła — Greg. Twój syn Greg. Z miejsca zapalił się do pomysłu, skonstatował, że czas, abym przestał być kreślarką za pół darmo, i oświadczył, iż ma w banku trochę pieniędzy, które chciałby zainwestować! „Ile?“, zapytałem. „Niecico ponad dwa tysiące“, odparł. Udałem zaskoczenie. Przyznaję, nie przyparłem go do muru i nie zapytałem, skąd wytrzasnął tyle forsy, a i on nie kwapił się z wyjaśnieniami; najpierw obydwaj podskakiwaliśmy jak para bokserów, lecz potem zawarliśmy umowę prawną przy Sue jako naszym świadku. Nawiasem mówiąc, Sue twierdzi, że przyjmuje się u nas werandowe szaleństwo, ponieważ ludzie czują się ograniczeni, w sensie politycznym oraz duchowym, przez przestrzeń, do jakiej wtoczyło ich społeczeństwo. Uczciliśmy transakcję szampanem — już druga butelka w tym tygodniu — i próbowaliśmy zadzwonić do Ciebie (z automatu) z dobrą nowiną, ale Cię nie zastaliśmy. Zaraz zajmę się rachunkiem telefonicznym.

Będzie mi brakowało regularnego przyływu gotówki, jednak już za dwa lub trzy miesiące powinniśmy doczekać się zysków. Tymczasem wynająłem nasz pokój w suterenie Sue, którą wskutek jakiegoś bezdusznego nakazu wywłaszczenia w sobotę wyrzucili na bruk, co daje nam niewielki dodatkowy dochód plus domowe sprzątanie. Nie wątpię, że Twoja Jessica uznałaby ten układ za idealny przykład wyzysku kobiet przez mężczyzn, lecz niby dlaczego ludzie nie mieliby wykorzystywać swych umiejętności w charakterze takiego samego środka płatniczego jak gotówka?

Wspaniałe nowiny w związku w Winnipeg! Przyjadę zwarty i gotowy (w kurtce i watowanych spodniach). Jedno i drugie nadaje się do zrzucenia.

Kocham Cię Chas

PS: Kim, do diabła, są Jean i Norm?

PPS: Oczywiście, że jesteś dobra w pracy — nie mogę pojąć, dlaczego Cię to dziwi. Z tego, co słyszałem, komisje rządowe nie wymagają nadmiernego wyężdżania umysłu. Prawdopodobnie robisz dwa razy więcej, niż od Ciebie oczekują. Myślę, że ostatnią rzeczą, której pragniesz, jest członkostwo w tym interesie.

4 Old Town Lane Ottawa, Ontario 18 lutego

Drogi Chas,

RZUCIŁEŚ PRACĘ?

SUE MIESZKA W NASZYM DOMU?

Doprawdy, Chas, może i jestem kobietą wyzwoloną, raczej tak, oraz stosunkowo ufną, ale czy Ty nie masz dość rozumu, żeby sobie wyobrazić, jak obecność Sue w suterenie musi wyglądać w oczach obcych? Zwłaszcza tej utalentowanej przyszywaczki cekinów z naprzeciwka? (Boże, nie mam najmniejszej ochoty na jakiegokolwiek zobowiązania wobec niej, ale dobrze, napiszę parę słów). Nie życzę sobie, by ktokolwiek mieszkał u nas w suterenie, a poza tym, gdzie umieścisz swój stół kreślarski po moim powrocie do domu? Nie liczę na to, że zostanie w kuchni. A tak w ogóle, to gdzie jada Sue?

Jak mogłeś zrezygnować z pracy, nie omówiwszy najpierw ze mną tej kwestii? Kiedy wygaśnie mój kontrakt, będziemy pozbawieni dodatkowych dochodów w postaci mojej pensji. W Kolumbii Brytyjskiej praw-

nicy przymierają głodem, gdybyś o tym nie wiedział. Czy na werandach zarobisz dość pieniędzy, by posłać dwoje dzieci na drogę uniwersytety? W prowincji stojącej u progu recesji popyt na takie fanaberie jak werandy jest raczej ograniczony — może rynek już się nasycił? A Talbot Sanderson proponował Ci przyzwoity etat! Nie wiem, co myśleć, wiem jednak, że Twoje śmiałe i radosne założenie, iż będę mogła zajmować się księgowością oraz korespondencją doprowadziło mnie do szewskiej pasji. Wierz lub nie, ale uchodzę teraz za eksperta w swojej dziedzinie — prawie pracy w odniesieniu do kobiet, skutkach zmian konstytucyjnych, stosowaniu Karty Praw, uprawnieniach dzieci, by wymienić tylko kilka specjalności — i nie odnalazłam w sobie (ani nawet nie szukałam, jeśli chodzi o ścisłość) żadnych predyspozycji do prowadzenia ksiąg bądź sekretarzowania. A co z Sue, której talenty oraz poświęcenie wydają się bezgraniczne?

Cierpimy na niemożność porozumienia się, to oczywiste. Cieszę się, że zaplanowaliśmy wspólny pobyt w Winnipeg — mamy wiele do przedyskutowania.

Jock

PS: Bardzo dziwna ta sytuacja z Gregiem, skoro jednak tak otwarcie przyznaje się do pieniędzy, musiał zdobyć je legalnie, nie uważasz? Może jakaś szkolna nagroda? Dlaczego nie domagasz się odpowiedzi?

PPS: ZAŁATW SPRAWĘ Z TELEFONEM!

FAKS

18 LUTEGO

NIE UDAŁO MI SIĘ ZASTAĆ CIĘ POD TELEFONEM. DZIŚ RANO ZMARŁ GIL GROGAN. POGRZEB W PONIEDZIAŁEK.

CHAS

Czwartek

Chas...

Gil nie żyje! Nie mogę uwierzyć! Jestem wstrząśnięta i czuję się... sama nie wiem, bezsilna. Chcę przez to powiedzieć, że to takie nieprzewidziane, takie przypadkowe... wręcz niedorzeczne, jak gdyby życie nic nie znaczyło, jak gdyby człowiek nie był niczym więcej niż jakimś chrząszczem. Nie ma Gila! To wydaje się niemożliwe.

Próbowałam się z Tobą skontaktować natychmiast po otrzymaniu faksu, ale telefon jest nadal nieczynny. (Coraz bardziej zaprzyjaźniam się z tą nagraniem informacją).

Austin i ja musieliśmy pracować do późna, dlatego nie mogłeś mnie zastać. Austin nanosi jakieś poprawki dla George'a, który wyjechał na narty. Ostatnio George jest wprost przemiły, radzi się mnie w kwestiach prawnych i tak dalej — chyba źle go oceniłam.

W każdym razie po odebraniu wiadomości o Gilu byłam tak rozdygotana, że Austin zaproponował, bym wstąpiła do niego na drinka. Jaka byłam mu wdzięczna! Myśl o powrocie do mojego mikroskopijnego mieszkania napawała mnie lękiem.

Mieszka przy ulicy Bronson w starej rezydencji przekształconej w dwa ogromne i urocze apartamenty. Od Wzgórza dzieli go odległość spacerowa. Jego mieszkanie znajduje się na piętrze — ma wykusz z widokiem

na miasto, a przeszklone drzwi z tyłu budynku prowadzą na balkon wychodzący na rzekę Ottawę. Wnętrze jest umeblowane w raczej męskim stylu — odnoszę wrażenie, że w jego życiu nie ma kobiety, przynajmniej od jakiegoś czasu — przepastne skórzane fotele, podnóżki, regały z książkami zasłaniające ściany i potężne kolumny głośnikowe. Okazuje się, że on również nałogowo słucha Mozarta i ma to samo nagranie *Czterdziestej* co my.

Byłam w stanie pewnego odrętwienia, ale muzyka pomogła. Podobnie jak porządny łyk szkockiej.

— Przerazające, że to spotyka nas tak znienacka — odezwał się w końcu Austin. Miał na myśli śmierć.
— Wyskakuje niczym makabryczny diabeł z pudełka.

Kiwałam głową i wpatrywałam się w światła miasta.

— Myślisz o Gilu Groganie — zapytał — czy o śmierci? Na chwilę mnie zatkało.

— O śmierci — odparłam wreszcie, czując falę wstydu. — Pewnie brzmi to samolubnie?

— Nie, chyba że aspirujesz do świętości.

Mówił dalej, że istnieje teoria, wedle której zarówno wszystkie nasze mity, jak i nerwice stanowią mechanizmy zaprzeczania śmierci.

— Bardziej wysublimowane niż mechanizmy freudowskie — rzekłam i zapytałam, czy w to wierzy.

Wzruszył ramionami i odparł, że jego zdaniem jest to kolejny przypadek teorii słusznej i błędnej zarazem.

Potem spytałam o coś, co nurtowało mnie od chwili nadejścia Twojego faksu, a mianowicie, czy awantura z Vanem na przyjęciu mogła przyczynić się do śmierci Gila. Potrząsnął głową i orzekł, że szukam przyczyn. Jeśli można znaleźć gdzieś winę, rzecz nie wydaje się aż tak przypadkowa.

Jak sobie dajesz radę, kochany? Wiem, że przywiązałeś się do biednego staruszka Gila. Martwiłeś się po przyjęciu? Sądzisz, że tamten incydent mógł wywrzeć jakikolwiek wpływ na to nieszczęście?

Mój Boże, męczą mnie wyrzuty sumienia, że nie napisałam do niego kilku słów.

Znowu próbowałam się do Ciebie dodzwonić wczoraj wieczorem, zaraz po powrocie do domu, to znaczy o północy naszego czasu, ale telefon nie działał. Cały dzień będę na przesłuchaniach, wyślę więc ten list, a może Ty zadzwonisz w najbliższy weekend? Niestety, nie zdołam przyjechać na pogrzeb. W poniedziałek rano wyruszamy do Winnipeg.

Niecierpliwie wyczekuję naszego miłosnego sam na sam. Bardzo go potrzebujemy.

Uściski Jock

Sweet Cedar Drive 29

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

23 lutego

Droga Jock,

oczywiście, rozumiem, że nie mogłaś przybyć na pogrzeb Gila. Skarbie, nie możesz się obwiniać. Jesteś uwiązana (czego nie da się uniknąć, gdy ktoś poświęca życie biurokracji), zatem przestań się zadręczać. Zresztą, co to ma za znaczenie? Z biednego, starego Gila została już wówczas tylko urna z prochami, więc i tak nie dowiedziałby się, czy przyjechałaś, czy nie.

I naturalnie śmierć Gila nie miała żadnego związku z tamtym ciosem w szczękę. (À propos, tydzień temu Vance przesłał Gilowi wymijający liścik z przeprosinami, bardzo dżentelmeński, bardzo westmountowski: „Obawiam się, że trochę mnie poniosło itd.”). Nie, staruszek umarł z powodu pooperacyjnej niewydolności serca, a tego nie mógł przewidzieć nikt, może z wyjątkiem samego Gila, który zostawił mi krótki list pożegnalny.

Przepraszam, że tak ostro na Ciebie napadłem w rozmowie telefonicznej ! W tej samej minucie, kiedy wygłosiłem wszystkie te brednie o priorytetach, wartościach i tak dalej, miałem ochotę je odwołać — nawiasem mówiąc, to dla mnie dowód, że listy są lepszym środkiem porozumiewania się niż rozmowy telefoniczne, bardziej refleksyjnym, oszczędniejszym, w jakiś sposób szlachetniejszym. Dlatego piszę na adres hotelu Westin, gdzie zobaczymy się w czwartek wieczorem.

Jakąż smętną tworzyliśmy procesję — tylko córka Gila z Kalifornii, dwóch lub trzech zaprzyjaźnionych mruków z Klubu Vancouver oraz nasza rodzina wraz z Sue Landis i obiema matkami. Oczywiście padał deszcz. Oczywiście wiatr wiał jak wściekły. Pastor ciągnął monotonna o odpuszczeniu grzechów, mimo że, o ile się orientuję, jedyną winą Gila była jego zbytnia ufność w system wolnej przedsiębiorczości. Zakończyliśmy pochód przy krypcie, drżącymi głosami śpiewając *Rock of Ages*. Później, po powrocie do domu, smutek nieco osłabł. W swym liście pożegnalnym — musiał mieć przecucie przed zabiegiem — Gil zapisał mi zawartość swej piwniczki z winami, a także pozostawił czek na pokaźną sumę za projekt przebudowy, jaki dla niego sporządziłem, a który, niestety, nigdy już nie doczeka się realizacji.

Dom został wystawiony na sprzedaż — córce z Kalifornii wyraźnie zależy na jak najszybszym „upłynieniu” wszystkiego — wczoraj cały dzień snuli się tam ludzie. Boże, będzie tak cicho bez odwiedzin tego starego wariata.

Kiedy zadzwoniłem do Daviny z wyjaśnieniami, dlaczego nie przyjdę na zajęcia, zasugerowała, bym spróbował przelać część myśli na papier i właśnie tej czynności oddaję się dziś wieczorem, a przynajmniej podejmuję taki wysiłek. Jednak z jakiegoś powodu nie mogę się skoncentrować. Chciałem napisać kilka wzniosłych wersów, prostą elegię dla przyjaciela, a robi się z tego jakieś długie, maniackalne wierszydło o tym, do czego ostatecznie sprowadza się ludzkie życie — do garstki znajomych sterczących w deszczu i usiłujących odśpiewać hymn, którego śpiewać się nie da. (Spróbuj, jeśli mi nie wierzysz).

A tak przy okazji, sądziłem, że będziesz zadowolona z obecności Sue w naszym domu. Przydadzą się nam pieniądze z najmu, a poza tym znowu powróciliśmy do świeżych warzyw po miesiącach jądania mrożonych kolb kukurydzy oraz wszelkich możliwych wariantów dań z bakłazana. Może powinienem wytłumaczyć, że Sue ulokowała się u nas jedynie tymczasowo. Nie brakuje mieszkań do wynajęcia, ale utrzymują się wysokie ceny, toteż ciężko jej związać koniec z końcem, póki nie odzyska swojej posady.

Szczerze powiedziawszy, cieszę się jak diabli, że będzie tu, kiedy ja wyjadę do Winnipeg, byłem bowiem w kropce, co zrobić z Mią. Twoja matka oświadczyła, że wzięłaby ją do siebie z przyjemnością, tylko że akurat odbywa się u niej wielki turniej brydżowy, miałem zaś poważne wątpliwości, czy to dobry pomysł posłać ją do mojej matki, która twierdzi, że nie może sobie wyobrazić, dlaczego, u licha, chcę jechać do Halifaxu w środku zimy. Z każdym dniem bardziej płaczą się jej myśli, a po co narażać Mię na jej mętny tok rozumowania. Finsteadowie zaproponowali Mii spędzenie weekendu u nich, lecz ona z niewiadomego powodu zaczęła się

wykręcać i oświadczyła, że wolałaby zostać w domu. Oczywiście nie mogłem liczyć na Grega, bo on kontynuuje swe nocne eskapady. Obecność Sue nagle rozwiązała wszystkie problemy, a Mia dogaduje się z nią znakomicie.

Każdą wolną minutę poświęcam na doprowadzenie do porządku nowego biura przy Mountain Highway. Oficjalnego otwarcia mamy dokonać od dziś za tydzień — tylko kilkoro przyjaciół i potencjalnych klientów. Davina podsunęła fantastyczną nazwę: Słoneczny Punkt. Co o tym myślisz? Przetransportowałem już mój stół kreślarski, więc nie musisz się dłużej martwić, że będzie zagracał Twoją kuchnię. Nigdy nie zamierzałem zmuszać Cię do odwalania pańszczyzny w tym interesie, chociaż uważam, że przydałoby się Twoje doświadczenie prawnicze, ponieważ większość inwestorów musi uzyskać od miasta pozwolenie na każdy rodzaj rozbudowy. Przepuściłem parę setek na wydrukowanie plakatów — tylko rysunek piórkciem z podpisem: „Należy ci się miejsce w słońcu”. Bardzo lebskie, jak sądzę. Spodziewamy się szerokiego odzewu.

Moje myśli nieustannie kierują się ku Winnipeg. Jeszcze tylko cztery dni. Wiesz, jak długo trwa ten czas celibatu? Tak, wiesz na pewno. Spodobał mi się twój żart o abstynencji, która roznieca gorętsze uczucia, myślę jednak, że mieliśmy jej aż nadto. Na razie.

Chas

PS: Jeśli „Capilano Review” odrzuci mój wiersz *Pożegnanie z Gilem*, może uderzę do „New Yorkera”.

Sweet Cedar Drive 29

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

1 marca — niedziela po południu

Droga Jock,

cóż, zdaje się, że dotarliśmy do mrocznej strony duszy, o której tyle się dzisiaj mówi. (Davina nazwałaby takie sformułowanie niedopuszczalnym frazesem, czy nie zauważyłaś jednak, że wszystkie rzeczy warte powiedzenia wydają się przybierać formę banału? Na przykład „komunikacyjna przepaść”, „konflikt ról”, „rozdroże życia”, „kres wędrówki” itd., itp.)

No dobrze, niech stanie na „niechęci do przyznania, że oddaliśmy się (czy raczej oddaliliśmy się) od siebie, a wszystko z powodu tej przeklętej pracy w Ottawie, do której zostaliśmy zmuszeni”. Nie, skreśl wszystko powyższe i powróć do „mrocznej strony duszy”.

Właściwie, jeśli mam być szczery, mroki duszy są niczym w porównaniu z mrokami Portage i Main, gdzie czekałem bez końca w czwartkowy wieczór po próbie (nieudanej) przekonania durnego kierownika hotelu Westin, że nie jestem co prawda członkiem Komisji, natomiast jestem, i owszem, legalnym małżonkiem posiadającym prawa do zajęcia pokoju zarezerwowanego na Twoje nazwisko. Zresztą znasz cały skandaliczny scenariusz i jego kosztowne zakończenie. Sto dwadzieścia dolarów wyrzucone w błoto. Plus cena biletu lotniczego.

A potem niezliczone ćwierćdolarówki, które wrzucałem do automatów telefonicznych, usiłując dowiedzieć się, gdzie, do diabła, jesteś. Kiedy wreszcie dodzwoniłem się i usłyszałem, że wróciłaś z Winnipeg do Ottawy, wprost osłupiałem. A jedynym powodem było ogłoszenie przez premiera wyborów! Jezu, Jock, co ta polityczna karuzela ma wspólnego z naszym życiem prywatnym? Boże, gdzie podziła się Twoja zdolność

rozdzielania spraw pierwszorzędnej wagi? Przecież wiedziałaś, że przyjeżdżam w czwartek. Zaplanowaliśmy to dwa tygodnie temu. Tylko Ty i ja zaszyliśmy w hotelu Westin, pamiętasz? (Twoje własne słowa). Mieliśmy spędzić razem trochę czasu, załagodzić niesnaski, zrzucić pasy cnoty, spróbować przywrócić naszemu życiu właściwy kurs, może nawet pośmiać się trochę i odprężyć — Bóg jeden wie, że potrzebuję wytchnienia po kilku ostatnich miesiącach matkowania i ojcowania jednocześnie oraz po stresie związanym ze śmiercią Gila, w którą, nawiasem mówiąc, jeszcze tak do końca nie wierzę.

Opowiedziałem Ci już o moim koszmarnym piątku w Winnipeg, nie będę więc ponownie zanudzał Cię drobiazgową relacją. Pozwól tylko zauważyć, że lutowy spacer ulicami metropolii (przy minus 39 stopniach Celsjusza), po których hula wiatr, jedynie w połowie ostudził mój gniew. Przemykając główną arterią, usiłowałem wykonać kilka ćwiczeń medytacyjnych, których uczyła mnie Sue. (W domu raczej skutkuj aj myślałem, że zaczynają się wrzody, tymczasem żołądek się uspokaja). Jednak filozofia Wschodu i porywiste wiatry (niosące dziwne, podobne do żwiru drobinki lodu i ziemi) są najwidoczniej niekompatybilne. Śnieg zacinający na szerokiej Portage Avenue wydawał się zdradą. Ludzie okutani szalikami wydawali się zdradą. Galeria Sztuki w Winnipeg, promująca nieskrępowany niemiecki ekspresjonizm, wydawała się zdradą. Klientom tłoczącym się w The Bay na „przedwiosennej wyprzedaży” pisana była zdrada. Jedyną przyzwoitą księgarnię w mieście zamknięto z powodu inwentaryzacji — kolejna zdrada. Zdrada wyzierała z chińskiego dania, które wyjadałem łyżką w kafeterii Notre Dame, a jeszcze jedna zdrada czyhała na mnie w Marlboro, gdzie wstąpiłem na rozgrzewającą filiżankę kawy.

Jedyna spokojna chwila w ciągu całego dnia nadeszła, gdy usiadłem w miękkim, obrotowym fotelu w planetarium, obserwując symulowaną podróż na Marsa, w środku której z nie wyjaśnionych powodów zasnąłem. Ale nie na długo. Dziewczyna o zagniewanej twarzy, ubrana w niebieski uniform szturchnęła mnie w ramię i spytała, czy coś mi dolega.

„Owszem, dolega”, odparłem zgodnie z prawdą, a następnie powlokłem się z powrotem do mojego pokoju za osiemdziesiąt dolarów (przynajmniej był wygodny), żeby zgrzytać zębami i miotać wściekłe spojrzenia. (Sue wychowała się w Winnipeg i uwielbia to miasto; myślałem, że i ja je polubię).

Zanim wróciłaś w sobotę do Winnipeg — kompletnie nie mogłem pojąć, dlaczego fatygowałaś się taki kawał drogi dla jednej mało znaczącej nocy — nie byłem już w stanie normalnie funkcjonować, o czym sama się przekonałaś. Byłem natomiast lekko pijany i więcej niż lekko rozsierdzony. Co jeszcze? A tak, oniemiałem na lotnisku, widząc, jak idziesz niepewnie w tych fioletowych botkach, a następnie muskasz wargami stary, posiniały męzowski policzek.

Możesz sobie teraz wyobrazić, jak się czułem? Otóż jak zidiociały męzulek, który został obdarzony kilkoma minutami cennego (i płatnego) czasu swojej żony. Być może oczekiwałaś, że będę drżał z wdzięczności, lecz ja nie byłem już zdolny do drżenia. W gruncie rzeczy nie byłem już zdolny do niczego, o czym wkrótce przekonałaś się na własnej skórze. A to Twoje powitanie: „Wyglądasz okropnie”... Chryste, to nie są słowa, od których w duszy gra... albo od których zaczynają grać hormony.

Wysyłam ten list pocztą kurierską, ponieważ wiem, że najwyższy czas wlać trochę oleju do naszych skołowanych głów i powiedzieć: pieprzyć Komisję i pieprzyć ten interes z życiem na dwóch przeciwnych koń-

cach Kanady. Na litość boską, znaleźliśmy się na pieprzonej drodze do katastrofy, a stawką są tutaj dwoje dzieci oraz ponad dwadzieścia spędzonych razem lat.

Chas

PS: I pieprzyć fioletowe kozaczki.

4 Old Town Lane Ottawa, Ontario 4 marca

Kochany Chas,

nie mam Ci za złe Twojej furii. Spędzić samotnie cały piątek i niemal całą sobotę w mieście, gdzie temperatura waha się w okolicach minus czterdziestu stopni, Fahrenheita oraz Celsjusza... Niech diabli wezmą te cholerne tanie przeloty i brak możliwości zwrotu biletów! Ostatecznie gdybyś zapłacił normalną cenę i mógł odwołać rezerwację, kosztowałoby to mniej niż kupowanie przeze mnie pełnego biletu, żeby spędzić jedną noc w Winnipeg.

Jest mi naprawdę przykro. Kto mógł przewidzieć, że premier wybierze akurat luty na ogłoszenie wyborów? Oraz że Van wpadnie w nedorzeczną panikę, przerwie przesłuchania i zaciągnie nas w czwartek z powrotem do Ottawy? I tak kipiał ze złości, dowiedziawszy się, że powodem, dla którego nie mogę pracować w sobotę, jest wyjazd do Winnipeg.

A wszystko po to, by przeżyć kolejną seksualną porażkę! Nie sędzę, bym w jakikolwiek sposób mogła jej zaradzić. Pamiętam te opowiadania fantastycznonaukowe, w których ziemia dostawała się w obszar negatywnych wibracji przestrzeni kosmicznej, a wtedy iloraz inteligencji wszystkich jej mieszkańców wzrastał (czy malał?). Czuję się tak, jak gdyby moje życie właśnie teraz znalazło się w strefie złych wibracji, nie chodzi tylko o relacje między nami, ale ogólnie. W Komisji panuje ogromne napięcie, wszystko zależy bowiem od tego, czy Van obejmie przewodnictwo Partii Liberalnej, czy nie. (Jest uważany za guru kampanii wyborczej, lecz jeśli nie zrezygnuje z pracy w Komisji, nie będzie mógł wziąć udziału w wyborach).

Wpada na przesłuchania roztargniony z półgodzinnym spóźnieniem, słucha raportów jednym uchem, wtrącając od czasu do czasu obcesowo „dalej” albo „do rzeczy, na miłość boską, do rzeczy!”. Pewna kobieta była tak roztrzęsiona, że aż upuściła okulary. Stłukły się, nie potrafiła bez nich przeczytać ani słowa i rozplakała się. Jessica zerwała się na równe nogi i ryknęła w obecności wszystkich:

— Jezu święty, Vance, zapracuj na swoją pensję, na rany Boga!

Po czym zamasyżuje zeszła z podium, poklepała kobietę po ramieniu, wróciła na swoje miejsce z raportem i zaczęła odczytywać go na głos bardzo powoli, „wymawiając każde słowo tak, jakby obracała w ustach marmurową kulkę”, jak mawiał stary Witherspoon z kółka dramatycznego.

Stało się to przykrym schematem. Van ponagla nas podczas przesłuchań, potem Jessica — nie muszę chyba dodawać — robi mu na złość, przeskakując bez końca z tematu na temat. Kiedy kończymy, Van wylatuje z pokoju Komisji jak strzała i pędzi (dosłownie) do swego biura, pod które napływa stale potok grubych ryb z Partii Liberalnej, czekających na spotkanie i najwyraźniej święcie przekonanych, że bez Vana ich ugrupowanie przepadnie w wyborach.

Kolejną rzeczą spędzającą mi sen z powiek jest nadzieja George'a na nominację na członka Komisji w wypadku odejścia Vana, na którego stanowisko awansowaliby Austin albo Jessica. Jak już wspomniałam, ro-

zeżliłabym się wtedy nie na żarty. Ostatecznie jestem tu od początku, a kwalifikacje George'a nie umywają się do moich. Magisterium z angielskiego i pisanie przemówień politycznych nie może przecież być porównywane z ukończeniem studiów prawniczych oraz specjalistyczną wiedzą z dziedziny będącej przedmiotem badań, jak uważasz? Powiedz szczerze — czy chodzi o to, że ich zdaniem nie sprostim obowiązkom?

Kiedy napomknęłam Jessice, że byłabym zainteresowana nominacją, rzekła tylko:

— Chryste, Jock, wybij to sobie z głowy. Spełnili obowiązek, wybierając mnie. Po co, do cholery, szowinistyczny męski establishment miałby mianować dwie baby?

Niemniej, dla zasady, działa przeciw George'owi, przypuszczam więc, że w jej opinii mogłabym się nadać.

Zwracam uwagę, że sama Jessica wcale nie jest tak zupełnie niezainteresowana. Widzi siebie w roli przewodniczącej, lecz ma groźnego przeciwnika w osobie Austina, który faktycznie byłby lepszy. Nie jest zaangażowany w sprawę całym sercem, tak jak Jess, myślę jednak, że odrobina dystansu nie zaszkodzi, a poza tym Austin nadałby temu stanowisku godność, której nie ma w sobie Jess. Przypuszczam, że tak czy owak powinienam popierać Jessicę w imię feminizmu. Dyskryminacja mężczyzn?

Austin jako jedyny wydaje się niewzruszony. Pilnuje własnych spraw, lecz kiedy zapytałam go bez ogródek, przyznał, że ambicja jest dla niego równie potężną siłą napędową, a władza równie kuszącym celem, jak dla każdego innego człowieka. On po prostu stara się trzymać swoje demony na wodzy, ponieważ istnieje większe prawdopodobieństwo, że w końcu prędzej zniszczą tego, w kim tkwią, niż go wynagrodzą. („Spytaj państwa Macbethów, jeśli mi nie wierzysz”. Austin).

To jedyna osoba, z którą nadal łączy mnie dawne koleżeństwo — oczywiście bardzo lubię Jessicę, lecz jest obecnie tak bliska osiągnięcia punktu wrzenia, że wszyscy schodzą jej z drogi. Oto przykład: kiedy Jean zwierzyła się, że zawód pomocy stomatologicznej nie daje jej tego poczucia spełnienia, na jakie liczyła, Jessica tak na nią wsiadła, że biedna Jean nie ma teraz śmiałości zrezygnować.

Chciałabym być podobna do Austina, ale nie mogę. Znalezienie się w składzie Komisji byłoby naprawdę ekscytujące. I nie chodzi wyłącznie o głód władzy, gdyby coś takiego przyszło Ci do głowy. Często zastanawiam się nad pytaniami, które miałabym ochotę zadać stojącym przed nami ludziami, oraz nad sprawami, na które pragnęłabym położyć nacisk w raporcie. Wreszcie zaczęliśmy koncentrować się na czynnikach utrudniających kobietom dostęp do sal konferencyjnych (chyba że chodzi o ich sprzątanie), a ja sądzę, że być może odkryłam przyczyniającą się do takiego stanu rzeczy niesprawiedliwość w systemie podatkowym. Gdy zwróciłam na to uwagę, Vana zatkało na całe dwie minuty.

Gdybym jednak została mianowana, wiem już, że oznaczałoby to więcej czasu spędzonego z dala od domu i oczywiście tym się gryzę. Z drugiej strony, mielibyśmy więcej pieniędzy na odwiedziny w wolne dni i... do diabła, sama nie wiem. Nic nie poradzę, że ten awans mnie nęci. Mimo spustoszeń, jakie mógłby poczynić w naszym związku. A w zasadzie już poczynił.

Wiem, jak mocno się gniewasz, Chas, i mam nadzieję, że rozumiesz, jaką odczuwam bezradność. Kocham mój dom i tęsknię za nim. Kocham też dzieci, tego nie trzeba przecież dodawać (cieszę się bardzo, że Mia chce przyjechać na ferie). Kiedy znowu będziemy wszyscy razem, rany zagoją się same. Prawda? I może koniec końców będziemy sobie nawet bliżsi niż przedtem. Może nasze indywidualne „blizny” połączą się w jedną

wielką, spajającą nas, nierozzerwalną gumową taśmę. Po czteroletniej rozłące mama i tato musieli zaczynać wszystko od nowa, bazując na zaufaniu — chyba stać nas na to samo po zaledwie dziesięciu miesiącach separacji? Zresztą zaufanie to nie jedyna rzecz, jaką mamy. Na naszą korzyść przemawia wspólna przeszłość, przecież nie zmieniliśmy się na tyle, by wymazać dwadzieścia lat szczęścia.

Brakuje mi słów. Na razie nie potrafię wyrazić nic więcej.

Jeśli przypadkiem zaproponują mi jednak członkostwo w Komisji, obiecuję Ci przynajmniej tydzień tylko we dwoje, zanim przyjmę to stanowisko. Jeżeli się zdecyduję, będziemy mogli sobie pozwolić na spędzenie z dziećmi Bożego Narodzenia na Hawajach.

Och, nie mogę się doczekać odwiedzin Mii!

Ucałowania Jock

PS: Kocham Cię, lecz zarazem czuję się wewnętrznie rozdarta. Tak, to rzeczywiście mroczna strona duszy.

PPS: Przepraszam za niewybredny dowcip o podwójnym ryglowaniu drzwi do sutereny, póki mieszka tam Sue, ale doprawdy, Chas, jak możesz być tak naiwny? Niech ona się wyprowadzi, i tak mamy dość kłopotów.

PPPS: Drobnym przykładem, by dać Ci wyobrażenie, do czego pchnęła nas rywalizacja — wczoraj przed Komisją zjawiała się kobieta, która przeanalizowała, grosz po groszu, na co wydała pieniądze wypłacone jej przez opiekę społeczną. Chciała w ten sposób wykazać, dlaczego będzie musiała przechodzić całą zimę bez kozaków. George nachylił się do mnie i szepnął: „Oddaj jej swoje fioletowe ostrogi, Jock. Nie przydadzą ci się w Vancouverze”.

Sweet Cedar Drive 29

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

6 marca

Droga Jock,

siedzę na werandzie i trzęsę się z niedowierzania. Być może odczuwasz w Ottawie siłę wibracji. Lada chwila popękają szyby. Całe to piękne przeszklenie.

Powiedz mi coś, Jock — czy ty czytasz listy, które do Ciebie pisuję, czy każesz swojej sekretarce odkładać je do segregatora w nie rozklejonych kopertach? (Pod literą M jak „mąż”? Albo pod B jak „były mąż”?) W okolicach 1 marca nadałem do Ciebie pilną wiadomość, wiadomość wyrwaną, jak to się mówi, prosto z serca. Gdybyś zadała sobie trud, by ją przeczytać, zorientowałabyś się, czym jest w istocie: błaganiem o natychmiastowe skończenie z tym idiotyzmem celibatu i próbę powrotu do wspólnego życia.

Tymczasem co się dzieje? Dzisiaj przychodzi od Ciebie list — nadal nie chce mi się w to wierzyć — w którym beztrząsco szczebioczesz o zajęciu miejsca w Komisji i pobycie w Ottawie przez kolejny rok! Chryste Panie! Aha, jest jeszcze ochłap rzucony staremu, biednemu, siedzącemu w domu Chasowi: obietnica wspólnego tygodnia, tylko Ty i on. (Chas zastanawia się, gdzie tym razem proponujesz spędzić te siedem dni rozpusty, w Swift Current? Byleby nie kolidowało to z kalendarzem zajęć Komisji). Nie, Jock, nie da się mnie kupić za tydzień rozkoszy. To nie wystarczy.

Co do świąt na Hawajach, ach, jakże wielkodusznie sfinansowanych przez naszą damę z Ottawy — dziękuję, nie skorzystam. Odmawiam. Robi mi się niedobrze na samą myśl o tym. Tutaj zawsze spędzaliśmy Boże Narodzenie. Tutaj znajduje się dom, który kupiliśmy (Ty i ja) po to, by mieć gdzie obchodzić tradycyjne święta oraz czcić nasze własne rodzinne uroczystości. Tutaj i razem. Pamiętasz, co to znaczy razem? Zatem, na litość boską, powiedz Vance'owi albo Jessice, George'owi bądź

Austinowi, komukolwiek, kto jest za te sprawy odpowiedzialny, że Twój kontrakt wygasa i wracasz do domu.

Chas

PS: Tak, wiem, jak zapatrujesz się na obecność Sue w suterenie, ale kto inny będzie miał oko na dzieci w czasie, gdy ja będę urzędował przy Mountain Highway? Poza tym nie mogę tak po prostu wygnać jej na ulicę, zwłaszcza teraz, gdy mieszka z nią jej córeczka Molly. (Tylko tymczasowo). Zdaje się, że eksmałżonka z wyspy zatrzymano za jakąś hecę z narkotykami. Sue twierdzi, że on nie jest typem kryminalisty, tylko fujarą. Nawiasem mówiąc, Mia traktuje Molly jak siostrzyczkę, o której zawsze marzyła, uczy ją jeździć na swoim rowerze i tak dalej — i spędza dużo mniej czasu na przesiadywaniu u Finsteadów, gdzie wdychała trujące opary Laury Ashley.

PPS: Nie powiedziałaś dotąd, co myślisz o reklamie Słonecznego Punktu.

Sweet Cedar Drive 29

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

7 marca

Droga Jock,

tylko kilka skreślonych w pośpiechu słów. W południe mam spotkanie z potencjalnym klientem z firmy British Properties. Powinienem Cię chyba uprzedzić, że możesz dostać od Grega dziwny list albo telefon. To wszystko burza w szklance wody. Szczegóły przedstawię później. On zawsze był w gorącej wodzie kąpany i trochę przewrażliwiony. Wiem, że potraktujesz te rewelacje z przymrużeniem oka.

Pozdrawiam Chas

PAN CHARLES SELBY, 29 SWEET CEDAR DRIVE, PÓŁNOCNY VANCOUVER, KOLUMBIA BRYTYJSKA

9 MARCA

JAKA BURZA W SZKLANCIE WODY? JESTEM CHORA ZE MARTWIENIA. CZY GREG MA KŁOPOTY? ZADZWOŃ JUTRO O DZIEWIĄTEJ MOJEGO CZASU I PODAJ SZCZEGÓŁY.

JOCK

Sweet Cedar Drive 29

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

10 marca

Droga Jock,

dostałem Twoją wiadomość kurierską i przepraszam, że trzymałem Cię w niepewności, sądziłem jednak, że Greg do Ciebie napisze. Tak czy inaczej, nie potrafiłbym rozprawić o tym zajściu przez telefon, stąd ten nadzwyczajny list.

Chcę, żebyś dokładnie wiedziała, co wydarzyło się tamtego wieczoru i nie wyciągała pochopnie oskarżeń wniosków, na wypadek gdyby Greg jednak się z Tobą skontaktował. Jak mawiała Twoja matka (a może moja), lepiej uchylić okno choćby na cal, gdy zaczyna się robić duszno. Mnie nie brakuje tchu, chciałbym po prostu mieć jasną sytuację, a wiem, że Ty również.

Oto więc cała historia w skrócie. Davina — pamiętasz Davinę? — zadzwoniła w zeszłą niedzielę po południu, mówiąc, że ma dla mnie dobrą i złą wiadomość. Dobra wiadomość jest taka, że z wielkim entuzjazmem przyjęła mój wiersz *Pożegnanie z Gilem* i ma zamiar wysłać go do „Writer's Quaterly”, bo, jak twierdzi, to odpowiednie miejsce, żeby się „pokazać”, a poza tym zna tam redaktora. (Polityka poezji nie przestaje mnie szokować).

Złą wiadomością jest zwolnienie Daviny przez Cap College. Czy też, ujmując rzecz delikatniej, poinformowanie jej, że prowadzone przez nią zajęcia z kreatywnego pisania nie znajdą się w ofercie na przyszły rok. Wygląda na to, że jeden ze słuchaczy z naszej grupy, nie potrafiący współżyć z ludźmi kretyn (a zarazem drobny gangster i skończony prostak), imieniem Stan, złożył skargę u przewodniczącego wydziału, wytykając, że kurs jest chaotyczny i pełni funkcję sesji terapeutycznej dla niezrównoważonej młodzieży i mężczyzn w wieku menopauzalnym (zgadnij, o kim mowa?) Te zarzuty nie miałyby żadnego znaczenia, gdyby nie fakt, że kiedy poproszono Davinę o wyjaśnienie metodyki prowadzenia zajęć, wyzywała przewodniczącego od gnojków o grubym tyłku, co doprowadziło do wycofania kursu z programu, przynajmniej na przyszły rok.

Żeby podnieść ją na duchu — a siebie przy okazji też — zapytałem, czy nie miałyby ochoty pójść na kolację do Fishnetu. W domu było zimno (znowu piec) i cicho. Sue i Molly pojechały na weekend na wyspę, Mia wybrała się na narty z Finsteadami, natomiast Greg „wyszedł”, jak zwykle. W tej sytuacji towarzyska kolacja w Fishnecie wydawała się całkiem dobrym pomysłem i czułem, że przynajmniej tyle powinienem zrobić dla Daviny.

Zapomniałem, oczywiście, jakie tłumy ściągają tam w niedzielne wieczory (pamiętasz, kelnerzy upychają człowieka w tym ciasnym, wilgotnym barze przemytników, poganiając w międzyczasie klientelę, pałaszującą steki z miecznika za trzydzieści dolarów). Nim zwolnił się dla nas stolik, zrobiło się wpół do dziesiątej i mimo tak późnej pory utknęliśmy w ciemnym kącie za akwarium z homarami. Dotąd Davina była dość opanowana. Nie wiem, co się stało — może zawiniły trzy kolejne koktajle Morska Głębina, które wypłała, albo złowieszcze gulgotanie homarów (olbrzymów), lecz kiedy tylko posadzono nas przy stoliku, załamała się, wylewając potoki łez i donośnie szlochając. (Chwała Bogu, że słyszały to tylko homary).

Musisz wiedzieć, że po 31 maja tego roku Davina zostaje bez jakichkolwiek środków do życia. Co z honorariami, zapytasz. Rzecz w tym, że książki przynoszą jej rocznie około 40 dolarów, to wszystko. Nawet

gdyby zdecydowała się zaprzedać duszę jakiejś podrzędnej pracy badawczej, ubiegłoby ją czterech lub pięciu innych kandydatów. Kelnerowanie też odpada, bo jak powiedziała Davina, sapiąc przy tym i pryskając śliną, takie perełki trafiają się młodszym i atrakcyjniejszym kobietom. Mogłaby starać się o stypendium z Canada Council, ale niestety napisała do nich w zeszłym roku i oświadczyła, że ma ich gdzieś (po tym, jak odrzucili propozycję nagrania haiku do śpiewu wielorybów). Oto poważna kanadyjska poetka na półmetku życia, która idzie na zasiłek dla bezrobotnych. Nic dziwnego, że wypłakiwała oczy.

Znasz mój stosunek do płaczących kobiet. Opuchnięte powieki, trzęsąca się broda i plamy na szyi jakoś mnie nie zachwycają. Przyznaję jednak, że w tamten niedzielny wieczór ogarnęło mnie współczucie. Świat wydawał się wyjątkowo okrutny, zwłaszcza widziany przez mgielkę koktajlu na rumie, i to, co zrobiłem potem, było instynktowne. Wziąłem jej dłoń w swoją i pocałowałem. To nie był, podkreślam, pocałunek erotyczny. Po prostu sposób — jedyny, jaki przyszedł mi do głowy — okazania drugiemu człowiekowi, że wiem, jak parzywie się czuje. Czy wyszedłbym na wariata, mówiąc, że uczyniłem gest macierzyński?

W tym właśnie momencie podniosłem wzrok i ujrzałem kelnera stojącego cierpliwie przy stoliku z notesem w ręku. Jak już wspomniałem, siedzieliśmy w nadzwyczaj ciemnym i ciasnym kącie restauracji, toteż minęła dobra chwila, nim sobie uświadomiłem, że tym kelnerem jest Greg. Nasz syn Greg. We własnej osobie. Zdobyłem się jedynie na pytanie:

— Co ty tu, do diabła, robisz?

— A co, do diabła, ty tu robisz? — odpowiedział pytaniem i obrzucił Davinę długim, zimnym, całkowicie zgorszonym spojrzeniem.

Schwyciłem go za nadgarstek i zacząłem mamrotać na swoje usprawiedliwienie coś o pracy Daviny, o tym, jak próbuję ją wesprzeć radą co do planów na przyszłość i tak dalej, lecz on wyrwał rękę i błyskawicznie zniknął w kuchni. Czekaliśmy pół godziny, ale — nie muszę chyba dodawać — nie wrócił.

Od tamtej pory staram się przed nim wytłumaczyć.

— Nie chcę o tym rozmawiać — ucina.

Od zeszłej niedzieli nie zjadł w domu ani jednego posiłku (choć wraca na noc, słyszę jak przychodzi około drugiej).

Przynajmniej wyjaśniła się jedna tajemnica — gdzie podziewa się w nocy. Najwyraźniej od zeszłego października obskakuje stoliki w Fishnecie. Gdy opuszczaliśmy restaurację — Davina stwierdziła, że w gruncie rzeczy nie jest głodna — zasięgnąłem języka u hostessy.

— Fantastyczny z niego kelner — rzekła, trzepocząc rzęsami. — Doprawdy uroczy.

Ładne mi uroczy!

Nie potrafię zrozumieć, dlaczego nie pisał ani słowa o tej pracy. Od miesięcy nie mogę zasnąć i hoduje mój zaczątek wrzodu, wyobrażając sobie koszmary o gangach narkotykowych. Spytałem go nawet o powód, lecz on widocznie uparł się utrzymywać między nami chłodne (oskarżycielskie) milczenie. Wyobrażam sobie, co mu się roi w głowie. Mam świadomość, jak to musiało wyglądać. Intymna, późna kolacja i ten mój idiotyczny całus w rękę. A przecież wszystko można tak łatwo wyjaśnić — gdyby tylko dał mi choć pół szansy.

Cóż, lepiej na tym poprzestaną, bo inaczej pomyślisz, że opanowało mnie gadulstwo wywołane poczućciem winy. Co nie jest prawdą. Stanowczo nie.

Jeśli w ogóle męczą mnie jakieś wyrzuty sumienia, to z powodu zrobienia użytku z pamięci o starym Gilu — zdumiewające, jak bardzo mi go brakuje! — i uczynienia z niej poetyckiej strawy. Mam zamiar zadzwonić jutro do Daviny i poprosić, by nie wysyłała wiersza do tego kwartalnika. Odnoszę wrażenie, że dzięki temu poczuję się człowiekiem trochę przyzwoitszym i odrobinę mniej sprzedajnym.

Napisz, proszę, a jeśli odezwie się Greg, co prawdopodobnie nie nastąpi, będziesz przynajmniej znała prawdę.

Pozdrawiam Chas

PS: Nie zdobyłem zlecenia w British Properties. Klient już miał podpisywać umowę, gdy jego żona wystrzeliła: „Wolałabym raczej żaglówkę”.

Ottawa, 13 marca

Dobry Boże, Chas! Czy to naprawdę wszystko? Pocałunek w rękę? Och, Chas, jaka to ulga, że chodziło tylko o pocałunek w rękę! Nie wyobrażasz sobie, co przeszłam, ale mniejsza o to. Znowu zaczynam normalnie oddychać. Czekałam na Twój telefon w poniedziałek, spędziłam bezsenność, a wyobrażenia podsuwała mi rozmaite obrazy, od wypadków samochodowych do wpadek z dziewczynami (nie wierzyłam, że może chodzić o narkotyki). A potem tylko tajemnicza informacja: „Nie mogę rozmawiać o tym przez telefon” i cały dzień okropnego oczekiwania. A to tylko pocałunek w rękę! (Czytając o schadzce za akwarium z homarami, śmiałam się tak bardzo — możesz nazwać to histerią, jeśli chcesz — że Jessica omal udało się wyrwać mi list z ręki).

Wczoraj wieczorem przy obiedzie ja sama o mały włos nie zostałam pocałowana w rękę (albo równoważną część ciała). Zgadnij przez kogo? Przez George'a. Tak, George'a od niedawnych tyrad. Zaprosił mnie na obiad, powiedział, że ma mi coś ważnego do zakomunikowania i wyznał, że zaniepokoił go chłód, z jakim ostatnio go traktowałam. Ma także nadzieję, że jesteśmy przyjaciółmi, zastanawiał się, co takiego zrobił itd., itp. Podobno w końcu zorientował się, kiedy Jessica mu oznajmiła: „Całe to twoje kombinowanie nie pomoże ci wejść do Komisji, chyba że po moim trupie!”

Najgorsze, że mówił szczerze, a ja poczułam się jak głupia, gorzej — jak ambitna, szurnięta intrygantka. Dlaczego to zawsze kobiety mają trudności ze snuciem ambitnych intryg lub co najmniej akceptowaniem siebie w tej roli? George twierdzi, że jeśli chodzi o kwalifikacje, nie może się ze mną równać, podziwia moje umiejętności i — nagle zmieniając temat — spytał, czy wiem, jaką jestem atrakcyjną kobietą?

No cóż, skoro spytał... już dawno nie miałam okazji się o tym przekonać. (Ostatnio było to szczególnie trudne). Przyznaję, że przez te wszystkie słodkie słówka i butelkę wina szumiało mi nieco w głowie, a to, razem z poczuciem winy za posądzenie go o zamysły, które nie przyszły mu nawet na myśl, mogło doprowadzić... tam, gdzie czasami takie rzeczy prowadzą. Mówię bez ładu i składu, drogi Chas, ale to tylko dlatego, że chcę ci powiedzieć, iż zdaję sobie sprawę, jak przypadkowo i niewinnie można czasem pocałować kogoś w rękę. Ale, obiektywnie rzecz biorąc, rozumiem również, dlaczego wytrąciło to Grega z równowagi. Nie dość, że matka bryka samotnie *sans* męskiej opieki w Ottawie, tym siedlisku grzechu, to jeszcze ojciec urządza orgie w naszej arkadii. Wystarczy, żeby zniszczyć życie dzieciom.

Chyba odkryłam, dlaczego Greg nie powiedział Ci, że dostał pracę. Wiesz, jaki on zawsze był wrażliwy. Wydaje mi się, że być może czuł się skrępowany, bo to on pracuje, a nie Ty. Rozczuliła mnie jego decyzja o

wyłożeniu własnych, ciężko zarobionych pieniędzy na Twój Słoneczny Punkt (to dobra nazwa), ponieważ uważał, że Sanderson Cię wykorzystuje. Pamiętasz, jaki był wzburzony Twoim podaniem o pracę? Nie przejmuj się, napisałam do niego.

Jeśli chodzi o mnie, trochę się martwiłam (pomiędzy kryzysami wywołanymi całowaniem ręki) swoją przyszłością w Komisji (wiem, że to nie jest Twój ulubiony temat). Parę dni temu długo rozmawiałam o tym z Vanem. Właściwie zaczęło się od czego innego. Piliśmy razem kawę i on zapytał o tę zgrabną tancerkę, która tak prowokacyjnie zabawiała nas na przyjęciu.

— To Marjorie. To ona przyszywała cekiny do kostiumu baletowego Mii. Chas mówi, że przyszyła ich z tysiąc.

Potem uczyniłam cierpką uwagę (nic dziwnego, czułam się rozgoryczona po tym, co usłyszałam o Sue i innych rzeczach, o których nie będę wspominać) na temat tego, pod jaką dobrą opiekę się dostałaś.

— Jak jestem w domu — rzekłam — to ja przyszywam cekiny, sprzątam i płacę rachunki. I jeszcze pracuję w swoim zawodzie! (Przepraszam za to ostatnie).

— W którym spisasz się doskonale — powiedział.

Napęczniałam z dumy, choć oczywiście krygowałam się, mówiąc, że nim dotrę do Vancouveru, już o mnie zapomną.

— Sława przemija — rzekł tylko Van, a potem zapytał o tę wspaniałą rudą dziewczynę, która tak cudownie zaspokoila przynajmniej niektóre jego potrzeby. — Jak się nazywa?

Dotknął czulego miejsca.

— Sue — odparłam. A potem krzyknęłam (mówiłam Ci, że byłam wytrącona z równowagi): — Ma się dobrze! Bardzo dobrze! Nic dziwnego, mieszka u nas w domu!

— *Mon Dieu* — powiedział na to Van. — To dopiero odwaga! Chylę kapelusz... a nawet wszystkie kapelusze... przed twoim mężem.

Wpadłam w szal.

— Nie jest tak, jak myślisz, ty... ty *roué*! — wrzasnęłam. — Sue wyrzucono z mieszkania, sprząta u nas w zamian za pokój.

Uśmiechnął się i powiedział:

— Tak, tak. Stara zasada, pokój za sprzątanie. Ale jeśli wierzysz w to, moja droga, to czemu tak się denerwujesz? To wygląda na całkiem rozsądne rozwiązanie, zwłaszcza że jeszcze jakieś dwa dni temu martwiłaś się o dzieci.

— To wcale nie jest rozsądne! Czy Chas nie wie, jak to wygląda? Sam widzisz, co ci od razu przyszło do głowy!

— Ale ja, moja droga, jak sama twierdzisz, jestem *roué*. To najtrudniejsza rola w życiu, ale ktoś musi ją grać. I ma swoje plusy.

— Nie wyobrażam sobie, jak twoja żona może coś takiego tolerować.

— To całkiem proste. Ona ma swoje konie, a ja dziewczyny — choć dla różnych celów, przynajmniej taką mam nadzieję. Dzieci są w szkole w Szwajcarii, gdzie przez dziesięć miesięcy w roku mają dobrą opiekę. A kiedy się pojawiają, staramy się zapewnić sobie fachową pomoc.

— I sumienie nigdy cię nie gryzie? — warknęłam. Było mi już wszystko jedno.

— Sumienie mam pod kontrolą i nie zamierzam się zmienić. Choć, gdybym mógł zacząć od nowa, chyba nie chciałbym być *roué*. To bywa wyczerpujące i zostawia mało czasu na inne, może bardziej... wzniosłe zainteresowania. Ale możliwe, że ty, Jock, się zmienisz.

Zanim miałam okazję prosić o wyjaśnienie, do czego zmierza, spytał, czy podoba mi się praca w Komisji. Powiedziałam mu, że cieszę się każdą chwilą i że w całej mojej prawniczej karierze nie miałam takiego poczucia spełnienia jak teraz. A może nawet w całym życiu! (To prawda, Chas. Moje obecne zajęcia mają większą wagę niż załatwianie spraw rozwodowych czy spisywanie umów sprzedaży nieruchomości, co robiłam w Vancouverze).

Van powiedział, że jeśli zdecydowałby się wycofać z Komisji, poleci mnie i wierzy, że jego rekomendacja zostanie przyjęta.

— Ale to by znaczyło — dodał — co najmniej następne pół roku lub nawet rok w Ottawie.

Przez chwilę czułam się ogromnie podekscytowana tą wizją, ale potem przyszło opamiętanie. Przypomniałam mu, i sobie, że mieszkam w Vancouverze.

— Vancouver to cudowne miasto — rzekł — ale na mój gust trochę zbyt wilgotne. Wątpię, żeby dzieci ciężko przeżyłyby przeprowadzkę. Jest też praca dla architektów, jeśli chciałabyś sprowadzić męża.

— Naturalnie, że chciałabym go sprowadzić, dlaczego w ogóle pytasz?

— Wydaje mi się nieprawdopodobne, że ktoś chciałby poświęcić własną wolność... i to zupełnie niepotrzebnie. Catherine niemal nigdy tu nie przyjeżdża. Choć naturalnie Montreal nie jest tak daleko jak Vancouver — westchnął.

Powiedziałam mu, że nie sądzę, abym chciała wyprowadzić się z Vancouveru. (Naturalnie, ja też kocham Vancouver. Mam na myśli tylko czasową przeprowadzkę).

— Sama widzisz — powiedział Van. — Postawiłem pokusę i oświecenie na twojej drodze, a ty odrzuciłaś jedno i drugie.

— Pokusę. Nie zauważyłam oświecenia.

— Ono przychodzi dopiero, kiedy wiesz, czego byś chciała.

Obydwoje wstaliśmy, żeby wyjść, kiedy nagle Van odwrócił się i rzekł tajemniczo:

— Nie jestem specjalistą od ludzkich słabości, Jock, ale nie trzeba być bardzo spostrzegawczym, by zauważyć, że sprawa jest bardziej skomplikowana, niż ci się wydaje. Jak powiedziałem, możesz znaleźć oświecenie, ale też możesz go nie znaleźć.

Facet mówi zagadkami. Co z tego rozumiesz? Naprawdę podnieciła mnie ta oferta pracy. Choć nie mogę jej przyjąć. A może mogę?

Całuję Cię Jock

PS: Ucałuj obie ręce Daviny, jeśli chcesz, ale Sue zostaw w spokoju.

PPS: Austin mówi, że powinieneś wysłać wiersz do publikacji. Powiedział, że hołdem dla pamięci Gila jest to, że napisałeś ten wiersz.

PPPS: ZAPŁAĆ ZA TELEFON!

29 Sweet Cedar Drive

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

20 marca

Droga Jock,

pół roku w Ottawie! To skandal! Co ten Pierce kombinuje? Dzięki Bogu dałaś mu odprawę.

Dziś tylko krótko. Zaraz jadę na złomowisko po szkło, a potem do Daviny pomóc jej zamontować półki na książki. Cieszę się, że nie jesteś wstrząśnięta przypadkowym (bardzo przypadkowym) całusem w rękę.

Gregowi bardzo podobała się książka, którą mu przysłałaś, i natychmiast zauważył autograf. Urodziny się udały, choć trudno uwierzyć, że skończył już osiemnaście lat. Sue upiekła dla niego wspaniałe ciasto i choć raz dała spokój marchwi.

Jestem strasznie zajęty, pracując jednocześnie w biurze i przy promocjach. Nie miałem nawet chwili czasu na dopracowanie nowego wiersza.

Pozdrowienia Chas

PS: Mia trzy razy spakowała się i rozpakowała. Zadzwoń, kiedy wsadzę ją do samolotu.

PPS: Cieszę się, że postawiłaś jasno sprawę z Pierce'em. Bawić się w oświecenie i pokusę, to doprawdy już za dużo! Na Twoim miejscu nie rozmawiałbym z nim więcej na ten temat.

PPPS: W tym tygodniu pojadę do telekomunikacji i załatwię sprawę telefonu. Mii grozi wyklęcie przez koleżanki.

4 Old Town Lane Ottawa, Ontario 29 marca

Drogi Chas,

jak to dobrze mieć tutaj Mię! Sporządziłyśmy kilometrowy spis tego, co mamy zrobić. Nie wiem, czy uda się to wszystko wcisnąć w jeden nędzny tydzień. Mia ogromnie cieszy się na planowane zakupy w Montrealu (pojechałybyśmy pociągiem rano i wróciły wieczorem). Jutro wycieczka do parlamentu. Co za radość!

Dziś idziemy na obiad do Austina — ciekawe, czy on umie też gotować? — a jutro do George'a. Dzięki Bogu obecność Mii sprawia, że nie myślę tylko o tej cholernej Komisji. Van musi wkrótce podjąć decyzję. Kampania wyborcza rozkręca się na dobre i najwyraźniej nie mogą dłużej zwlekać z wyznaczeniem przewodniczącego. Cieszę się, że Gregowi podobała się książka i że masz dużo pracy. Napiszę, jak tylko znajdę wolną chwilę.

Mia przysyła całusy. Pozdrów Laurie, jeśli ją spotkasz.

Jock

Następnego dnia

Nareszcie! Van, jak mawiał Greg, ruszył makówką i podjął decyzję: nie przyjmuje stanowiska przewodniczącego kampanii. Co za ulga! Teraz, kiedy wszystko zostało wyjaśnione, zastanawiam się, dlaczego wydawało mi się, że chcę wejść w skład Komisji. Czy to tylko próżność? Możliwe, ale mam już to wszystko za sobą i nie pozostał nawet *un petit mot de regret. Au contraire!*

29 Sweet Cedar Drive Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

2 kwietnia

Droga Jock,

dzięki Bogu wrócił Ci rozum i porzuciłaś myśl o pracy w Komisji. Nawet gdyby się udało, nie jestem pewien, czy ułożyłaby Ci się współpraca z tymi dziwakami. Z listu Mii zgaduję, że nie przypadł jej do gustu Twój słodki senator. Gnida, tak go nazwała. Allan Fotheringham chyba podziela jej zdanie. Czy czytałeś jego ostatni artykuł? Przyszło mi na myśl, że ten fragment „miesiące miodowe i srebra stołowe” jest przykładem wyjątkowo celnego dziennikarstwa, choć akapit na temat Jessiki Slattery jest zbyt okrutny, szczególnie dowcip o sercu jak pusta stodoła. Nie wątpię, że ona potrafi przyjąć cios w szczękę... o ile pamiętam, nieco okrągłą i rumianą, ze śladami zarostu. Austin Grey to chyba jedyny, którego mała akceptuje, a przynajmniej uważa, że jest nieszkodliwy. Czy to pedał? Chyba o niczym takim nie wspominałaś.

À propos, możliwe, że masz rację w sprawie Grega. Odkąd wydało się, że pracuje, chodzi trochę mniej ponury. Nie wiem, co napisałaś mu w liście, ale chyba przekonałaś go, że incydent z Daviną był zupełnie niewinny.

Molly bardzo tęskni za Mią. Sue ma kłopoty z usypianiem małej. Mia zazwyczaj czytała jej na dobranoc, a teraz nie ma kto tego robić.

Muszę lecieć. Całuję Was obie

Chas

4 Old Town Lane Ottawa, Ontario 7 kwietnia

Drogi Chas,

och, jaka jestem samotna! Kiedy Mia wyjeżdżała, chciałam rzucić wszystko i wsiąść z nią do samolotu. Ale (zawsze praktyczna) zdałam sobie sprawę, że nagłośnienie „ucieczki doradcy prawnego senatora” nie pomogłoby mojej karierze (przynajmniej prawniczej). Ani nie poprawiłoby mojego życiorysu, który — biorąc pod uwagę Twój pomysł na zapewnienie sobie klienteli i uwzględniając nadmiar prawników pracujących zimą jako instruktorzy jazdy na nartach — koniecznie będzie potrzebował uatrakcyjnienia.

Możliwość porozmawiania z Tobą przez telefon oszołomiła mnie, ale musimy powrócić do zwyczajnych znaczków pocztowych. Nie wiem, czyja teraz kolej, lecz jestem zbyt samotna, by się licytować. Cudownie było mieć tu Mię. Dni płynęły szybko, a cóż to za frajda robić to wszystko, co robi matka z córką: kupować letnie ciuchy, snuć plany na przyszły rok, plotkować o Finsteadach. Odnoszę wrażenie, że Mia przeżywa rozczarowanie, ale nie chce się do tego przyznać. Boi się stracić bliski kontakt z Laurie Finstead, więc stara się nie widzieć tego, czego nie może nie zauważyć; przypomina to nieco odkochywanie się i żal z powodu kończącej się miłości. Rozmawialiśmy nieco o staraniach Marjorie, „by zawsze było miło”. „Czy sądzisz, mamusiu, że to ważne? Pani Finstead mówi, że mężczyzna powinien z przyjemnością myśleć o powrocie wieczorem do domu i że żony i matki muszą troszczyć się, żeby dom i cała reszta były przyjemne i... atrakcyjne, żeby naprawdę miał ochotę wracać”.

Czy Marjorie wita swojego starego Gusa w drzwiach domu owinięta w folię spożywczą? Powiedziałam jej tylko, że z tym bywa różnie... w niektórych rodzinach panują układy jak między panem i służącym, jedna

osoba pracuje, aby zadowolić drugą, ale są też małżeństwa partnerskie, w których liczy się przede wszystkim wymiana myśli i uczuć.

Mia to przemyślała i powiedziała, że pan Finstead jest nieco nudny, nie taki fajny jak tato, więc może pani Finstead musi więcej nad tym popracować. A potem zawahała się, więc zgadłam, że coś jej leży na sercu. Zapytałam, co się stało.

— Kiedy idę do nich, on zawsze klepie mnie po pupie i mówi, że robi się ze mnie śliczna klaczka. — Szybko wyrzuciła to z siebie i, nie patrząc na mnie, zaczęła bawić się zapięciem zegarka.

Wściekłam się.

— Powiedz mu, że nie lubisz być klepana po tyłku — warknęłam.

Zmartwiła się i powiedziała, że nie może tego zrobić.

— Dlaczego nie? — spytałam. — W końcu to twoja pupa. — Zdałam sobie sprawę, że przesadzam, więc trochę się uspokoiłam i powiedziałam: — No tak, rozumiem, że nie byłoby to łatwe, skoro jesteście takimi przyjaciółkami z Laurie. Na twoim miejscu postarałabym się go unikać.

— Próbuję — odparła — ale wygląda na to, że jak tam jestem, to on zawsze mnie znajdzie.

Zasugerowałam, żeby zapraszała Laurie do nas, ale zdaje się, że pani Finstead uważa, iż dziewczynki nie powinny spędzać za dużo czasu w domu, gdzie nie ma kobiety, która mogłaby mieć je na oku.

— Naturalnie u nas często bywa Sue, ale pani Finstead mówi, że ona się nie liczy, bo to tylko sprzątaczką. Powiedziałam jej, że Sue jest naprawdę bystra i chodzi na zajęcia do Simona Frasera, ale ona stwierdziła, że nie zaprasza się do domu tych samych osób, które wynajmuje się do sprzątania.

— Odnoszę wrażenie, że ona jest troszkę snobką, Mio — rzekłam. Spokojnie. (Całkowicie opanowana).

— Wiem, ale ma też trochę racji, prawda? Chciałam powiedzieć, że pewnie nie życzyłabyś sobie, żeby Sue jadła z nami wszystkie posiłki, choć tatusiowi wcale to nie przeszkadza.

Dzieci nie kłamią... Cios prosto w serce. Chyba rzeczywiście na chwilę oślepił mnie splendor i zaszczyt udzielania się w Komisji. Musiało być to widoczne, skoro Mia zauważyła.

Odczekałam chwilę, aż odzyskam poczucie godności, i odparłam, że staram się oceniać ludzi na podstawie tego, czy mogłabym odwzajemnić ich przyjaźń, i że jeśli o mnie chodzi, Sue wygląda na osobę, którą mogłabym polubić. (Naprawdę tak myślę. Choć nie w charakterze mieszkanki piwnicy — czy załatwiłeś już tę sprawę?)

Ku mojemu zdumieniu Mia i Austin przypadli sobie do gustu. Miło z jego strony, że zaprosił nas na obiad. Jakby nie miał dość innych zalet, jest jeszcze świetnym kucharzem. Wieczór u George'ów był niezbyt udany. Mia niezłe bawiła się z ich dziećmi, ale Ester i George musieli się posprzeczać. Przypominasz sobie, jak człowiek doskonale się czuje, kiedy gospodarze się kłócą? Pamiętasz, jak Tiny Wiglow wylała zupę Jasperowi na kolana? (On się uganiał za tą blond seksbombą, którą przyprowadził Gary jak mu tam, i Tiny powiedziała, że to mu pomoże utrzymać ręce przy sobie). W każdym razie tutaj była podobna sytuacja co u Wiglowów, tylko w mniejszej skali. Ester cały czas mówiła o George'u Pudding'n Pie. Georgie Porgie*, rozumiesz? Rzuciła nawet: „Całował dziewczyny, a one płakały. Ale nie winię za to dziewcząt”. Naturalnie George nie przepada za przezwiskiem Pudding'n Pie (prawdę mówiąc trochę schudł). Muszę przyznać, że wolność seksualna w mał-

żeństwie jest bardzo ryzykowna. (George wyznał mi, że ich związek jest oparty na tej właśnie zasadzie. Zdecydowali o tym już dawno, w latach sześćdziesiątych po obejrzeniu filmu *Bob, Carol, Ted i Alice*).

* Georgie Porgie — przezwisko nadane królowi Anglii Jerzemu III, znanemu z rozpustnego stylu życia, do czego zresztą jest aluzja w cytacie „całował dziewczyny...”, pochodzącym z prześmiewczego wierszyka na temat monarchy. Pudding'h Pie pochodzi z tego samego wiersza.

Nawet Jessica stała się nieco swobodniejsza i razem z Mią poszliśmy kilka razy do domu dla kobiet. Naszej córce nawet się tam podobało, nie dość, że dzieciaki, to jeszcze kobiety na pełnym luzie. Ku mojemu zdziwieniu Mia i Jean niemal się zaprzyjaźniły (Jean zna najnowsze powiedzonka i jest na bieżąco z zespołami rockowymi) i musiałam zdecydowanie odmówić zgody na ich wspólne, z Normem, nocne wyjście do miasta.

Biedna Mia, w takim pośrednim wieku, ni to dziecko, ni kobieta. Absolutne piekło. Stary mózg, zalewany hormonami, każe ciału robić jedyną rzecz, której nauczyła go natura: rozmnażać się. Biedny nowy mózg, mający własne plany, musi mu się przeciwstawić, choć nie ma dosyć siły. Parę dni temu Jean mówiła mi, że kiedy była w wieku Mii, czuła się, jakby ktoś inny nią dyrygował, i robiła rzeczy, których wcale nie chciała robić. Ktokolwiek nią kierował, nie miał nic wspólnego z dziewczynką, którą była przedtem, ani z kobietą, którą stała się po urodzeniu Tricii. Powiedziała, że bardzo nie lubi przypominać sobie tamtych czasów, ponieważ to było straszne. „Coś nadprzyrodzonego. Jakby duch prowadzący samochód”. Podejrzewam, że o tym właśnie mówi większość mitów, na przykład ten o Adamie i Ewie, choć interpretacja skupia się raczej na mężczyźnie, na ciemnej stronie jego natury zniewolonej przez machinacje uwodzicielskiej kusicielki. (Cóż w tym nowego?)

A teraz przyszła kolej na Mię. Bardzo za nią tęsknię. Kiedy samolot odleciał, o mało się nie rozplakałam.

Od łzawego wieczoru wybawił mnie Austin. Poszliśmy razem na obiad, co ogromnie podniosło mnie na duchu. Austin bardzo Cię chwalił. (Mia dała mu Twój wiersz z „Capilano Review”. Cieszę się, że to zrobiła, bo ja nie mogłam znaleźć swojego egzemplarza). Uważa, że masz umiejętność sięgania w głąb siebie i wyboru właściwego słowa. Mówi, że odpowiednie słowo w wierszu jest jak grudka złota w głębi ziemi, a poeta albo na nie natrafi, albo nie. Powiedziałam, że to kwestia szczęścia lub pecha, ale nie zgodził się ze mną. Uważa poezję za koło ratunkowe, twierdzi, że w życiu każdego z nas przychodzi taki moment, kiedy jest ona jedynym sposobem dotknięcia i pogodzenia się z ukrytą i nie znaną nam głębią uczuć. Na przykład, gdy budzi się nowa miłość lub doznajemy głębokiego smutku.

Mam nadzieję, Chas, że w Twoim wypadku o to nie chodzi?

Całuję Cię Jock

PS: Czy Mama na serio wybiera się tutaj? Nie mam pojęcia, co miałyby robić, kiedy ja będę na przesłuchaniach, a nie mogę zaplanować sobie rozkładu zajęć. Jeśli potrafisz, postaraj się jej to wyperswadować.

PPS: Mógłbyś mieć oko na Mię, kiedy będzie udawała się z wizytą do łaskawych sąsiadów? Upewnij się, czy Marjorie jest w domu.

PPPS: Kiedy zapytałam Jess, czy Austin jest gejem, wybuchła: „Co to ma, do cholery, za znaczenie? To nie twoja pieprzona sprawa”.

29 Sweet Cedar Drive

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

14 kwietnia

Droga Jock,

chciałem do Ciebie napisać, jak tylko Mia wróci z Ottawy (naprawdę brakowało mi naszych listów), ale w domu mieliśmy prawdziwą operę mydlaną (jeszcze trwa).

Wszystko zaczęło się w ubiegły piątek rano, kiedy siedzieliśmy szczęśliwie w kuchni, ciesząc się późnym śniadaniem i wielkopostnymi bułeczkami (z wyjątkiem Mii, która już zdążyła pobiec do Finsteadów na domowej produkcji dżem jeżynowy z wielkopostnymi bułeczkami własnego wypieku). Ze względu na Wielki Piątek, Słoneczny Punkt był zamknięty, tak samo zresztą jak szkoły. Błogi spokój został jednak zakłócony okrutnym waleniem w drzwi od strony ogrodu. Kiedy otworzyliśmy, naszym oczom ukazała się Marjorie Finstead w stanie hysterii, w towarzystwie wystraszonych Laurie i Mii. Wyobraź sobie: nieuczesane włosy, szlafrok, gumki — Marjorie wyglądała, jakby uciekła z balu przebierańców. I do tego na przemian krzyczała i szlochała.

Na szczęście była Sue. Udało się jej wygonić dziewczynki z kuchni do salonu i skłonić Marjorie, by usiadła i napiła się herbaty z liści malin, która — jak twierdzi — uspokaja nerwy. (Spróbuj. Świetnie zrobiła mi na wrzody).

Mimo to minęła dłuższa chwila, zanim Marjorie była w stanie wydusić z siebie coś poza:

— Nienawidzę go. Nie przypuszczałam, że kiedyś to powiem. Nienawidzę go!

— Kogo nienawidzisz? — spytałem. Wówczas to pytanie wydawało mi się sensowne.

— Pewnie męża — zgadła Sue.

Wtedy Marjorie przestała płakać i na pół minuty się opanowała.

— Nigdy nie pozwolę, żeby ten facet mnie dotknął — powiedziała.

Gus? Nie mogłem uwierzyć, że mówi o starym, poczciwym Gusie.

— Nie masz na myśli Gusa? — spytałem. Z jakiegoś powodu rozwścieczyło ją to.

— Zniszczył mi życie — jęczała. — Zawsze wiedziałam, że to potwór, a teraz wie o tym cały świat!

Znasz moje zdanie na temat Gusa, ja znam Twoje. Pewnie, że iloraz inteligencji ma nie wyższy niż szczenię i potrafi straszliwie nudzić, rozprawiając o dobrze wyprofilowanych adidasach, butach narciarskich przyjaznych dla użytkownika, japońskich samochodach i tanich nasionach traw. Ale żeby zaraz potwór?

— Może i nie potwór — powiedziała Marjorie, kiedy się uspokoiła — ale jest obrzydliwy, obrzydliwy!

Prosiłem, żeby podała konkrety. Co takiego Gus zrobił? Dał jej w szczękę? (Nie było żadnych siniaków). Ale tego nie zdradziła (do tej pory). To znaczy mi nie zdradziła. Podejrzewam, że Sue powiedziała o wiele więcej. Z jakiegoś powodu pożałowano mi szczegółów. Może myślą, że zemdleję albo rzucę się na niego z siekierą. Szepczą, robią aluzje, ale zbrodnia Gusa, cokolwiek to było, pozostaje tajemnicą. Wygląda na to, że kobiety zawiązały spisek, zmawiają się i zwierzają sobie. Nie rozumiem tego i czuję się odsunięty.

Zwłaszcza że to przecież do naszego domu wprowadziła się Marjorie (naturalnie tymczasowo). Razem z Laurie zajęła pokój gościnny. Mówi, że tylko dopóki się nie pozbiera i nie zorientuje, jakie jest najlepsze wyjście. Sue znalazła jej dobrą prawniczkę, która była tu już kilka razy na rozmowie z Marjorie (w salonie, przy drzwiach zamkniętych), i ta prawniczka twierdzi, że Marjorie powinna odczekać jakiś tydzień czy dwa, zanim zadecyduje, czy chce wszcząć postępowanie (przeciw Gusowi?). Mogę tylko podejrzewać, że Gus latał za kobietami, jak to się mówiło, albo że wyszły na jaw jakieś jego dziwne, całkowicie niestosowne upodobania seksualne.

Co gorsza, Gus zaczął się czaić. Cały czas czyha za żywoplotem z cedrów i obserwuje nasze drzwi, patrząc, kto przychodzi i wychodzi. Marjorie jest strasznie nerwowa i musimy zamykać wszystkie drzwi i okna.

— Cześć, Gus — powiedziałem mu w niedzielę wielkanocną, kiedy wyjeżdżałem tyłem z podjazdu na ulicę. Stał mi na drodze.

— Chciałbym porozmawiać z żoną — szepnął, wcale nie wyglądając złowieszczo.

Co mogłem powiedzieć biedaczkowi?

— Jej prawnik się z tobą skontaktuje — odparłem uprzejmie i poczułem się jak świnia.

Wyglądał na nieszkodliwego faceta, obłupionego ze wszystkiego, co posiadał.

— Powiedz jej, że zwróciłem się po fachową pomoc — powiedział, zanim z powrotem znikł w krzakach.

Przekazałem wiadomość Marjorie, ale to tylko spowodowało nowy wybuch płaczu. Jak widzisz, jest roztrzęsiona i przez jakiś czas będzie potrzebowała przyjacielskiego oraz sąsiedzkiego wsparcia. Wydaje mi się, że jedyne, co możemy zrobić dla Marjorie, to zapewnić dach nad głową jej i córce. Ale są dobre strony: Mia ogromnie się cieszy, że ma „siostrę” i w zeszłym tygodniu razem z Laurie i Molly świetnie się bawiły, robiąc pisanki.

Nasze matki, które przyszły na świąteczny obiad obładowane szynkami, plackami i sałatkami, zareagowały różnie. Twoja, natychmiast dopuszczona do żeńskiej ligi, powiedziała: „Biedna kobieta, dużo przeszła”.

Jednak moja uznała te tymczasowe rozwiązania za nierozsądne i groźne. „Jest mnóstwo hoteli, w których mogła się zatrzymać”, prychnęła. Nie jest też zachwycona obecnością Sue i Molly, choć przedstawiłem jej zalety bezpłatnego sprzątnięcia i świeżych warzyw i wytłumaczyłem, że mieszka u nas tylko chwilowo. (Sue dowiedziała się właśnie o niedrogim mieszkaniu, choć właściciel nie należy do entuzjastów dzieci i sceptycznie odnosi się do wynajmowania lokalu samotnym matkom).

Muszę powiedzieć, że rano przed łazienką zbiera się tłumek, ale ja wstaję wcześniej, aby być w Słonecznym Punkcie o ósmej. Dostałem następne zlecenie. Nieduże, tylko oszklenie balkonu, ale próbujemy wymyślić coś oryginalnego. Projekt dla Sandersona jest już mocno zaawansowany i zapowiada się pięknie. I tak powinno być, za dwadzieścia pięć tysięcy! Jeśli tempo napływania zleceń się utrzyma, będę w stanie spłacić Gregowi pożyczkę jeszcze przed końcem lata. (Wspomina o wyjeździe na uniwersytet jesienią).

Na mnie już czas. Muszę zrobić zakupy spożywcze. Dwa wózki!

Bużka Chas

PS: „Writer's Quarterly” przyjął do druku *Pożegnanie z Gilem*. Zwróć uwagę, jak spokojnie to przyjmuję. PPS: Natknąłem się na wczesny wiersz Austina:

Moja dłoń, tak opanowana dotyka twej twarzy, włosów, potem zrzuca wiązy w ciemnym źródle.

To nie brzmi po gejowsku.

4 Old Town Lane Ottawa, Ontario 21 kwietnia

Drogi Chas,

dobry Boże, niech was policzę! Troje tych, którzy są na swoim miejscu: Ty, Greg i Mia; mieszkanki sutereny: Sue i Molly; oraz Marjorie i Laurie Finstead. Siedmioro! W domu, który wydawał się za mały na cztery osoby? I, jak zauważył George, kiedy mu o tym wspomniałam, to same kobiety, z wyjątkiem Ciebie i Grega.

À propos George'a. Tak jak przypuszczałam, kryzys małżeński. Zdaje się, że Esther ma romans z genialnym elektronikiem, dojeżdżającym do pracy w Krzemowej Dolinie (spotkali się, kiedy sprzedawała mu mały domek w Rockcliffe). George mówi, że pomimo decyzji o swobodzie seksualnej w ich małżeństwie nie potrafi opanować gniewu. Podobno gniew jest jego odwiecznym problemem, boryka się z nim jeszcze od czasów, kiedy był młodym gniewnym, ale potem napisał tę powieść i wydawało mu się, że raz na zawsze pozbył się kłopotu. Teraz bardzo cierpi, ponieważ Esther zakochała się w tym gadającym komputerze, jak go określił. Brak mu serca i Esther mocno się rozczaruje. George twierdzi więc, że cierpi za siebie i za nią. (Czy można być tak szlachetnym?)

Powiedziałam George'owi, że nie potrafiłabym zaakceptować swobody seksualnej w małżeństwie. Byłabym zbyt zazdrosna i miała zbyt wielkie poczucie winy, aby się z tym dobrze czuć.

George wyglądał, jakby go to rozbawiło. Wziął mnie za rękę i powiedział, że Ty, Chas, jesteś szczęśliwym facetem i ma nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę. Wyrwałam mu dłoń i odparłam, że raczej jesteś tego świadom. (Nie martw się, George potrzebuje tylko współczującego słuchacza).

Spytałam go, czy któraś z jego kochanek coś dla niego znaczyła. Na to jego oczy jakby się zaszklily i odparł, że pomimo swobody w tej dziedzinie, on nigdy naprawdę z niej nie korzystał. Stwierdził, że zgadza się ze mną: człowiekowi powinno zależeć na jednej osobie, a dla niego liczy się tylko Ester. Wyglądał przy tym tak żałośnie, że w końcu pocieszająco poklepałam go po rękę. (Poklepałam, nie całowałam).

To ciekawe, co piszesz o Finsteadach. Zastanawiam się, czy to ma coś wspólnego z klepaniem Mii po pupie? A jeśli tak, to może ktoś powinien raczej zająć się Mią, a nie Marjorie? Czy przypadkiem Sue nie pracowała z dziećmi molestowanymi seksualnie? Mógłbyś to sprawdzić.

Całusy Jock

PS: Ostrzeżenie. Wczoraj w nocy obudziło ranie delikatne pukanie do drzwi. Zeszłam po omacku na dół i okazało się, że to Jean, Norm i Tricia, w kurtkach narciarskich i kozakach, a za nimi na chodniku błyszczał motocykl z nową przyczepą. Weszli chyłkiem, poczekali, aż zamknę drzwi na klucz, i dopiero wtedy Norm rzekł: „Nie dajemy rady. Spylamy”. Jean głośnym, scenicznym szeptem dodała: „Widzisz, stomatologia jest strasznie ciężka, a poza tym... nie bardzo przypadła mi do gustu. Przekaż Jess, że jest mi przykro i że dziękuję za to, co dla mnie zrobiła. Obiecuję, że napiszę do niej, kiedy przyjedziemy do Vancouveru”.

Uścisnęłam ją, a Norm powiedział: „Wiesz co, moglibyśmy wpaść do twojego starego. Możemy mu coś przekazać”. Przepraszam Cię za to. Może uda ci się napuścić na nich Sue.

29 Sweet Cedar Drive

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

28 kwietnia

Droga Jock,

dziękuję za ostrzeżenie. Gdybym tylko potraktował je poważnie! W zeszłą sobotę rano stałem sobie na trawniku, usuwając mech i usiłując nie zwracać uwagi na Gusa czającego się za ostrokrzewem, kiedy na naszym podjeździe zatrzymał się motor z tablicami rejestracyjnymi z Ontario. Zapytałem się w myślach: „Dlaczego pod nasz dom podjeżdża motor z dwojgiem dorosłych odzianych w skórzane kurtki (plus przypięte dziecko)?”. Pojazd zatrzymał się; silnik zgasł; pasażerowie zdjęli z głów zakurzone kaski i nagle zgadłem. O Boże.

Dlaczego nie podałaś im fałszywego adresu? Dlaczego nie powiedziałaś, że jestem pustelnikiem? Albo, że przechodzimy kwarantannę? Dlaczego...?

Tylko filiżankę kawy, poprosili. To wszystko, czego potrzebują. Potem, hm, nie obraziliby się na coś do jedzenia. Trochę brakuje im pieniędzy... czy znamy jakiś tani hotel... ale naprawdę tani? Resztę możesz zgadnąć sama. Teraz mieszkają w suterenie, pomiędzy wannami do prania i piecem. Z wypożyczalni mebli przywieźli dwa jednoosobowe łóżka oraz kołyskę dla Tricii. Naturalnie, to tylko chwilowe. (Ha, ha).

Jeden plus: Norm nareszcie wykrył, co szwankowało w piecu. Ta uszczelka, którą zmienialiśmy zeszłej jesieni, została odwrotnie założona i stąd te dzikie skoki temperatury. Norm to złota rączka, jeśli chodzi o przerobione grzejniki olejowe, ale kto o tej porze roku (dziś dwadzieścia stopni, słonecznie i pachnie latem) potrzebuje specjalisty od pieca? Dopóki Norm nie znajdzie jakiegось innej pracy, będzie zajmował się wykańczaniem werandy Sandersonów i pomoże mi w West Van — śliczna mała altanka, jak z bajki.

Przez kilka pierwszych dni ani on, ani Jean nie byli skłonni się wykapać, w końcu więc Sue wzięła sprawę w swoje ręce, wręczyła im ręczniki kąpielowe i oświadczyła: „Jednogłośnie uchwaliliśmy, że każdy musi wziąć przynajmniej jeden prysznic dziennie”. Teraz cały czas leci woda. Boję się następnego rachunku z wodociągów.

Norm i Jean zapewniają mnie, że wkrótce dorzucą się do jedzenia. Gregowi udało się załatwić Jean tymczasową pracę: serwuje drinki w Fishnecie. Bardzo jej się to podoba. Mówi, że odkryła swoje powołanie. Co wieczór jedzie z Gregiem, ubrana w czerwoną satynową sukienkę i czarne siatkowe pończochy. I już wygląda lepiej.

Możliwe, że masz rację, jeśli chodzi o Gusa. (À propos, próbowałem wybadać Sue, czy Mia przypadkiem nie jest jego ofiarą, ale w odpowiedzi otrzymałem tylko kilka pochwalnych uwag na temat dojrzałości naszej córki). Tak czy inaczej, Gus podobno chodzi na terapię. Co dla nas ważniejsze, Ruth, dziewczyna z poradni zajmująca się Marjorie, zaaranżowała kilka wspólnych spotkań z psychologiem, może więc wkrótce Marjorie wróci do domu. Miejmy taką nadzieję. U nas jest już wystarczająco tłoczno, zwłaszcza że wprowadziła się też moja matka!

Pamiętasz, jak często sobie przysięgaliśmy, że żadne z nas nigdy więcej nie będzie mieszkać z matką? Ale co miałem zrobić? Mama zjawiła się z walizką w rękę i oznajmiła, że zamierza zostać, dopóki nie wrócisz

w czerwcu do domu. Upiera się, że ktoś musi „mieć oko na wszystko” i pilnować, żeby „nic nie wymknęło się spod kontroli”.

Spytałem, co ma na myśli, na co zaczęła bez ładu i składu mówić o Halifaksie, ojcu i pokusach. Dodała, że lepiej ode mnie wie, jak łatwo mężczyźni błędzą, i spytała, czy chcę usłyszeć całą historię...

Nie chciałem. Nagle byłem całkowicie pewien, że nie mam ochoty usłyszeć ani słowa więcej. Właśnie w ten sposób mama zajęła pokój gościnny. Marjorie przeniosła się na dół do Sue (z wypożyczalni przywieźliśmy jeszcze jedno łóżko), a my opracowaliśmy precyzyjny plan zajęć i podział obowiązków. Teraz Sue robi śniadania i ściele łóżka, Jean pakuje lunch, Norm, Marjorie i mama przygotowują obiad i kolację, Mia i Laurie odkurzają (rzadko), a ja załatwiam zakupy. Właśnie mam po nie jechać. Ale najpierw muszę wpaść z Tricią do kliniki na zastrzyk.

Mnóstwo całusów Chas

4 Old Town Lane Ottawa, Ontario 6 maja

Drogi Chas,

krótki list, żeby Ci tylko powiedzieć, że wracam do domu jeszcze przed końcem czerwca. Przesłuchania kończymy w połowie maja, ale Van chce, żebym została i pomogła George'owi napisać pierwszy szkic raportu. Wszystkie kłopoty z powodu nowego mniejszościowego rządu. Jessica mówi, że Van sra w gacie (jej własne słowa), obawiając się, że jeśli się nie pośpieszymy, Komisja może zostać rozwiązana, zanim zdoła opublikować raport. Vanowi wydawało się, że George opracuje go do końca maja. („Nie masz wszystkiego w komputerze, George? To o co chodzi?”). Na samą myśl o tym George zaczął wyglądać wyjątkowo słabo. Zauważyłam, że — podobnie jak Dorothy Parker — nienawidzi pisania, ale uwielbia mieć już napisane. Kiedy George słabo spróbował wyrazić jakieś obiekcje, Van warknęła: „George, przypominam sobie, że jakiś czas temu przyrzekłeś mi, że jeśli uprzedzę cię wcześniej o mojej decyzji, w każdej chwili będziesz mógł dostarczyć gotowy raport”.

Aha! *La lumière!* Nie zabrało mi dużo czasu odgadnięcie, o jaką decyzję chodziło. Zostałam wyrolowana. I pomyśleć, że czułam się winna z powodu nadmiernych ambicji i podejrzeń! Ale przynajmniej byłam uczciwa.

Zachowywałam kamienną twarz — przy takich jak George lepiej się nie zdradzać. A Van warknęła: „Weź kogoś do pomocy, jeśli nie możesz zrobić tego sam”. George natychmiast stwierdził, że poradzi sobie z tym zadaniem, jeśli tylko Austin poświęci mu trochę czasu przy pracach kończących przygotowanie dokumentu.

Ku mojemu zaskoczeniu Austin powiedział, że nie będzie mógł, a przynajmniej nie w drugiej połowie maja. Ma zarezerwowany bilet na Bermudy. Podobno tęskni za słońcem. Rzeczywiście, ostatnio wyglądał, jakby opadł z sił. Myślałam, że może mnie unika, i muszę przyznać, ucieszyłam się, że chodziło tylko o zmęczenie.

Van musiał przesunąć ostateczny termin oddania dokumentu; przesłuchania skończą się w połowie maja i pierwszy szkic (przy opracowaniu którego będę potrzebna) musi powstać w pierwszej połowie czerwca. Austin zgodził się wejść w to, jak tylko wróci, ponieważ Vanowi szalenie zależy na wręczeniu dokumentu premierowi, zanim znowu ukażą się krytyczne artykuły w prasie.

Zatem kończę piętnastego czerwca. Ale skoro mama koniecznie chce przyjechać, poczekam z rezerwacją biletu powrotnego, zanim nie dowiem się, jakie ma plany. (To znaczy, jeśli znajdziesz dla mnie miejsce. Ile jest was teraz w domu? Jedenaścioro?)

Jock

PS: Zdziwiła mnie Twoja matka — biorąc pod uwagę jej upodobanie do wygody oraz fakt, że zawsze uważała mieszkanie na Północnym Wybrzeżu za afektację. Jak myślisz, czy to symptom dzieciństwa?

29 Sweet Cedar Drive

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

13 maja

Droga Jock,

jeśli chodzi o George'a, to nie chciałbym przypominać, że przecież Cię uprzedzałem. Szkoda, że mnie nikt nie uświadomił, iż nie ma co liczyć na ludzką wdzięczność. Nie chodzi o Norma i Jean, oni przynajmniej doceniają to, co dla nich zrobiłem, ale nie mogę powiedzieć tego samego o Davinie. Dwa tygodnie temu rozmawiałem z Talbotem Sandersonem na temat odwołania jej kursu w przyszłym roku. Jak wiesz, Talbot zasiada w radzie Cap College, wydaje mi się, że od samego początku. Wyjaśniłem mu, że to wszystko stało się z powodu doniesienia niezadowolonego kursanta, a on przyrzekł rozważyć to raz jeszcze. Szybko. I kilka dni później Davina otrzymała wiadomość, że jej zajęcia zostały przywrócone. Czy myślisz, że mi podziękowała? Nie. Twierdzi, że powinienem był ją uprzedzić, co zamierzam zrobić, i że nie lubi być pionkiem. Zaproponowałem, żebyśmy poszli na kawę, a przy okazji wytłumaczę jej, jak wygląda świat pracy, ale ona była cała najeżona i odmówiła. Dobrze, że kurs się już skończył. Słoneczny Punkt zajmuje mi całe dnie i chwilowo poezja została trochę w cieniu. (Dlaczego nagle wszystko zrobiło się chwilowe?)

Cieszę się, że mamy już konkretną datę, z którą możemy łączyć nadzieje. Próbowałem spytać Twoją matkę, jakie ma plany, ale uśmiechnęła się tylko tajemniczo i powiedziała: „Zobaczymy”. Sądząc z wymiany spojrzeń i szeptów na temat Halifaxu, chyba kombinują coś razem z moją matką.

No, muszę lecieć.

Pozdrawiam Cię Chas

4 Old Town Lane Ottawa, Ontario 17 maja

Drogi Chas,

przykro mi z powodu Daviny. To zaskakuje — i boli — kiedy ludzie zwracają się przeciwko nam, prawda? Ja nadal czuję smutek na myśl o tym co zrobił George. Przy czym nie chodzi tu o żadne głębsze uczucia, tylko o zawiedzione zaufanie. George chyba wie, że jestem oburzona jego perfidią, ponieważ odsunął się ode mnie, choć może uczynił to z tego powodu, że oboje z Esther zdecydowali się porzucić pomysł wolności seksualnej i powrócić do monogamii. Wygląda na to, że elektroniczny geniusz zniknął, nie płacąc ostatniej raty za dom, który mu sprzedała Esther. Nie wrócił do Krzemowej Doliny — gdzie zresztą nikt o nim nie słyszał — i Esther została bez forsy i bez kochanka.

Esther i George zaprosili mnie na wspólne zwiedzanie pól tulipanowych w Ottawie, a ona cały czas wykrzykiwała: „Rewelacyjny!” głosem, który miał w sobie tyle radości, co mowa pogrzebowa. Muszę przyznać, że nie czułam się lepiej i jaskrawożółte, ognistopomarańczowe i nieprawdopodobnie szkarłatne kielichy nie wywołały we mnie entuzjazmu. Tęcza kolorów poruszyła mnie nie więcej, niż brudne kupy starego śniegu ciągle zalegającego na parkingu. Miałam wrażenie, jakbym spoglądała przez zasłonę zmieniającą piękne, bogate kolory w jednostajną szarość. A przecież, jak cały czas sobie i im powtarzałam, wkrótce wracam do domu!

Nie wiem, co się ze mną dzieje, zastanawiam się, czy nie złapałam przypadkiem grypy czy innej choroby. Mam takie same problemy z żołądkiem jak przez pierwsze miesiące w Ottawie, kiedy tak tęskniłam za domem. A może teraz na odmianę tęsknię za Ottawą i Komisją? Może nie potrafię zaakceptować powrotu do roli, żeby użyć tego ogromnie protekcyjnego eufemizmu, strażniczki domowego ogniska?

Podejrzewam, że chodzi o strach po naszym katastrofalnym wieczorze w Winnipeg. Chyba jestem w depresji, co dziwne, zważywszy wszystkie pozytywy. Koniec z siniakami na biodrach od obijania się o róg kuchennego stołu. Będę mogła obrócić się wokół bez przesuwania mebli.

Szkoda, że nie ma Austina. Jego uwagi pomagają mi lepiej zrozumieć siebie. Niestety, wyjechał na Bermudy. I Jessica ostatnio dziwnie się zachowuje. Obserwuje mnie, kiedy myślę, że nie patrzę, a gdy przyłapię ją na tym, szybko odwraca wzrok i wygląda na zażenowaną, przynajmniej na tyle, na ile Jessica może tak wyglądać. To dziwne, bo przecież nie jest na mnie zła; przeciwnie, stara się włączyć mnie w rozrywki organizowane przez jej współlokatorki, na co nie bardzo mam ochotę. Czy moje zniechęcenie jest aż tak widoczne?

Z nikim innym nie mogę porozmawiać. Van dostał obsesji na punkcie raportu i rudej, która pojawiła się na scenie. Yvette ma oczy spuchnięte od płaczu.

Przepraszam, że Cię tym obarczam, ale trochę obawiam się powrotu do naszego normalnego życia.

Całuję Cię Jock

PS: Dziękuję za przysłanie wiersza *Pożegnanie z Gilem*.

29 Sweet Cedar Drive

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

17 maja

Droga Jock,

dziwna, ciemna, bezksiężycowa noc. Po długim, męczącym, rozlazłym dniu. Miałem nadzieję na list od Ciebie, ale nic nie przyszło. Boże, dziś wydajesz mi się taka daleka! Nie wiem, czy mam dosyć pracy nad tą altanką (rano w czasie montażu pękła środkowa szyba) czy też martwię się przyszłością — naszą przyszłością. Może to tylko sąsiedzki melodramat działa mi na nerwy, ale muszę Ci się przyznać, Jock, że ledwo przypominam sobie, jak wyglądało nasze wspólne życie. A o wiele trudniej jest wyobrazić sobie, jak ułoży się w przyszłości.

Teraźniejszość też do niczego. Po obiedzie Sue i ja zabraliśmy Tricię na spacer do lasu cedrowego. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom! Wszystko zryte przez buldożery! Nie zostawili ani jednego drzewka. A to bagienko z żabami zostało osuszone i zasypane. Postawiono wielką pomarańczową tablicę zapowiadającą po-

wstanie w tym miejscu Osiedla Ogrodowego. „Dla tych, którym zależy na jakości życia”. Chciało mi się płakać. Wracając do domu, zastanawiałem się, co byś powiedziała, gdybyś to zobaczyła. Nic nie wymyśliłem.

Całuję Chas

4 Old Town Lane Ottawa, Ontario 20 maja

Drogi Chas,

tylko nie mój ukochany lasek cedrowy! Czy nic nie mogłeś zrobić, żeby temu zapobiec? Jeśli chwilowo czujesz się tak wytracony z równowagi, to może zawiesimy naszą korespondencję?

Jock

29 Sweet Cedar Drive

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

21 maja

Droga Jock,

o ile doceniam Twoje wysiłki, by uczciwie przedstawić swe uczucia w związku z powrotem do domu, o tyle obawiam się, że nie mogę zgodzić się na degradację domowego ogniska. Na Boga, Jock, przemyśl to. Od dawna nie ma prawdziwego domu. Może przestańmy pisywać do siebie?

Chas

4 Old Town Lane Ottawa, Ontario 27 maja

Pamiętasz, Chas, jak byłam w ciąży z Gregiem, któregoś dnia rano położyłeś mi rękę na brzuchu i ni z tego, ni z owego zapytałeś: „Co byśmy zrobili, gdyby któreś z nas zakochało się w kimś innym?”

Pamiętam to dobrze, ponieważ nagle Greg tak mnie kopnął, że nie wiedziałam, co spowodowało te mdłości: Twoje pytanie czy dziecko. Pamiętam, że przez chwilę byłam na Ciebie tak wściekła, że wypchnęłam Cię z łóżka. Krzyczałam wniebogłosy, grożąc Ci obcięciem głowy, kastracją oraz wytarzaniem w smole i pierzu, jeśli taka myśl wpadnie Ci jeszcze kiedyś do głowy. A kiedy urodził się Greg i postanowiłam zrobić wszystko, żeby nic nie przeszkodziło w jego doskonałym wychowaniu, martwiłam się tym jeszcze wiele miesięcy.

Nigdy nie miałam wątpliwości co do siebie.

Naturalnie, nie wyślę tego listu. Jakżebym mogła to zrobić? Nie wiem nawet, po co go piszę. Cały czas chodzi mi po głowie, że gdybym była katoliczką i mogła skorzystać z konfesjonału, nie musiałabym pisać tego, czego nigdy nie przeczytasz. Dlaczego czuję się do tego zmuszona? Ze względu na pokutę? Przebaczenie? Jeśli tak, to czyje?

Przypuszczam, że pragnę rozgrzeszenia — to niejako pozwala zjeść ciasteczko i mieć je nadal, prawda? — ale chyba nie tylko o to chodzi. Czuję potrzebę opowiedzenia tego, wykrzyczenia, pokazania. Ekshibicjonizm? Może. Nie znasz mnie już Chas, nie osobę, którą stałam się w czasie tych kilku miesięcy w Ottawie. Ale zna mnie ktoś inny, kogo szanuję i... na kim mi zależy.

Wczoraj wieczorem ścierałam podłogi i próbowałam przygotować mieszkanie na przyjazd Mamy, kiedy zadzwonił telefon. To Austin, który wcześniej wrócił z Bermudów, i zaprosił mnie na obiad. Tak, jak najbardziej, odpowiedziałam. Tęskniłam za kimś, z kim mogłabym porozmawiać, a poza tym po raz pierwszy od dwóch tygodni poczułam się głodna.

W czasie obiadu mój ponury nastrój prysnął, mimo że Austin nie był tak wesoły i dowcipny jak zawsze. Wydawał się na zmianę zaabsorbowany własnymi sprawami i zadziwiająco jak na siebie ciekawy. Pytał o Ciebie, o mnie, o nasze pęknięte życie. Czy sprawiło to wino, oświetlenie stołu, późna godzina? Przepraszam Cię, kochanie, ale zaczęłam się zwierzać. Najpierw próbowałam przedstawić wszystko humorystycznie, ale w miarę rozwijania opowieści — Wigilia, przyjęcie, Winnipeg — poczułam, że z oczu płyną mi łzy. On wziął mnie za rękę (naturalnie oczyma duszy zobaczyłam Ciebie trzymającego za rękę Davinę), a ja, zanim się zorientowałam, już mu mówiłam, że nie chcę wracać do domu, do Vancouveru, że śmiertelnie się boję. Bo może okazać się, że nie ma do czego wracać.

Słuchał spokojnie, po czym zaproponował, żebyśmy pojechali do niego do domu, wypić wspólnie ostatniego drinka przed snem. Kiedy znaleźliśmy się na miejscu, otworzył drzwi i podniósł listy, które nazbierały się w trakcie jego nieobecności. „Coś takiego — rzekł — list od twojego męża”.

Otworzył go i znalazł Twój wiersz *Pożegnanie z Gilem*. Przeczytał go na głos. „Jaki dobry wiersz”, powiedział.

Usiedliśmy, przeczytał go jeszcze raz, komentując niektóre fragmenty. Zauważył, że „kapłan zimnego przebrania” to celne i wzruszające określenie grabarza. Spytał, czy to ja jestem kobietą z „czarnymi włosami / czarną jak noc, grubą koroną warkocza / w kolorze żałoby / przypiętą przeciwko radości”. A potem odczytał końcowe wersy:

Wezmę ze sobą piwo. Rozleję je

Na smutne stokrotki

i szepczące polne kwiaty

i spróbuję nie zapomnieć.

Dziwne, ale słyszałam Twój głos, załamujący się przy czytaniu tych słów, i w oczach stanęły mi łzy. Austin objął mnie, a ja położyłam mu głowę na ramieniu i poczułam się bezpieczna, jakbym ciężkie chwile miała już za sobą. Jak tego dnia, kiedy podczas wędkowania złapała nas wichura. Pamiętasz? Byliśmy zziębnięci, przemoczeni i przerażeni. A potem udało nam się obejść skałę i kiedy zobaczyliśmy Cichą Zatoczkę, tak spokojną i przyjazną, już wiedzieliśmy, że jesteśmy uratowani. Teraz, w ramionach Austina, czułam się podobnie. Pamiętasz, jak wczółgaliśmy się na skałę, ściągnęliśmy mokre ubrania i leżeliśmy na słońcu? A pamiętasz łanię, która do nas podeszła? Nie ruszaliśmy się, żeby jej nie spłoszyć. Wtedy miałam wrażenie, jakby cały świat wybuchł we mnie i naokoło mnie jak olbrzymi kwiat: drzewa koronkowo rysujące się pod słońce, łania, światło, drobne fale liżące brzeg.

Jak mam wyjaśnić to, co się stało potem? Powiedziałeś kiedyś, że wszystkie piękne słowa zostały zagarnięte przez muzykę rockową i tanie romanse. W swoim wierszu, Chas, opisujesz kochanka: „Niczym światło odbite / od setek kryształków / jakby cieniutkie szkiełka / zostały ukradkiem przyszyte / a na jego twarz / włożono świetlistą maskę”. Próbowałam wyobrazić sobie, że tak właśnie było, kiedy się w sobie zakochaliśmy,

ale pamiętam tylko, że moje ciało powiedziało: „Już czas” i że byliśmy nieśmiali i podnieceni i wydawało się, iż świat narodził się na nowo.

Świat nie jest już taki świeży, ale kiedy wczoraj byłam z Austinem, nie miało to właściwie znaczenia. Zrzuciliśmy z siebie odzież, jakbyśmy nosili obcy strój z innego życia, i znowu się objęliśmy. Leżąc na jego wąskim łóżku, dotykaliśmy się nawzajem, a potem on wszedł w moje czekające na niego ciało i uczynił je pełnym.

Kiedyś, gdy miałam dziesięć lat, co noc od Wszystkich Świętych do Bożego Narodzenia modliłam się o rower i każdej nocy o nim śniłam. W marzeniach płynęłam na nim jak zwycięzca przez zdumione ulice. Matka była temu przeciwna. Nie mieliśmy pieniędzy, mnóstwo niebezpieczeństw, ruch uliczny, pedofile... Uparłam się, targowałam się z Bogiem, ukłułam się w palec i podpisałam przysięgę krwią, wypróbowałam też wszystkie inne magiczne sposoby. A kiedy rano w Boże Narodzenie zobaczyłam rower, z satynowymi kokardami w szkocką kratę przyklejonymi taśmą do lśniącej chromowanej ramy, wydawało mi się, jakby na każdy, nawet najmniej ważny przedmiot w naszym małym salonie spłynęła światłość. Przyjacielska czarna jama pustego kominika, szara wełna dywanu, poobijane meble, obdrapany stół z orzechami i mandarynkami i błyszcząca choinka z niebieskimi lampkami przeświecającymi przez anielskie włosy — jeszcze dziś każdy kąt tego zwyczajnego małego pokoju widzę tak, jak go zobaczyłam nagle tamtego ranka, zdumiona, nieco wystraszona i ogromnie szczęśliwa.

Tak właśnie było, Chas. Czulałam się poznana — jak w Biblii. Mimo wszystko to coś znaczy.

Wczesne światło wpadało do pokoju, zanim jeszcze wdarł się świat. Austin leżał na plecach. Miał otwarte usta i delikatnie pochrapywał; lekki podmuch poruszał jego włosami i zobaczyłam starą bliznę. Pomyślałam, jakie to dziwne, że nic o niej nie wiedziałam. Że jest tyle rzeczy, o których jeszcze muszę się dowiedzieć. I że się boję.

Austin obudził się. Powiedział, że mnie kocha.

„Ja też cię kocham”, szepnęłam. I naprawdę tak myślałam.

A jednak wiedziałam — od tego pierwszego lekkiego zetknięcia naszych dłoni w restauracji — że mam gdzieś inne życie, długą historię, z mnóstwem odnóg i komór, których nigdy nie byłabym w stanie policzyć. A z drugiej strony — Austin, tak zdolny, tak spostrzegawczy, tak dobrze znający mnie mężczyzna, całkowicie wolny; co ja tak naprawdę o nim wiem?

Czas też wybraliśmy sobie kiepski; za moment będę z powrotem w Vancouverze, wrócę do swojego życia, być może złościąc się na ograniczenia, ale też rozkoszując się jego swojskością. A Austin? Pojedzie do Walii, oddzieli go ode mnie kontynenty, oceany. Bliskość z drugą osobą to poważna sprawa, ale nauczyłam się jednego: nie można jej mieć na odległość.

„Kocham cię”, powiedziałam Austinowi, jakbym miała jakiś wybór.

Ale dlaczego nie mogę wybierać? Czy to nie jest moje prawo? Boże, Chas, to nie takie łatwe. Nadal Cię kocham. Gdybyś tylko mógł się ze mną zobaczyć.

Co mam robić? Co my mamy robić?

Jock

PS: Podrę ten list na takie małe kawałeczki, że nawet mama nie będzie w stanie złożyć ich do kupy.

4 Old Town Lane Ottawa, Ontario 27 maja

Drogi Chas,

Mama szczęśliwie przyjechała i właśnie wróciłam z nią z cudownego wieczoru z ciotką Hildą. Teraz dochodzi do siebie po okresie posuchy ze szklaneczką dobrze zakropionego ponczu.

Byłam w lekkim szoku, kiedy dostałam jej liścik, ale na szczęście Austin wcześniej wrócił z Bermudów i zaofiarował się, że podrzuci mnie na lotnisko.

Przywiózł nas tutaj, na Old Town Lane, a mama, ledwie weszła do mieszkania, natychmiast zaczęła czepiać się mojej wagi: „Nie znam nikogo, kto by tak chudł jak ty, Jocelyn, jesteś taka od małego, wystarczy byle co, a już nie możesz jeść. Co cię teraz martwi?”

Na szczęście nie musiałam wymyślać odpowiedzi, bo gdy tylko rozejrzała się po pokoju, od razu spytała, jak sobie radzę w takiej ciasnocie. Zasugerowałam, że byłoby jej wygodniej u ciotki Hildy, ale ona warknęła: „Wygodniej, ale za sucho. Ciotka nie aprobuje wielu rzeczy. À propos, czy masz kapkę sherry? Jestem wyczerpana po podróży”.

Miałam Bristol Cream, ale brakowało mi odpowiednich szklaneczek. Nie szkodzi, okazuje się, że mama wcale nie przepada za szklaneczkami do sherry. „Mnóstwo czasu traci się na ponowne napełnianie. Nie mam pojęcia, dlaczego nie robią ich w bardziej realistycznych wymiarach”. Po czym jeszcze raz skomentowała mój wygląd (sama skóra i kości) i powiedziała, że trzeba mnie będzie trochę podtuczyć na kuchni francuskiej: „Ja cię zapraszam. Wiem, że nie masz pieniędzy na stracenie, zwłaszcza po tym ostatnim pomysle Charlesa”. Niektórzy się zmieniają, ale nie mama.

Kiedy poinformowałam ją, że nie będziemy miały dużo czasu dla siebie, powiedziała, żebym się nie martwiła, bo ona może choćby pójść na zakupy albo zwiedzać z ciotką Hildą miasto i że zamierza zrobić sobie wycieczkę do Montrealu. „Moje stare śmieci”, tak o nim mówi. (Pracowała tam, kiedy Tato był na wojnie).

Pozdrowienia Jock

PS: Jak tam w domu? Modlę się i mam nadzieję, że liczba domowników się zmniejsza.

PPS: Przepraszam za ostatni krótki i oschły list. Kochałam ten lasek cedrowy.

29 Sweet Cedar Drive

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

21 maja

Ukochana Jock,

ciekaw jestem, czy przypominasz sobie rozmowę, jaką mieliśmy wkrótce po naszym ślubie. To było jeszcze w tym mieszkaniu z czarnymi ścianami. Pamiętam, jak któregoś dnia wróciłaś do domu z pracy z parą nowych butów. Czerwonych na cholernie wysokich obcasach. „Spójrz — powiedziałaś wyzywająco, pokazując mi jakiś papierek — chcę, żebyś zobaczył paragon”.

Pragnęłaś, bym wiedział, ile zapłaciłaś i że nie kupiłaś ich z przeceny. Byłaś taka poważna, tak nalegałaś. Spytałem, czemu. Wyjaśniłaś, że Twoja matka zawsze ukrywała paragony ze sklepu przed ojcem. A jeśli zapytał o cenę, zawsze automatycznie odejmowała jedną trzecią. Powiedziałaś, że zostałaś wychowana przez

osobę, której najczęstszym powiedzeniem było: „nie powiemy ojcu, ile to kosztowało”. I dlatego postanowiłaś, że Twoje małżeństwo nie będzie opierać się na tego rodzaju oszustwie.

Naturalnie, w pełni się z Tobą zgadzałem. W końcu wyrosłem w domu, w którym ojciec chował butelkę z wódką w skrzyni na węgiel, a matka przez czterdzieści lat ukrywała swój prawdziwy wiek przed mężczyzną, który był jej prawnie poślubionym małżonkiem.

Otwartość, uczciwość — gotów byłem temu przyklasnąć.

Wydaje mi się, że przeważnie się nam udawało. Ale nie zawsze. Niektórych rzeczy nigdy Ci nie zdradziłem. Na przykład nigdy nie powiedziałem, jak bolesny był dla mnie ten rok pracy jako wolny strzelec po odejściu z firmy Bettnera, jak budziłem się w nocy mokry ze strachu i jak każdy dzień stanowił nową torturę. Udawałem przed Tobą, że to przygoda, wyzwolenie, że jestem szczęśliwy, nareszcie sam sterując swoją łodzią. Zapuściłem nawet brodę i wytrzymałem z nią przez cały okres kataru siennego. Dawałem do zrozumienia, że nawiązuję ważne kontakty, co nie było prawdą. Wspominałem, że mam mnóstwo nowych pomysłów, kiedy w rzeczywistości czułem się w połowie martwy. To był koszmar i dziękowałem Bogu (naprawdę, choć nie na kolanach), gdy Robertson złożył mi propozycję pracy. Nic o tym nie wiedziałaś.

Potem przyszedł dzień, kiedy zostałaś przyjęta na studia prawnicze. Przyniosłem do domu kwiaty i wino; staliśmy w kuchni, wznosząc toast za Twój sukces, a ja mówiłem, jaki jestem dumny i szczęśliwy. Tymczasem jedyne, o czym byłem w stanie myśleć, to to, że zaczniesz się ode mnie oddalać i że nasze szczęście jest zagrożone. Nie miałem racji i wkrótce zdałem sobie sprawę, że zaczął się dla nas nawet lepszy czas. Ale mimo wszystko...

Były też inne rzeczy. Na przykład u Robertsona pracowała sekretarka, w której niemal się zakochałem. To było pięć lat temu. Skończyło się na kilku rozmowach i jednym lunchu. Przez miesiąc śniłem o niej każdej nocy. Miała długie rude włosy, ale również zgrzytliwy głos i zwyczaj niewymawiania głoski „g”, co mnie dość szybko wyleczyło z zauroczenia. Niemniej jednak...

Nigdy Ci o żadnej z tych rzeczy nie powiedziałem, ponieważ czułem, że to, co staram się ochronić — Twoją wiarę we mnie, moją wiarę w Ciebie — jest warte zatajenia prawdy. Nie mam również zamiaru mówić Ci o tym, co zdarzyło się wczoraj wieczorem.

Mimo to czuję perwersyjny wewnętrzny przymus opisanie tej sytuacji; nie wiem, czy chodzi o rodzaj kary, czy próbę zamazania atramentem tego, co dziś wydaje się prawie realne.

Wiesz, jak wyglądają piątki. Nadszedł koniec pracowitego tygodnia i wracałem do domu z nową umową w kieszeni, tym razem na rozbudowę kawiarni w Centrum Handlowym Oak Ridge — wydawało mi się, że takiego zlecenia nie dostaniemy przez długie lata. Czułem się szczęśliwy. A Sue właśnie dowiedziała się, jak jej poszły egzaminy (same piątki) i też była w siódmym niebie. Akurat na mamę przypadała kolejka w kuchni. Zrobiła swoją słynną pieczeń, co dodatkowo poprawiło nam samopoczucie. Greg i Jean pojechali do restauracji Fishnet, Marjorie zabrała dziewczynki (i mamę) na *Male kobiety* (nadal to grają!), Tricia, wyleczona wreszcie z przeziębienia, spała głęboko, a Norm siedział w garażu i oliwił motocykl. I wtedy rozległ się dźwięk telefonu.

Dzwoniła Davina, już nie tak oschła jak ostatnim razem, a właściwie całkiem przyjazna. Powiedziała, że „Writer's Quarterly” wydrukował mój wiersz. (Normalnie nie ukazałby się przed jesienią, ale z jakichś względów — przypuszczalnie pod wpływem Daviny — zamieścili go w wydaniu wiosennym i wysłali jej egzem-

plarz próbny). Czy chciałbym go zobaczyć? Naturalnie, że tak! Kiedy? Jak najszybciej. Powiedziałem, że przyjeżdżam natychmiast.

Godzinę później byłem na miejscu. Sue, dumna z osiągnięć naukowych, zabrała się ze mną, i Davina, w jednej ze swych szat wzorowanych na ubiorach mieszkańców mórz południowych, przywitała nas, machając egzemplarzem „Writer's Quarterly”. Rzeczywiście był tam mój wiersz, na środku osobnej strony, z małą notką biograficzną u dołu: „Charles Selby z Vancouveru jest architektem i poetą”. Poczulem się nagle oficjalnie uznany. Teraz wiem, Jock, co miałaś na myśli. Byłem jak nowo narodzony.

Siedzieliśmy na balkonie Daviny i piliśmy ogromne ilości wina. Noc była ciepła i niezwykle jasna. Sue mówiła o swoim małżeństwie, Davina o swoim, a ja, jestem zupełnie pewien (wybacz mi to) — o naszym. O ile pamiętam, rozmawialiśmy też o złudzeniu i prawdzie, zdradzie i lojalności, poezji i życiu. Wszystko, co powiedzieliśmy, wydawało się mieć kapitalne znaczenie.

Gdy się ochłodziło, Sue zasugerowała, żebyśmy przenieśli się do środka. Nie bardzo pamiętam, co było potem, ale doskonale sobie przypominam, że w pewnym momencie wszyscy znaleźliśmy się na szerokim łóżu Daviny, a nasze ubrania leżały w kupie na podłodze. Scena okropna i wspaniała zarazem. Ja, pomiędzy dwoma innymi ciałami, czulem się głęboko zawstydzony, a jednocześnie miałem wrażenie, jakbym wracał do życia.

Dziś, naturalnie, przeważa wstyd, który związany jest ze zdradzeniem Ciebie, siebie i tego, co zawsze uważałem za słuszne. Chciałbym płakać nad tym, co kiedyś uważałem za poczucie obyczajności... a może po prostu byłem zbyt niewinny? (Zawsze wydawał mi się podejrzany brak akceptacji dla współczesnego świata przesiąkniętego pornografią). Wolałbym rzucić winę na alkohol i oszołomienie publikacją wiersza, ale to nie wystarczy. Chciałbym oskarżyć Davinę i Sue i dziwić się ich przebiegłości, ale nie mogę. Pragnąłbym obwinić Ciebie za to, że wyjechałaś do Ottawy i zostawiłaś mnie w rękach... głównie własnych. I naturalnie cały czas powtarzam sobie, że muszę wymazać z pamięci ten cały haniebny wieczór... ale najgorsze, że jakaś mała, ale całkiem racjonalna część mojego umysłu pragnie zachować wspomnienie o tym, co się wydarzyło, nie mogę więc tego pogrzebać. Jeszcze nie teraz.

To, co się stało, nie ma nic wspólnego z Tobą, droga Jock, ani z naszym życiem; tak mi się przynajmniej wydaje. To było jakieś odchylenie, coś, co nigdy więcej się nie powtórzy. Gdybym nie miał całkowitej pewności, nie zrobiłbym tego, co zaraz zrobię, nie spaliłbym tej kartki w kominku. Gest może byronowski. Gdy spalę list, sprawa będzie się sprowadzała do zapomnienia... ale też do pamiętania.

Twój kochający i zażenowany

Chas

29 Sweet Cedar Drive

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

4 czerwca

Droga Jock,

dziś króciutko. (Przepraszam za ostatni list). U nas nic nowego. Weekend minął spokojnie i wreszcie mogłem zająć się ogrodem, powyrywałem chwasty, a wzdłuż podjazdu wsadziłem parę roślinek — te białe pe-

tunie, które tak lubisz. Wspaniała pogoda. W sobotę po południu pojechałem sobie nawet na wycieczkę na starym rowerze Grega.

W niedzielę pomagaliśmy Sue w przeprowadzce. Wreszcie udało się jej znaleźć niedrogie mieszkanie z dwoma sypialniami w Richmondzie. Ogłoszenie ukazało się w niedzielnej gazecie i Sue się załapała. Trochę daleko, ale nieźle, a po drugiej stronie ulicy jest plac zabaw dla Molly.

Mam nadzieję, że dostałaś „Writer's Quarterly”. Poprosiłem, aby wysłali Ci egzemplarz. Wątpię, czy w przyszłości będę kontynuował pisanie — zbyt dużo zajęć itd. Davina Flowering otrzymała grant z Canada Council (jakoś się z nimi pogodziła) i jutro wyjeżdża do Anglii.

W biurze straszny młyn, ale nie narzekam. Mam nadzieję, że przeżyjesz wizytę mamy.

Całuję Chas

PS: Mam telefon! Nareszcie zapłaciłem wszystkie rachunki.

4 Old Town Lane Ottawa, Ontario 11 czerwca

Drogi Chas,

już późno, ale chcę napisać do Ciebie list. Ostatni, jak mi się wydaje, ponieważ za parę dni będę w domu.

Dziś wieczór Mama i ja byliśmy na pożegnalnej imprezie, którą Van urządził dla mnie w biurze. Miła, ale raczej rozczarowująca. Nie było Austina — zdaje się, że znowu musiał jechać do Charlottetown, bo zachorowała jego siostra — i nie zobaczę go już przed wyjazdem. Przyszli George i Esther, i Yvette, którą polubiłam. Jessica miała wilgotne oczy i była nieco wstawiona. Objęła mnie, o mało nie łamiąc mi kości, i pocałowała w usta. W usta! Zatkąło mnie... a właściwie nie, raczej byłam zaszokowana. Dlaczego to mną tak wstrząsnęło? Po tym pocałunku stałam chwilę oniemiała w kącie pokoju, obserwując wszystkich i zastanawiając się, ile dla mnie w ciągu tego roku znaczyli, i że z jednej strony znam ich nieźle, a z drugiej — wcale.

Catherine Vance'a też się pojawiła. Przyjechała z Montrealu w związku z jakąś akcją charytatywną. Wydawało się, jakby biuro Vana bardziej należało do niej niż do niego. Poinformowała nas wszystkich, co sądzi na temat ubóstwa (często się przesadza; jeśli ktoś ma kolorowy telewizor, nie może uważać się za biedaka; zasiłek dla bezrobotnych pozwala na luksusowe życie). W środku jej przemówienia Jessica ryknęła: „Żegnaj, Jock”. Tym razem udało mi się uchylić. Jessica uściśniła Mamie rękę i powiedziała: „Do widzenia, matko Jock, wychowała pani cholernie fajną córkę”. Potem wzniosła toast za mnie (tanym burgundem), powstrzymała się od roztrzaskania kieliszka o ścianę i wcisnęła mi pożegnalną kartkę. Van podarował mi piękną akwarelkę przedstawiającą brzozy w parku w Ottawie. Powiedziałam mu, że nie doznałam oświecenia, ale najwyraźniej już o tym zapomniał. Nie próbował mnie pocałować. Zadowolił się uściskiem dłoni. Do domu wróciliśmy przed jedenastą.

Pod drzwiami znalazłam prezent od Austina: rękopis małego tomiku jego wierszy zatytułowanego *Interludium*; dopiero co skończył go pisać. Wyjeżdża do Europy, jak tylko raport będzie gotowy. Na jakimś walijskim uniwersytecie dostał stanowisko poety rezydenta, zaproponowano mu tam także serię wykładów. Ja czuję się zaszczycona, szczęśliwa, rozmarzona, smutna, zagubiona i zmęczona. (Oddałam Mamie swoje łóżko,

a zasypianie na tej starej kanapie wymaga czegoś więcej niż tylko liczenia owiec). Jestem również nieco podniekształcona i zdumiona rozmową z mamą.

Jak to ona, ledwie przeszliśmy przez próg, zaproponowała, żebyśmy przed snem wypili szklaneczkę. A potem jeszcze jedną. Była w nastroju do pogawędki i przepełniała ją nostalgia za latami spędzonymi w czasie wojny w Ottawie.

— Jak Tato wyjechał, musiałaś czuć się samotna — powiedziałam.

Wypiła łyżeczkę, spojrzała na mnie ostrożnie i odparła:

— Nie byłam taka samotna. Po dłuższej chwili dodała:

— Poznałam mnóstwo ludzi. Zwłaszcza jedną osobę.

— Mężczyznę? — spytałam bezmyślnie.

Skinęła głową. Może nawet się zarumieniła, ale w słabym świetle nie było widać.

— Wyglądał bardzo przystojnie w mundurze — rzekła. — Lotnik. Dużo rozmawialiśmy ze sobą. Oboje lubiliśmy czytać i mieliśmy wiele tematów do dyskusji. — Spojrzała do szklanki, w której szybko ubywało płynu, i dodała: — Naprawdę mnóstwo tematów.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że miałaś z nim romans? — spytałam i natychmiast tego pożałowałam. Nie byłam pewna, czy mam ochotę poznać odpowiedź.

Ku mojemu zdziwieniu nie wybuchła. Podała mi tylko szklaneczkę, żeby dolać jej sherry.

— Jeśli w ogóle, to bardzo bezbarwny, według dzisiejszych kryteriów.

Powiedziała, że rozmawiali i czytali razem T.S. Eliota i Christophera Fry, ale była wojna i wiedziała, że musi być lojalna wobec kogoś innego.

— Tim miał tylko dwa lata i nawet gdybym chciała, nie mogłam zabawiać się tak, jak niektóre.

Spytałam, jak to się skończyło.

— Został wysłany na front. Przez jakiś czas pisywaliśmy do siebie, ale wiesz, jak to jest. — Odwróciła wzrok, więc wiedziałam, że coś ukrywa. — Kiedy ma się rodzinę, Jocelyn, ma się też obowiązki i nie można kierować się tylko własnymi pragnieniami. Jak rodzi się dziecko, podejmujesz pewną decyzję i jeśli jesteś uczciwa, to jej nie zmieniasz.

— Nigdy?

— Nie, nie mam aż tak staroświeckich poglądów. Uważam, że dziecku powinno się poświęcić dwadzieścia lat. To znaczy każdemu dziecku. Sądzę, że przed ukończeniem dwudziestki nie jest się wystarczająco dojrzałym, żeby znieść rozstanie rodziców.

— A co, gdy powiedzmy, przeżywasz wielką namiętność? Wzruszyła ramionami.

— Nic nie jest łatwe. Takie jest życie, nieprawdaż?

Wydawało mi się, że powiedziała to ze złością. Dostyc raptownie wstała i poszła do łazienki, a ja siedziałam przez chwilę, myśląc o tym tajemniczym przyjacielu, którego mama musiała kiedyś kochać, o obowiązku i — jak pamiętam — o dostyc udanym małżeństwie z moim ojcem. Czułam niepokój na myśl, że kiedyś się wahała — Tato był dobrym człowiekiem, bardzo go kochałam — i wdzięczność, że znalazła w sobie tę uczciwość, o której mówiła. Zastanawiam się, czy w dzisiejszym klimacie moralnym byłaby tak mężna.

Kiedy rozdrażniona zamknęła się w sypialni, pomyślałam, że na dzisiaj koniec, rozłożyłam więc kanapę i przygotowałam się duchowo na nocne walki z wędrującymi sprężynami.

— Poświęcenie i obowiązek to niemodne pojęcia — zawołała nagle w ciemnościach — ale obecne egoistyczne pokolenie przekona się, że szczęście nie rośnie na drzewie pobłażania sobie.

Po wygłoszeniu tej mądrości przewróciła się na drugi bok i za dwie minuty już chrapała.

Kilka miesięcy naszej separacji to małe piwo w porównaniu z rozłąką w czasie wojny, a jednak ciężko to przeżyliśmy. Rozstanie to nie tylko oddalenie się ciał, ale również zerwanie tych wszystkich niteczek wspólnych trosk i konieczności, które łączą ludzi. Może mama ma rację: w tym wieku dzieci nas potrzebują, a ja nie chcę rozczarować ich bardziej, niż dotąd.

Czy moglibyśmy stopniowo odbudowywać wspólnotę? Dać sobie chwilę wytchnienia w okresie przejściowym. (Czy czułbyś się bardzo urażony, gdybym przez kilka pierwszych nocy spała w pokoju gościnnym? To znaczy jeśli Twoja mama się wyprowadzi i jeśli potrafisz jakoś to wytłumaczyć dzieciom). Potrzebuję czasu, aby poczuć, że dom mnie z powrotem wciąga i że stopniowo wsiąka we mnie jego swojskość, wypierając Ottawę. Bo tak się stanie, na pewno tak się stanie.

Czuję się, jakbym była na zwolnieniu. Przyznam się, że chciałabym przez pół roku siedzieć w domu, jeśli możemy sobie na to pozwolić, nawiązać z powrotem wszystkie zerwane nici i poznać swoje duchowe bliźni. I Twoje też. Ale nie chcę Cię do niczego zmuszać. Ty też potrzebujesz czasu. Jesteś prawdziwym poetą! Nie możesz teraz tego rzucić!

Do niedzieli.

Ściskam Cię Jock

PS: Po tylu miesiącach rozmyślania o bogactwie i biedzie nadal nie mogę się w tym połąpać. Może nawet wiem mniej niż wtedy, we wrześniu, kiedy udawałam się naprawiać świat. Powiedz, Chas, co znaczą te słowa?

PPS: Pożegnalny liścik Jessiki to była złożona kartka papieru, na której napisała wielkimi literami: KOCHAM CIĘ. Wstrząsnęło to mną bardziej, niż chciałabym przyznać.

29 Sweet Cedar Drive

Północny Vancouver, Kolumbia Brytyjska

11 czerwca

Droga Jock,

trudno uwierzyć, że za niespełna tydzień będziesz w domu i skończy się — jak go określiłaś wczoraj przez telefon — ten rok *très bizarre*. Naturalnie, wyjadę po Ciebie na lotnisko. Po co w ogóle wspominasz o taksówce aż do Północnego Vancouveru? Nieważne, że rząd „chętnie zapłaci”. My chcemy po Ciebie wyjechać.

Okazuje się, że nie mogę oprzeć się napisaniu tego ostatniego listu, szczególnie że mam dziwne przecucie, iż minie kilka tygodni, a może więcej, zanim wróci nasza dawna zażyłość i będziemy w stanie rozmawiać tak otwarcie, jak kiedyś. Boże, pomyśleć, że po tylu latach będziemy się czuć skrupowani! A nawet więcej niż skrupowani — onieśmieleni. (Czy się jej spodobam? Czy będę tak dobrym kompanem, jak wygadany

Vance?) Właśnie dlatego piszę list, żeby Ci zaproponować, abyśmy zblizali się do siebie krok po kroczku, a nie zachowywali tak głupio i rozpaczliwie, tak jak wtedy na Boże Narodzenie, a potem w Winnipeg. Pozwólmy sobie być przez kilka dni nieśmiali i skrępowani (również grzeczni), tak jak narzeczeni lub jak ludzie, którzy muszą poznać swoje przyzwyczajenia i nawyki.

Wiesz co? Pisanie do Ciebie zmieniło mnie, pozwoliło mi poznać, co naprawdę myślę. Będę za tym tęsknił. Czy byłoby bardzo głupio, gdybyśmy w przyszłości od czasu do czasu podrzucali sobie list? Już widzę, jak zostawiam Ci bilecik pod poduszką albo w rękawie płaszcza przeciwdeszczowego, albo pod filiżanką z kawą. Wyobrażam sobie też, że znajduję wiadomości od Ciebie przypięte do zasłonki prysznicowa albo w kieszeni spodni — listy pełne banalnych żartów, ale również objawień, które Ci się czasem zdarzają, a których dawniej z braku czasu nie zauważałem.

Droga Jock, ucieszy Cię wiadomość, że wracasz do szybko pustoszejącego domu. Marjorie i Laurie tydzień temu wróciły do siebie i teraz przeżywamy próbę pogodzenia. „Przez jakiś czas będziemy się rzadko widywać — powiedziała Marjorie — ponieważ Gus i ja jesteśmy bardzo zajęci wlewaniem rozbitych jaj z powrotem do skorupki”. Odparłem jej, że doskonale to rozumiem, i to prawda, mimo że nigdy się nie dowiedziałem, co takiego się stało. Wiem tylko, że Gus „otrzymuje pomoc”, a Marjorie „jest udzielane wsparcie” i że z jakiegoś powodu Laurie wyszła z tego niemal bez szwanku.

Norm i Jean wyruszyli wczoraj do Kamloops, gdzie Norm został (warunkowo) przyjęty jako czeladnik w młynie, a Jean (prawie) załatwiła sobie jakąś pracę w barze Silver Rail. (Zaproponowałem, żeby jeszcze raz dała szansę zębom, ale ona odparła, że jej powołaniem jest noszenie tacy). Wszyscy, łącznie z Tricią, uczciliśmy ich powodzenie lunchem w restauracji Fishnet, a dorsza i piwo serwował nie kto inny, jak Twój własny syn, Greg, który szepnął mi na ucho, że wszystko jest okay i nie chce żadnego napiwku. I tak nagle dom zrobił się cichy. Tęsknimy za Tricią, ale miło jest wejść do łazienki, nie potykając się o paczkę pampersów.

Dziś rano wyjechała mama. Kiedy zszedłem na śniadanie, siedziała przy stole obok spakowanej walizki. „Stęskniłam się za swoim domem — powiedziała — a Jock wkrótce wraca z Halifaksu”. Po czym, zacinając się od czasu do czasu i nerwowo popijając kawę, zrobiła mi wykład na temat odpowiedzialności względem własnych dzieci i ogromnych niebezpieczeństw rozłąki. „Mówię z doświadczenia”, podkreśliła z pewną nieśmiałością. Efekt propagandowy słaby, ale kiwałem głową, zgadzając się z nią. Ponieważ naprawdę uważam, Jock, że ogromnie ryzykowaliśmy, znacznie bardziej, niż się nam wydawało. Prawdę mówiąc, boję się nawet myśleć, ile zła mogliśmy wyrządzić sobie i dzieciom.

Naturalnie, były też plusy. Nauczyłem się nieźle prasować i napisałem dwa wiersze. (Proszę, nie zwracaj uwagi na tę nonszalancję). Poznałem słabe strony dzieci, ale też ich poczucie humoru i odporność psychiczną. Zdobyłem i straciłem przyjaciela (Gila) i przymierzyłem się do paru innych przyjaźni, z których jedne były lepsze, inne gorsze, ale wszystkie interesujące. Poprawiłem stosunki z mamami, choć nie wiem, jak to się stało i czy długo potrwa. Krótko mówiąc, wszystko jest inaczej, choć nic się nie zmieniło.

Z wyjątkiem nas. Bardzo możliwe, że Ty i ja, kochanie, nie jesteśmy takimi samymi ludźmi, jakimi byliśmy rok temu. Przeżyliśmy różne rzeczy i podejrzewam, że pewnego dnia o wszystkim sobie opowiemy. Ale, zaklinam Cię, nie czujmy się zobowiązani usiąść i „przedyskutować nasz związek”, jak tylko postawisz nogę w

domu! Nie jestem na to gotowy i wydaje mi się, że Ty też nie. Prawdę mówiąc, czuję się wewnętrznie kruchy i chyba w Twoim ostatnim liście wyczułem coś podobnego. Mam rację? Nieważne, nie musisz odpowiadać.

À propos, jeśli chcesz, możesz przez kilka miesięcy nie wracać do pracy; myślę, że sobie poradzimy. Słoneczny Punkt otrzymuje średnio dwa zlecenia miesięcznie, a niektóre z nich są dosyć interesujące. Nie będziemy bogaci, na jacht się nie zanosi, ale pieniędzy wystarczy, żebyś mogła wziąć sobie trochę wolnego. W każdym razie jest to propozycja do rozważenia. Moglibyśmy również pomyśleć o dobudowaniu balkonu przed sypialnią. Dałoby się to zrobić całkiem niedrogo, a byłoby przyjemnie usiąść latem na balkonie i liczyć gwiazdy. Albo przypominać sobie nasz czas celibatu.

To znaczy, jeśli lato w ogóle przyjdzie. Jest zimno, wietrznie i cały czas leje. Może zmienię zdanie co do Twojej propozycji wyjazdu na Hawaje. Dzieciaki byłyby uszczęśliwione, my, prawdopodobnie, też. Może weźmiesz parę prospektów? Albo nie, ja się tym zajmę. Do zobaczenia!

Kochający Cię Chas

TLR

Posłowie

W literaturze kanadyjskiej Carol Shields i Blanche Howard są pisarkami z wyrobioną marką, zdobywczykami nagród. Ich wspólne dzieło, *Czas celibatu*, to powieść epistolarna zawierająca listy dwójki bohaterów: żony Jocelyn (zwanej Jock, prawniczki) i męża Charlesa (inaczej Chasa, architekta). Okres ich celibatu otwiera decyzja Jock o przyjęciu propozycji pracy doradcy prawnego przy narodowej Komisji zajmującej się problemem ubóstwa wśród kobiet. Jedzie zatem na dziewięć miesięcy do Ottawy, gdy tymczasem Chas (bezrobotny) obejmuje w posiadanie kuchnię i bierze na siebie opiekę nad dorastającymi dziećmi: Mią i Gregiem. Listy Chasa i Jock, czasem przypominające salwy armatnie, krążą od zatoki Burrand do kanału Rideau, ukazując, jak bohaterowie przystosowują się do nowego życia i nowych ról, jak dojrzewają.

Każda nić tej tkaniny (aby użyć takiej swojskiej przenośni) w jakiś sposób wzbogaca skomplikowany wzór zależności między pracą a identyfikacją seksualną w przeciętnym heteroseksualnym związku. Sztuka ta jest dziełem symetrii. Jej wzór podkreśla równowagę — co to jest, jak ją osiągnąć, dlaczego jej potrzebujemy. Proporcje sugerowane są już w tytule, który może odwoływać się do cytatu z Eklezjastesa: „Wszystko ma swój czas”. Wyraźniej jednak nawiązuje do Listu do Koryntian, w którym św. Paweł pisze, że wstrzeźliwość jest w małżeństwie pożądana, ale tylko „do pewnego czasu”, po czym, jak zaleca apostoł: „znowu wróćcie do siebie, aby — wskutek niewstrzeźliwości waszej — nie kusił was szatan” (1 Kor 7,5). W okresie wstrzeźliwości obydwójce powinni troszczyć się „o sprawy Pana”, a nie o „sprawy świata”, zaprzatające umysł małżonków (1 Kor 7, 32-34). Zalecenia św. Pawła są wołaniem o równowagę, a ich odniesienie do Jock i Chasa jest oczywiste — są uwolnieni od swoich zwyczajnych trosk dzięki temu, że zamieszkali oddzielnie. Obydwójce natykają się „na to, co naprawdę jest ważne”, niezupełnie sprawy Pana, ale nowe wyzwania, „istotne kwestie”, pytania moralne i filozoficzne, niedostępne ludziom, którzy wpadli w pułapkę rachunków telefonicznych i zapiekanki z bakłażana. Rozwój dokonuje się na marginesie zwykłego życia i, jak na ironię, przy braku współżycia, traktowanego zarówno prokreacyjnie, jak i rekreacyjnie.

Chas i Jock nie słuchają jednak rady św. Pawła; zbyt długo pozostają rozłączeni. Prawdę mówiąc, spierają się głównie o to, kiedy (i jak) zakończy się ten okres, który mógłby się wydłużyć, gdyby Jock otrzymała propozycję kontynuacji pracy w Komisji. Oni już „nie podejmują współżycia”. Nie kochają się ze sobą. Co więcej, przestają patrzeć — na wartości, przyjaciół, wspólny dom — tymi samymi oczami. Zaczynają pociągać ich inne osoby przeciwnej (a niekiedy tej samej) płci. Wypadają z rytmu małżeństwa.

Gdy Chas i Jock próbują na nowo odnaleźć równowagę w życiu, pojedynczo i we dwoje, Shields i Howard poszukują równowagi przestrzeni: publicznej i prywatnej, wschodu i zachodu. Symetria tekstu wynika z konstrukcji utworu opartej na zasadzie dwoistości; od samego początku na zmianę zapoznajemy się z Vancouverem i z Ottawą; z kuchnią i z salą obrad, z poezją z biedą. W Ottawie, (stereo)typowo męskim królestwie biur, polityki, spotkań i rywalizacji, Jock uczy się wychodzić poza własny bliski świat rodziny i widzieć to, „co naprawdę jest istotne”, natomiast Chas, na deszczowym zachodnim wybrzeżu, stawia czoło domowym kłopotom i odnajduje się w kuchni, miejscu kojarzonym z rodziną, jedzeniem, plotkami i miłością.

Shields i Howard zręcznie manipulują tymi światami, pozostającymi cały czas w dialogu, nie w opozycji. Żaden z tych światów nie jest kojarzony tylko z jedną płcią; choć wydaje się, że kuchnia i dzieci były nie-

gdyś domeną Jock, Chas jednak odnajduje się w tych realiach bez problemu. Zostaje wciągnięty w życie sąsiadów, dzieci i rodziny w stopniu, w jakim zdarza się to tylko najbardziej ofiarnym rodzicom. To on jest w domu, kiedy córka, Mia, dostaje pierwszą miesiączkę i kiedy sąsiadka, uciekając od męża brutalą, szuka schronienia wśród przyjaciół po drugiej stronie ulicy. Jock natomiast niemal bez oporu wchodzi w rolę pracującego rodzica. Początkowo jej listy pełne są typowo matczynek trosk, na przykład o jedzenie („Mój Boże, soczewica! Kupiłam dwa słoiki [...] szkoda, żeby się zmarnowały”) czy kostium baletowy („Cekiny! [...] Nie przejmuj się, coś wymyślę”). Ale w miarę mijających miesięcy, gdy rośnie jej świadomość (i zaczynają napływać pieniądze), Jock mniej wtrąca się w sprawy rodzinne i bardziej koncentruje na sobie. Jak na ironię, jej egocentryzm wyzwala się pod wpływem pracy w Komisji, dzięki której zdobywa wiedzę na temat kobiet oraz ubóstwa i nareszcie zaczyna czuć, że ma do czynienia z czymś, „co jest naprawdę istotne”, czyli problemami nierówności ekonomicznych i społecznych, pracy kobiet w poniżających, źle płatnych zawodach i skandalicznego nadużywania przywilejów przez polityków (białych, mężczyzn) i członków Komisji — jak ona sama.

Im bardziej Jock staje się upolityczniona, tym bardziej poetycki robi się Chas. Gdy ona uczy się francuskiego, on zapisuje się na kurs twórczego pisania. Każde z nich płynnie wchodzi w nową dziedzinę: publiczną lub prywatną, państwową lub rodzinną — możemy wyobrazić sobie, jak Chas i Jock, jadący windami w przeciwnych kierunkach, mijają się i podają sobie ręce dokładnie pośrodku. Powyższa metafora sugeruje, że ruch taki nie jest bezwartościowy. Zmiany, jakim podlegają postaci, pozostają w równowadze, choć nie są równe: pomimo że każda z przestrzeni i każde z doświadczeń przedstawione jest z sympatią, pewne wskazówki w tekście kierują życzliwość czytelnika ku domowi. Szczególne bogactwo metafor i symboli powoduje, że świat Chasa ukazany jest jako świeży, przyjazny, pełen ciepła i miłości, związany z tym wszystkim, co życiodajne. W pierwszym okresie rozstania bohaterowie szczerze mówią sobie o przeżywanym stagnacji i nawet określają siebie w przenośni jako rośliny, które wyrastają ze swych doniczek i gwałtownie potrzebują więcej miejsca, a zarazem doznają szoku wywołanego nieznaną dotąd wolnością. Skłonność do opisywania Jock jako wyrwanej z korzeniami — lub przesadzonej do nowej sytuacji — przytłacza oraz przeczy tendencji do przedstawiania domu jako źródła i samego życia. Z dala od domu, karmiona polityką i feminizmem, Jock traci apetyt. Jest wolna i niezależna, rośnie jej świadomość, ale również odczuwa głód.

Gdyby powstały jakieś wątpliwości co do tego, że dom jest tam, gdzie kuchnia, gdzie przygotowuje się pożywienie, to Shields i Howard rozwiewają je, opisując narodziny życia w przejętej przez Chasa kuchni. Zaraz po wyjeździe Jock do Ottawy Chas przenosi tam biurko z sutereny i rozglądając się wokół twórczym okiem architekta, zastanawia się, jak doświetlić to miejsce. Zamienia kuchnię w dużą, słoneczną werandę. Wstawia do niej rośliny. Czyni z niej pomieszczenie pełne zieleni i buchające życiem. Bezpieczne i przyjazne.

Niestety, jednocześnie robi z kuchni swoje własne miejsce, zapominając o wcześniejszych terytorialnych prawach Jock, i przeprowadzony remont staje się punktem zapalnym, wokół którego narasta konflikt. Prowadzi to do załamania komunikacji, korespondencji, może małżeństwa. W miarę jednak jak Jock godzi się z tym, iż dom przestał być dla niej miejscem znanym, coraz bardziej podziwiamy tę oazę rozwoju i światła i, zaszyci w zacisznym kątku na wilgotnym zachodnim wybrzeżu, czujemy, jak rozkwitają rośliny i deszcz bębni o szyby. Shields i Howard cały czas afirmują związek między małżonkami, a nie płaczą nad nim — do takiej interpretacji zachęca metafora, którą posługują się Chas i Jock, aby nadać sens rozstaniu: zaczynają postrzegać

swój związek jako organizm zraniony; ciało — ich małżeństwo — zostało poranione i pokiereszowane, ale nie jest rozdarte. Ta przenośnia wyraża zarówno nieodwracalną zmianę własnego wizerunku macierzyństwa, jak i fakt kreacji: Chas i Jock spowodowali zmianę, narodziny nowego związku, takiego, w którym jest miejsce na blizny i niedoskonałości.

Tam, gdzie Jock i Chas się potykają, książka pozostaje wierna zasadzie symetrii i równowagi, jakby tytułem rekompensaty. Ma swój rytm: poprzez dialogi z listów, podobnie czteroliterowe zdrobnienia imion, nawet miejsce, w którym bohaterowie umieszczają w listach adres (Chas po lewej, Jock po prawej), ukazuje nam dwie strony każdej sprawy. Ale też nie ukrywa preferencji. Nie rezerwując roli strażniczki domowego ogniska wyłącznie dla kobiety, Shields i Howard dają poznać, że ten, kto opiekuje się domem, równocześnie pracując, jest bliżej najważniejszych wartości, aniżeli pracujący małżonek, który uczestniczy w niektórych obowiązkach. Dom ma największe znaczenie; wszyscy powinniśmy mieć to szczęście, aby pracować w takim otoczeniu.

MEG STAINSBY

TLR